ZŁOTA HRABINKA.

OPOWIADANIE LEKARZA.

SPISAŁY

W. Z. KOŚCIAŁKOWSKA I EL. ORZESZKOWA.

Była to wiosna podwójna: w naturze i w życiu mojém. Majowe słońce, które świéciło na niebie, nie było gorętszém ani promienistszém od zapałów tych i ambicyj, z któremi po ukończeniu studyów akademicznych w Kijowie wyruszałem w szeroki świat. Jakiéj natury był zapał, który mię ożywiał? ku jakim celom zmierzały ambicye? Łatwo odgadnąć z faktu, że nie udawałem się do żadnego z miast wielkich, uśmiechających się najczęściéj ku młodym ludziom obietnicami fortuny, sławy i wykwintów życia, ale, usilném staraniem wyjednawszy sobie rządową posadę wiejskiego lekarza, osiąść miałem w Białoborzu, mieścinie, położonéj w głębi litewskiego Polesia.

Profesor Maksymilian, ukochany i poważny mistrz i opiekun młodzieży akademickiéj w Kijowie, był już wtedy starcem z białemi włosy, z wielkiém, zbrużdżoném czołem, które na całą twarz jego dużą, bladą i zwiędłą rzucało wyraz wpółbolesny, wpółwspaniały, z błękitną źrenicą przygasłą i łagodną, lecz która często jeszcze zapalała się ogniem genialnych myśli albo namiętnych uczuć, od błysków niby dawno minionych burz i uniesień przeszłości.

Ostatnia rozmowa, którą przed wyjazdem stoczyłem z mężem tym mądrym, dobrym i serdecznie czczonym, nie wyjdzie mi nigdy z serca i z pamięci. Mówił on wtedy ze mną, jak ojciec z synem,

jak mistrz z ulubionym uczniem, a gdy nakoniec wzruszony dobrocią, którą mi okazał, przejęty cały wielkiemi myślami, które przedemną rozwinął, pożegnać go chciałem, zatrzymał rękę moję w swojéj dłoni i ciszéj, powolniéj nieco, niż mowił dotąd, rzekł:

„O parę mil od Białoboru położone są dobra Zabory, własność i miejsce pobytu rodziny hrabiów Zaburzeńskich.

Mówiąc to, spuścił powieki i dość długo patrzał w ziemię, milcząc. Potém, z czołem opartém na dłoni i ze spuszczonemi wciąż oczami, mówił do mnie długo i w sposób następujący:

— „Nie wiész zapewne o tém, kochany Adamie, że spora część życia upłynęła mi w téj właśnie okolicy, do któréj udajesz się teraz. Jestem rodem z Polesia, całą rodzinę swoję tam miałem, tam téż zamieszkałem wnet po ukończeniu akademickich nauk. Włosy zaczynały mi już siwiéć, kiedy wyruszyłem ztamtąd w świat szérszy. Byłbym to wcześniéj daleko uczynił, gdyby nie węzeł pewien, który łączył mię ze stronami tamtemi. Węzłem zaś tym była dla mnie rodzina Zaburzeńskich....

.....Najdroższe i najsmutniejsze wspomnienia mego życia związane są z tą rodziną,—w pałacu jéj, rzuconym śród głuchych równin Poleskich, przecierpiałem wiele i wielowzględnie, znajomości z nią zawdzięczam, że jestem teraz starym, bezdzietnym samotnikiem. Pomimo jednak szkód i nieprawidłowości różnych, które stosunek ten zrządził w mém życiu, wspomnienie o nim towarzyszy mi aż do pobliża grobu i napełnia wszystkie te chwile, które każdy człowiek, zbliżający się do krésu swéj drogi, święcić musi niezaspokojonym pragnieniom i nieukojonym żalom przeszłości. Tak to bywa z nami, z ludźmi nauki, którzy jesteśmy własnością wszystkich potrzebujących nas ludzi. Czyniąc zadość powołaniu naszemu, wstępujemy do domów, obcych nam zrazu, ale których sprawy, cierpienia i tajemnice, z konieczności, odsłaniają się przed nami i niedostrzeżenie oplątują nas kołem uczuć i obowiązków. Stanowi to stronę zawodu naszego, nieznaną ogółowi i przezeń nieopłacaną. Wszyscy wiedzą, że utrata życia grozi lekarzowi, stykającemu się bezpośrednio z tłumami, dotkniętemi epidemią, lecz nikt nie odgadnie, jakie burze serca spotykać mogą młodego człowieka, wtajemniczanego, z konieczności, w najtajemniejsze, w najstraszniejsze częstokroć sprawy istnień rodzinnych i kobiécych. Każdy zwykł płacić lekarzowi za podjęte przezeń trudy mniejszą lub większą ilością monety, ale nie ma na świecie mennicy, którąby wybijała nagrody, za najpiękniejszą może część życia ludzkiego, oddaną w ofierze cudzemu nieszczęściu.

.....Kiedy w latach piérwszéj młodości przybyłem w Białoborskie strony, hrabina Aurelia Zaburzeńska miała niewięcéj, jak lat 25.

Piękność kobiéty téj była mniéj uderzającą i prawidłową, jak oryginalną i pełną tajemniczego uroku. Ogromne włosy jéj ciemnéj barwy miały nad czołem i pośród warkoczy czerwonawe połyski ognia. Rysy twarzy jéj były drobne i powleczone cerą przezroczystéj bladości, rączki malutkie, usta blade i często drżące, a oczy wielkie, czarne, łagodne zwykle i trochę cierpiące, czasem strwożone, jak źrenice spłoszonéj sarny. Z wykwintnych, ale drobnych i suchych nieco kształtów jéj kibici, z niezwykłéj ruchliwości jéj usposobień, które w jednéj godzinie nieraz mieniły się płaczem i śmiechem, gniewem i tkliwością, odwagą i trwogą, łatwo było odgadnąć, że natura i wychowanie obdarzyły ją organizmem, niepospolicie wrażliwym i nerwowym. Dar to niebezpieczny zawsze, z człowieka bowiem czyni on strunę tkliwą na najlżejsze dotknięcie, falę, odzwierciadlającą w sobie zmienne linie i barwy obłoków. Cierpienie i wczesne zniszczenie — oto udział najpospolitszy podobnych ustrojów ludzkich. Więcéj jeszcze, niż zwykle, niebezpiecznym musiał być ustrój taki, w otoczeniu i okolicznościach, śród których znalazła się hrabina Aurelia przez zamążpójście swe za hr. Teofila Zaburzeńskiego. Innéj żony trzeba było hrabiemu, innego związku hrabinie. Rozum i wskazówki nauki nie przewodniczyły doborowi téj pary ludzi, to też fatalne następstwa połączenia tego nie skończyły się wraz ze śmiercią matki rodziny i nie skończą się prawdopodobnie ze śmiercią ojca. Hrabiostwu Zaburzeńskim przyszło na świat troje dzieci: syn i dwie córki. O przypuszczalnym losie istot tych, które dziś już dorosłymi są ludźmi, to ci tylko mogę powiedzieć, że, gdy po nagłym skonie hrabiny Aurelii niosłem w objęciu mojém martwe jéj zwłoki z głębi ogrodu do pałacu, jedyną myślą, która przynosiła ulgę żalowi memu, była myśl, że nie dożyła ona pory, w któréj na głowach jéj dzieci zaciąży z kolei ponury a nieprzezwyciężony fatalizm, od trzech już pokoleń ścigający rodzinę Zaburzeńskich....

.....Jakiego rodzaju jest fatalizm ten, opowiadać ci o tém nie będę. Wystarczy ci jednéj bytności w Zaborach, abyś odgadł go i zrozumiał, — mnie ciężko o tém mówić. Nie wiém zresztą dokładnie jak tam teraz rzeczy stoją, bo w kilka miesięcy po skonie kobiéty, która czarem piękności i nieszczęścia przykuła do siebie najlepsze lata mojéj młodości, opuściłem tamte strony i przybyłem tutaj. Powiém ci tylko, że jeżeli kobiétę tę nie dotknęło najsroższe z nieszczęść ziemskich, to nieszczęście, którego gorzkiém a niezmożoném tchnieniem przesiąkniętą jest atmosfera Zaborskiego pałacu, winną to była ona mnie, staraniom moim i mojéj przyjaźni. Byłem lekarzem jéj i przyjacielem. I, co tylko wiedza ludzka, najpilniéj wyzyskiwana, i co tylko przyjaźń człowieka bezinteresowna i wierna, choć z ciężką

walką od innego uczucia zdobywana, uczynić może — wszystko to czyniłem dla niéj.

.....Dla dzieci jéj, które wzrastały przed memi oczami, miałem przywiązanie, połączone z tém trwożném współczuciem, które obudzała we mnie myśl o ich przyszłości. Dla dwojga starszych przecież nic uczynić nie mogłem. Syn zostawał pod wyłączną opieką ojca i różnych, licznych nauczycieli, — rzadko nawet go widywałem,— starsza córka była jedną z tych istot, których uboga i uparta natura nie poddaje się żadnym uszlachetniającym i wzmacniającym wpływom. Najmłodsze za to dziecię Aurelii — hrabianka Irena, była dla matki swéj i dla mnie radością, nadzieją i celem usilnéj pracy. Ją— od piérwszych lat, dni niemal jéj życia, ratować postanowiłem wszelkiemi sposoby, które są w ludzkiéj mocy. Czuwałem nad zdrowiem ciała jéj, zarówno, jak nad rozwojem serca i umysłu. Usiłowałem uzbroić ją przeciw fatalnemu widmu grożącemu jéj przyszłości, wszystkiém, czego udzielić mogą: zdrowie fizyczne i siła moralna. Znalazłem w niéj zresztą materyał bogaty i giętki.... Kochałem ją wszystkiemi uczuciami człowieka, który wié, że nigdy mężem ani ojcem nie będzie i musi tworzyć sobie śród obcego świata sztuczną rodzinę.... Była ona wyłączną niemal wychowanicą moją. Pielęgnowałem jéj ciało, kształciłem charakter jéj i umysł aż do lat 16-u jéj życia. Potém pisywałem ztąd do niéj listy, duże, jak tomy. Parę lat temu jeszcze jeździłem na Polesie umyślnie, ażeby ją zobaczyć. Ucieszyłem się, bom zobaczył ją taką, jaką chciałem, aby była, nie uspokoiłem się jednak zupełnie, bo nic jeszcze nie ręczy mi za bezpieczeństwo całéj jéj przyszłości...

....Hrabianka Irena ma teraz lat 27. Nie wyszła i nie wyjdzie prawdopodobnie za mąż, jakkolwiek przed kilku laty była już bardzo bliską ślubnego ołtarza. Opisywać ci nie będę téj niepospolitéj kobiéty, bo jestem pewny, że wnet po przybyciu swém do Białoboru otrzymasz wezwanie od hrabiów Zaburzeńskich. Potrzebują oni ciągle lekarza, choć żaden na świecie lekarz nic dla nich uczynić nie może....

....Pomimo jednak jałowości zadania nie odmawiaj hrabiom częstéj bytności swéj w Zaborach. Uczyń to dla mnie i dla mojéj Ireny. Życie jéj smutne jest i trudne. Wśród otoczenia swego wielowzględnie samotna, potrzebować ona może nieraz rady, pociechy, pomocy uczciwego i rozumnego człowieka,—potrzebować ona może więcéj jeszcze nad to—bo poprostu ratunku. Wszystko, co powiedziałem ci, powiedziałem dla tego, abyś Zaburzeńskich nie uważał za piérwszych lepszych spotkanych na drodze swéj ludzi, i abyś przez przyjaźń dla mnie był szczérym przyjacielem hrabianki Ireny...."

* *
*

Podróż długa i zajmująca, którą wnet po rozmowie méj z czcigodnym profesorem odbyłem, kłopoty, towarzyszące zwykle osiedlaniu się w miejscowości nieznanéj, nowe obowiązki nakoniec, których pełnieniem zająłem się najprędzéj, jak tylko mogłem, wygnały na czas jakiś z pamięci méj i tajemniczą wzmiankę profesora o rodzinie Zaburzeńskich i dane mi względem niéj zlecenie jego.

W parę tygodni dopiéro po przybyciu mém do Białoboru, kiedy o bardzo wczesnéj rannéj godzinie otwierałem okno bawialnéj izdebki mojéj, zobaczyłem piękny, choć staroświecki kocz, który pełnym kłusem cztérech rosłych koni przebywał piaszczysty rynek lichéj mieściny. Służba, siedząca na wysokim koźle, ubrana w płaszcze i kapelusze czarne ze srebrnemi ozdobami, miała pozór żałobny. Powóz ten zatrzymał się przed małemi oknami niskiego mego domku, a po chwili do izby, w któréj znajdowałem się, wszedł lokaj i z milczącym ukłonem wręczył mi list, zamknięty w małéj kopercie. List nosił podpis hrabianki Ireny Zaburzeńskiéj i w kilkunastu grzecznych wyrazach objawiał prośbę, abym dnia tego jeszcze odwiédził Zabory. Na widok imienia tego i nazwiska, nakréślonego pismem kobiécém wprawném i śmiałém, obudziła się we mnie stłumiona innemi wrażeniami ciekawość, a także chęć stania się użytecznym rodzinie, tak żywo zajmującéj ukochanego mego mistrza. Powiedziałem lokajowi, że za parę godzin puszczę się w drogę. Czas ten potrzebnym mi był dla załatwienia codziennych obowiązkowych czynności.

Po upływie czasu tego, wracając z wycieczki méj do miasteczka odbytéj, zobaczyłem stojący przed domem moim i do podróży gotowy powóz hrabiostwa. Jednocześnie zemną zbliżyła się doń znajoma mi już nieco niemłoda mieszczanka, stanęła przy koźle i, podnosząc w górę twarz pomarszczoną, spójrzała ku stangretowi.

— No, rzekła, a jakże się tam ma nasza Złota hrabinka?

Stangret w przyjazny znak powitania uchylił nieco wysokiego kapelusza. Nie dosłyszałem jego odpowiedzi, ale widziałem, że, gdy wymawiał ją, pod siwiejącym wąsem miał ciepły i wesoły uśmiech.

— No, to i chwała Bogu, że zdrowa! wyrzekła mieszczanka.

— I że się jéj jeszcze *nic* nie stało! dodała ciszéj i splatając żółte ręce inna kobiéta, która wraz po pierwszéj zbliżyła się do powozu.

Ale starą żydówkę, która w dwupiętrowym czepcu i ze zbolałemi od pracy czy łez oczami stała tuż obok, oburzył szept ten małéj, przygarbionéj babulki.

— Nu! zawołała, a dla czego jéj ma co stawać się? Co to? czy to Pan Bóg takich dobrych ludzi, jak ona, nie potrafi od takiéj brzydkiéj rzeczy, nie tu wspominając, obronić?

— Ach, ach! och, och! niechże obroni! rozległ się szept zbiorowy całego zgromadzenia, które zwiększało się różnemi postaciami, przybywającemi co chwilę i rozmowę ze starym stangretem rozpoczynającemi od niezmiennego zapytania o zdrowie złotéj hrabinki.

— O kim to mówicie, kochani państwo? zapytałem, zbliżając się i używając wyrażenia, obejmującego oba rodzaje: żeński i męzki, ponieważ w zgromadzeniu znajdowało się już i kilku mężczyzn.

— A o kimżeby, jeżeli nie o naszéj złotéj hrabince! odparło jednogłośnie kilka kobiét.

— Ale ja nie wiém, kto to taki: złota hrabinka! zarzuciłem uśmiéchając się.

Kobiéty poroztwiérały usta w zdumieniu. W oczach ich było nawet trochę oburzenia. Jestem pewien, że w chwili téj miały mię one za ignoranta i bluźniercę. Mężczyzni za to uśmiechali się pobłażliwie, i jeden z nich łaskawie objaśnić mię raczył, że to kobiéciska biédne tak JW. hrabiankę Zaburzeńską przezwały.

— Hrabiankę Irenę? zapytałem.

— Aha! Irenę! odpowiedziano chórem.

— U naś, wielmożny panie, cały dwór tak hrabiankę nazywa, uchylając kapelusza i w kształcie komentarza, dodał stary stangret.

Nie chciałem, a poprawdzie i nie potrzebowałem dalszych pytań zadawać otaczającéj mię ludności. Przydomek objaśniał się sam przez się. Odgadłem zeń kobiétę, lubiącą pełnić dobre uczynki, możną i zapewne szczérą filantropkę. Z kilku też słów zasłyszanych, tak, jak i z niewyraźnych wzmianek profesora, domyślać się mogłem, że téj złotéj hrabince groziło wielkie jakieś nieszczęście. Ale jakiéj mogło ono być natury?

Z bardzo żywo rozbudzoną ciekawością wsiadałem po chwili do powozu. Na zapytanie moje stangret i lokaj powiedzieli mi, że Zabory znajdują się o trzy mile niespełna od Białoboru. Wiedziałem jednak, co mam myśléć o tych trzech milach poleskich i z góry przygotowałem się na podróż kilkogodzinną.

Rosłe i rącze konie hrabiostwa szybko i z łatwością ciągnęły kosztowny, choć staroświecki kocz po szerokiéj piaszczystéj drodze, sunącéj wśród pól, porosłych rzadkiém zbożem, i niskich zarośli so-

snowych. Była to jeszcze okolica, stosunkowo ludna i ożywiona. Tu i ówdzie kłębiły się srebrnemi dymami wioski długie, zamożne i po obu swych końcach stérczące wielkiemi grupami wysokich krzyżów, dwory szlacheckie bielały pod ciemnemi ścianami dalekich lasów, przerzynające piaszczysty rozłóg łany urodzajnéj ziemi falowały gęstą pszenicą; pleły ją siedzące na miedzach gwarliwe i białogłowe gromady wieśniaczek.

Po godzinie przecięż jazdy niezbyt liczne te objawy ruchu i życia ludzkiego zaczęły stopniowo znikać z widnokręgu. Powóz zsunął się z dróg rozłożystych i piaszczystych na wązką, krętą groblę. Uściełały ją wysoko ułożone i lekko piaskiem przysypane gałęzie suchego wrzosu, a miejscami obejmowały dwie długo ciągnące się niskie ściany wierzbiny. Po obu stronach drogi téj leżała ogromna równina, pokryta, jak okiem sięgnąć, zielonemi kępami wilgotnych łąk. Gdzieniegdzie, pośród tego morza martwéj zieleni, mętnym połyskiem błyszczały nieruchome szyby brodów, nad niemi kołysały się zwolna wysokie łozy, w oddali krzyżowały się z sobą czarne, wąskie szlaki grobel takich, jak ta, którą jechałem. Lasy, okalające widnokrąg, kryły się niewidzialne za sinemi mgłami, których rozproszyć nie zdołały słoneczne blaski dnia letniego. Pusto tu było, cicho, dziko. Na zielonych kępach chwiały się zwolna wysokie łodygi kwiatów żółtych i liliowych, nad nieruchomemi wodami stały w powietrzu nieruchome téż pary, złotawe od słońca, wśród nich wzlatywały niekiedy stada wodnego ptactwa i z gwarliwym krzykiem, jedynym tu odgłosem życia, opadały napowrót w zarośla trzcin i łozy.

Nagle, w bezpośredniém otoczeniu wilgotnych i zda się bezbrzeżnych łąk, tuż naprzeciw jednego z największych brodów, oczom moim przedstawiło się najniespodziéwańsze zjawisko. Był niém wielki, piękny, pański pałac, wspaniale rysujący się i jasno błyszczący na tle ogromnych, szeroko za nim rozłożonych ogrodów.

Nic nie mogło być więcéj niespodziewaném dla oka podróżnego, jak pałac ten wśród téj pustyni. Siedlisko to ludzkie, będące objawem wspaniałéj zamożności, jak téż pysznym wytworem sztuki, wydawało się tu jedném z tych zjawisk, które wieszczki w bajkach, skinieniem czarnoksięskich swych lasek, wydźwigają z najniewdzięczniejszych gruntów. Komuś poetycznemu wydaćby się ono jeszcze mogło pałacem, zbudowanym przez duchów pustyni, dla ciszy i snu.

Nigdzie, na całéj ogromnéj równinie, oko spostrzédz nie mogło najskromniejszego choćby śladu ludzkiego siedliska i życia. Cztéry ściany pałacu, wyniosłe i potężne, samotnie wznosiły się nad

rozłogiem omglonéj zieleni. Zewnętrzną ich stronę okrywały symetrycznemi i cienistemi wzory wielkie półkoliste linie, oznaczające okna, nisze i ganki. Dwie narożne baszty, poważne i ciężkie od dołu, nabiérały ku górze coraz lżejszéj smukłości i u samego szczytu ulatniały się dwoma filogranowemi wieżyczkami. Zabudowań gospodarskich, ze strony, z któréj przybywałem, nie widać było wcale. Kryły się snać one za olbrzymiemi grupami drzew i krzewów. U samego za to skraju ogrodów połyskiwała kaplica ze ścianami, jak śnieg, białemi, z mnóstwem rzeźb i wieżyczek, z kilku oknami wąskiemi, długiemi, których kolorowe szyby rozpalały się teraz pod słońcem blaskami wszystkich rodzai dyamentów. Była to snać kaplica grobowa, bo dokoła niéj niewielką przestrzeń, usiewały wyższe i niższe krzyże. Możnaby téż rzec, że pałac był potężnym akordem architektonicznéj sztuki, a kaplica jedyném tu smętném jego echem....

Za pałacem, niezbyt już daleko, bo o parę wiorst może, spotykała oko podróżnego półkolista, ciemna, wysoka ściana lasu. Tam kończyła się pustynia, a zaczynała się puszcza. Po strefie łąk, nieścignionych okiem, brodów, kęp i oczeretów, zaczynała się tam strefa lasów i borów, w głębinach któréj nie ozwał się jeszcze nigdy stuk ludzkiego topora, ani dźwięk ludzkiego głosu, lecz śród któréj u lesnych strumieni poiły się liczne stada złotawych sarn, wyniosłe rogi łosiów łamały z chrzęstem gałęzie odwiecznych dębów, i grunt tętniał pod ciężkiemi stopami odyńców, rozrzucających olbrzymiemi kłami różowe wrzosy.

Im więcéj zbliżałem się ku pałacowi, tém wyraźniéj dostrzegałem, że prawdziwy ten klejnot architektonicznéj sztuki powleczony był rdzą nie starości, ale zaniedbania. Starość murów tych, które niezawodnie od paru już wieków stać tu musiały, stanowiła jeden więcéj ich urok, ale przyoblekała je popielata barwa opuszczenia: miejscami tynk odłamał się z nich całkiem i obnażył drobne, szkarłatne cegły; głębie nisz ciemne były od kurzawy i pajęczyn; w półkolistych wieńcach rzeźb u okien i nad gankami, kamienne gałęzie opadły z liścia, a pyzate geniusze potraciły skrzydła.

Przez upadającą w gruzy, ale zawsze wspaniałą jeszcze starożytną bramę wjazdową, wjechałem na podwórzec ogromny, gęsto zarosły staremi jodłami i modrzewiami. Śród posępnego cieniu ich rozkładała się jaśniejsza zieloność szeroko rozrosłych drzew liściastych. Nerejda jakaś, wysmukła i biała, wznosiła nad wyschłym basenem fontanny ramiona, którym niedostawało rąk.

Na głównym ganku, rozdzielonym z poziomem ziemi kilkunastu marmurowemi wschodami, spotkał mię służący z siwemi włosy i z milczącym ukłonem wprowadził mię do wnętrza pałacu.

Przeszedłszy sień ogromną, wspaniale zdobną w spłowiałe freski i wielkie zwierciadla, i kilka mniejszych i większych pokojów, mrocznych od nawpół spuszczonych żaluzyj, wysokich, ubranych w ciężkie, staroświeckie sprzęty, znalazłem się przed zamkniętemi drzwiami o bogatych, choć nawpół spełzłych złoceniach. Kamerdyner hrabiego otworzył je przedemną i cofnął się wnet, mówiąc stłumionym głosem, że idzie oznajmić mię swemu panu.

Pokój, w którym znalazłem się, był bardzo obszernym i tak, jak poprzedzające go, nawpół ciemnym. Oczy moje przyzwyczajone już były do panującego w tym domu zmroku. Z łatwością więc dostrzegłem, że nikogo żywego w pokoju tym nie było. Żywego, mówię, bo nieżywe przedmioty, nagromadzone tam w wielkiéj ilości, były tego rodzaju, że wtrąciły mię zrazu w zdumienie, graniczące z niemém oczarowaniem. Po kilku przecięż sekundach odzyskałem całkiem przytomność umysłu i, z żywą tylko ciekawością, a niejakiém téż zachwyceniem, rozpatrywać się zacząłem w osobliwém otoczeniu, śród którego się znalazłem. Żaluzye, które w trzech częściach osłaniały cztery wielkie okna, na ogród wychodzące, składały się z prętów zielonych, około każdego z których wiły się połyskujące, bo z metalu wyrobione węże, jaszczurki i różne jakieś gady bez nazwy, bajeczne, to skrzydlate, to z ludzkiemi głowami, to z paszczami széroko roztwartemi, i oczami, które zarówno, jak ślizgie ich ciała, błyskały pod wązkiemi promieńmi słońca, padającemi na nie z za gęstych modrzewiowych gałęzi. Chwilami, gdy poruszały się skąpe te i nieliczne smugi światła, metalowe płazy zdawały się także poruszać, pełzać, stykać się ze sobą ogonami i gryźć jakby żelazne swe pręty. Widok ten przykry był, choć niepozbawiony uroku, odwróciłem się więc odeń i, rzuciwszy wejrzenie dokoła ścian, doświadczyłem takiego wrażenia, jak gdybym żywcem przeniesiony został w głębie średniowiecznych czasów. Spostrzegłem, że salon, czy gabinet, którego okna strzeżone były przez gromady płazów, przedstawiał sobą pyszne artystyczne muzeum. Dokoła ścian, na ciężkich i szerokich ciosowych podstawach, stały tam modele gotyckich kaplic, z marmuru i bronzu wyrabiane, a gromadami koronkowych wieżyczek dosięgające niemal wysokiego stropu, wisiały różańce kosztowne, których paciórki przedstawiały rznięte na krwawnikach, albo kości słoniowéj różne symbole wiary: krzyże, kotwice, włócznie, lilie lub baranki; powyżéj wznosiły się krucyfiksy, wykładane złotem lub konchą perłową; nad kropielni-

cami, lanemi z bronzu, albo wydrążanemi w kamieniu, wysmukłe białe anioły opuszczały mdlejące skrzydła, dalej jeszcze w rogach pokoju, nakształt widm bezcielesnych, szarzały posągi świętych, nadludzko cienkie i wysokie, błogosławiące jakby lub wyklinające, bo z podniesionemi wysoko czołami i ramionami. Niektóre z nich miały na głowach wysokie i złotem połyskujące infuły, a w rękach wzniesionych biskupie pastorały, inne nosiły cierniowe korony, z pod których pąsowe krople, naśladujące krew, opływały szare ich skronie.

Z trudnością oderwałem się od przeglądania licznych tych okazów średniowiecznego rzeźbiarstwa i podniosłem wzrok wyżej ku kilku obrazom wielkich rozmiarów, które wisiały na ścianach, pomiędzy przerzynającemi je symetrycznie boazeryami z czarnego dębu. Z powodu zmroku i odległości, nie mogłem szczegółowo rozpatrzéć się w treści tych malowideł, dojrzałem jednak, że były to wyborne kopie, a po części może i oryginały wielkich mistrzów starochrześciańskiéj szkoły. Wysmukłe, nikłe postaci świętych, z długiemi, przezroczystemi twarzami, ze złocistemi aureolami i w białych, sztywnych szatach, mięszały się tu z czarnemi, rogatemi i wykrzywionemi widmami szatanów. Tu i ówdzie na czarnych tłach bielał kościsty skielet śmierci, nagie ciała jakieś wiły się w czerwonych płomieniach, albo świetlista jasność buchała z roztwartych obłoków, a gromady dusz ludzkich, osłonione gazą mglistych ciał, wlatywały weń pod przewodnictwem Cheruba o szeroko rozpiętych skrzydłach. Jedna ze ścian okryta była kilku kopiami epizodów wyjętych z Sądu ostatecznego Michała Anioła. Przed arcydziełami temi myśli ludzkiéj, genialnéj, świętym przestrachem niesionéj w krainy niewysłowionych gróz i męczarni, zatrzymałem się ostatecznie. Nie odrywając od nich wzroku, myślałem, że ten, kto zgromadzić chciał i potrafił wszystkie te, oglądane tu przezemnie przedmioty, niepomiernym musiał być znawcą i miłośnikiem sztuki i że wyobraźnia, która w tym właśnie jéj dziale tak wyłącznie się rozlubowała, niepospolicie też musiała być ponurą i przerażoną....

Na spłowiałym kobiercu, okrywającym posadzkę pokoju, zaszeleściły kroki ludzkie, i zanim miałem czas odwrócić twarz od obrazów, które pochłaniały całą moję uwagę, usłyszałem za sobą wyrazy, wymawiane stłumionym męzkim głosem.

— Zajęły snać pana bardzo epizody te z Sądu ostatecznego Michała Anioła! Prawda, że przepyszne to malowidła i.... straszne!.. o! straszne!

Kiedy mężczyzna przeciągle i z drżeniem głosu wymawiał ostatni wyraz, stałem już przed nim twarzą w twarz i patrzałem na nie-

go, uderzony niepospolitą jego postacią. Wysoki był i bardzo chudy. Wypukłe czoło jego, otoczone mocno przerzedzonemi białemi włosy, miało białość, gładkość i połysk kości słoniowéj, głęboko pod niém i pod nastrzępionemi siwemi brwiami osadzone oczy błyskały niespokojnie małą szarą źrenicą, blade, cienkie wargi posiadały wyraz inteligencyi i tajemnéj jakby goryczy, a nos cienki i długi, jak też ściągłe, wklęsłe i suchą, pomarszczoną skórą okryte policzki, nadawały fizyonomii całéj pozór ostry i zwiędły. Jakkolwiek było to lato, człowieka tego okrywała aksamitna opończa, obłożona popielatém futrem, długą, kościstą szyję jego otaczała szeroka, sztywna kréza, na nogach miał on aksamitne obuwie, spięte złocistemi klamrami.

Nie byłem pewny, kim mianowicie jest szczególna, stojąca przedemną postać. Z lekkim więc powitalnym ukłonem, wymówiłem moje nazwisko.

— A! pan Strosz! wyrzekł człowiek w opończy daleko głośniéj już, niż mówił przedtém, i bez uprzedniego przestrachu w wyrazie ust i oczu, pożądanym pan u nas jesteś gościem! Dowiedziawszy się o przybyciu pana w te strony, skłoniłem córkę moję, aby napisała do pana z prośbą o odwiédzenie nas. Witam Pana! Przy ostatnich wyrazach wysunął z szerokiego rękawa opończy rękę, która zarówno, jak jego czoło, białością, gładkością i połyskiem swym przypominała wyroby z kości słoniowéj, i dotknąwszy nią dłoni mojéj, wskazał wielkie, o wysokich rzeźbionych poręczach fotele, które otaczały stół, stojący pośrodku salonu.

Był to więc hrabia Teofil Zaburzeński, mąż kobiéty, która niestarte ślady wyryła w istnieniu kochanego mego nauczyciela, i ojciec złotéj hrabinki.

Usiadłem na wskazanym mi fotelu.

— Znajdujesz mię, panie hrabio, rzekłem, pełnym podziwu nad tak obfitym i istotnie niepospolitym zbiorem dzieł sztuki, który składa to prawdziwe muzeum....

— Prawda? podchwycił, a małe, szare oczy jego zamigotały uradowaniem. Prawda, że rzadko kto tak szczęśliwym być może, aby skarb podobny posiadać? Zebranie go kosztowało mię też niemało podróży, poszukiwań, trudów i pieniędzy! Widzisz pan przed sobą prawdziwe perły i dyamenty sztuki.... Jest tu i niejeden unikat, jak np. kropielnica, którą w zwisłych ramionach trzyma ten wielki anioł.... rzeźbił ją ulubiony snycerz Grzegorza IX-go.... dostała mi się ona częścią trafem szczęśliwym, częścią kosztem ogromnym.... albo ta ś-ta Agata, którą umieściłem tam, pomiędzy wieży-

czkami tego gotyckiego kościołka..... oryginał to Fra Angelico, anielskiego malarza świętych Pańskich.... Mówił w ten sposób długo, nie wstając z miejsca, ale głowę zwracając w różne strony pokoju, a ręką wskazując mi z kolei celniejsze przedmioty swego zbioru. W słowach jego znać było głębokie znawstwo sztuk pięknych, a na ostro zarysowanéj twarzy rozlewała się roskosz namiętnego zbiéracza, rozpowiadającego o piękności i wartości zebranych przez się arcydzieł. Kilka cytat łacińskich, bardzo poprawnie wypowiedzianych, i kilkanaście wyrazów, wymówionych po włosku, z akcentem, którego nie powstydziłby się rodowity Florentczyk, objawiły mi, że hrabia był lingwistą i wielostronnie wykształconym człowiekiem. Słuchałem go z prawdziwą przyjemnością. Mówił o rzeczach pięknych i zajmujących z erudycyą i wymową, podbijającą ciekawość i uwagę. Nagle wargi jego drgnęły i niespokojnie zamigotały oczy. Było to tak, jakby sobie o czémś niemiłém nagle przyprzypomniał.

— Tak, rzekł po chwilowém milczeniu, są to rzeczy piękne, ważne, drogie.... ale i straszne takie! o! straszne!

Przy ostatnim wyrazie głos jego drgnął znowu i przycichł. Szybkim, nerwowym ruchem owinął się swą futrzaną opończą.

Wyraz, który drugi już raz przy mnie wymawiał, i zmiana, jaką sprowadzał on w jego powierzchowności, uderzyły mię.

— Dla czego, zapytałem, pan hrabia znajdujesz strasznemi piękne dzieła myśli i wyobraźni ludzkiéj?

Spójrzał na mnie z wyraźném zdumieniem.

— Jakto? zapytał, czy pan sam tego nie czujesz? ha! nic dziwnego! jesteś pan jeszcze tak młodym! Młodość dostrzega tylko najbliższą przyjaciółkę swą: piękność! lecz nie widzi, jak z za niéj wysuwa się larwa grozy.... i strachu! słyszysz pan? strachu! Młodość nie widzi tego, co starość, bo dalekim jeszcze od niéj sąd! a nieprzyjaciel rodu ludzkiego, dużo jeszcze czasu mając przed sobą, głaszcze ją, pieści, wabi, aby tém niezawodniéj pochwycić w szpony swe człowieka, gdy życie przeminie.... przeminie.... na pokutę i przygotowanie się czasu dość nie zostanie, a czeluście piekielne roztworzą się przed stopami jego tuż.... tuż.... ot, tuż!

Z ogniem w oczach i drżącemi usty, wstrząsał białym swym, długim palcem nad ziemią, jakby nad czeluściami temi, o których mówił. Nagle podniósł rękę i, ukazując nią przedmioty, znajdujące się dokoła, wymówił bardzo powoli:

— Czyż, patrząc na to wszystko, nie przypomina się panu Bóg sprawiedliwy, sąd straszny, duchy ciemności, wiekuistość, piekło!.....

Podnosił stopniowo głos; ostatni wyraz wymówił z krzykiem prawie i, drżącemi rękami otulając się swym płaszczem, w zgnębionéj postawie zapadł w głęboki fotel.

Zaczynałem domyślać się, z kim do czynienia miałem. Nie byłem jednak jeszcze zupełnie pewnym ani istoty, ani doniosłości zjawiska.

— Panie hrabio! rzekłem po chwili namysłu, Bóg jest nietylko sprawiedliwym, ale miłosiernym także, a istnienie duchów ciemności i wiekuistych udręczeń nie zdaje się zgadzać z najwyższą dobrocią Jego i miłością.

Hrabia wyprostował się i bystro popatrzał mi w twarz.

— Czy jesteś pan materyalistą? zawołał nagle i ostro.

— Zdaje mi się, panie hrabio, odpowiedziałem łagodnie, żem tylko co mówił o Bogu.

Wzgardliwie skinął ręką.

— Retoryczna figura! wymówił z szyderstwem, retoryczny to u was sposób wyrażania się! powtórzył i milczał chwilę z gorzkim uśmiechem na ustach, lecz z wyrazem głębokiego namysłu w oczach.

Po chwili łagodniéj już i bardzo poważnie mówić zaczął:

— Pozostajecie w błędzie wielkim i strasznym, zaprzeczając istnienia tego drugiego, nadprzyrodzonego świata, który przecież napełnia i pochłania sobą ten ziemski świat widzialny i dotykalny. Błąd ten udziela wam wprawdzie spokojności i szczęścia, ale czasowo, o! czasowo! I ja kiedyś taki byłem..... ślepy i głuchy! ale przyszedł czas, w którym otworzyły się oczy moje i uszy. Groza to, która dręczy, przeraża, krew w żyłach mrozi, sen odbiéra, ale przynajmniéj wiém, co mam myśléć o przyszłości, i mam czas błagać, pokutować i przygotować się do strasznéj chwili. Wierzaj mi pan, dzisiejsi filozofowie i uczeni wasi wprowadzają was w ten błąd, miły zrazu, lecz za który ciężko kiedyś pokutować wam przyjdzie w starości i — w wiekuistości. Znam, zbadałem, przeniknąłem wszystkie teorye te, natchnione przez wiecznych wrogów ludzkiego rodu, i zwycięskie odpowiedzi na nie znalazłem tu....

Przy ostatnim wyrazie wskazał grube foliały, w skórę oprawne, których wielka liczba piętrzyła się na stole. Rozwarłem z kolei kilka z tych ksiąg. Były to prawdziwe osobliwości bibliograficzne, odwieczne, piérwotne druki. Na tle zżółkłych kart jaśniały tam żywemi jeszcze barwami, z przedziwną sztuką malowane litery i symbole. Łacińskie, a w mniejszéj części włoskie, księgi te należały wyłącznie do dziedziny średniowiecznéj filozofii scholastycznéj. Hrabia z widocznem zadowoleniem spoglądał na istotną ciekawość, z jaką rozpatrywałem jego bibliograficzne skarby, i rozbrojony nią, zła-

godzony, zaczął znowu mówić o zajmujących rzeczach w sposób bardzo téż zajmujący i poważny. Filozofia starożytnych ludów nie była mu nieznaną, ale szybko prześliznął się po niéj i z zamiłowaniem, którego żywości dorównywało głębokie znawstwo, rozbiérał piérwotne dzieje chrześciańskiéj filozofii, wykładał naturę przerozmaitych herezyj, mówił o starożytnéj kabale, dawnych Gnostykach, Joanistach, Albigensach, późniejszych Aryanach i nowożytnych Unitaryuszach. Dowodził fałszywości wszystkich tych kacerskich opinij i, roztwiérając z kolei stare wielkie księgi, biegle czytanemi z nich ustępami zdania swe popiérał. Pisma ojców kościoła umiał prawie na pamięć, a cytaty z biblii sypały się z ust jego, jak téż tłómaczenia i komentowania ich, bystre w istocie i niezmiernie uczone, choć zawsze ku jednemu kierunkowi i sensowi naciągane.

Jeżeli uprzednia rozprawa hrabiego o malarstwie i rzeźbie zajęła mię żywo, teologiczne dowodzenia jego zaciekawiły mię bardziéj jeszcze. Coraz więcéj spostrzegałem, że znajduję się w obec inteligencyi szlachetnéj, szerokiéj, która kiedyś namiętnie i pracowicie szukać musiała prawdy i piękna. Miałem właśnie odezwać się ze zdaniem jakiémś, tyczącém się téj dziedziny myśli ludzkiéj, o któréj z tak głęboką uczonością i z tak żywym umysłem rozprawiał hrabia, gdy podniósł on rękę znaczącym gestem, uśmiéchnął się wpółfiluternie, wpółszydersko i nagle zagadnął:

— Jesteś pan jednym z doktorów uczoności nowożytnéj, a jednak przekonam pana zaraz, jak daleką jest ta sławiona, dzisiejsza wiedza wasza od téj, którą posiedli mężowie dawnéj nauki. Oto, powiédz mi pan, powiédz pan, jeżeli potrafisz, ilu np. szatanów zmieścić się może na główce jednéj szpilki?

Umilkł i patrzał na mnie z podniesioną wciąż ręką i z tryumfującym wyrazem na twarzy, którą przy wymawianiu imienia szatanów przebiegło było nerwowe drgnienie.

Osłupiałem. Nie byłem jeszcze zupełnie pewnym prawdziwości moich domysłów, przesunęło mi się przez myśl, że hrabia chciał zażartować ze mnie. Po chwili więc namysłu odpowiedziałem spokojnie, ale stanowczo:

— Przebacz, panie hrabio, ale niewiadomością moją w tym względzie bynajmniéj upokorzonym się nie czuję. Myślę owszem, że pytanie takie, jak to, które przed chwilą usłyszałem, zadawać sobie mogli tylko ludzie z inteligencyą, szlachetną zapewne, bo szczérze spragnioną prawdy, ale z rozumem zwichniętym i rozszalałą wyobraźnią.

Przy téj odpowiedzi mojéj na twarzy hrabiego ukazał się zrazu gniew, wkrótce jednak zastąpił go wyraz wielkiéj litości.

— Biédni! biédni! biédni! wymówił, z żałością kiwając głową, potém zawołał:

— O! jabym wszystkie książki tych waszych nowożytnych mędrców, tych Koperników, Galileuszów, Newtonów, Bakonów i Darwinów w bezdenne morze wrzucił, aby pamięć o nich i o zawartych w nich fałszywych naukach bez śladu zginęła, a ich samych.... tych niewierzących i do niewiary wiodących..... te nieszczęsne ofiary ducha ciemności, spaliłbym na ognistym stosie, jak spalono Giordana Bruno i Jana Hussa, jak palono niegdyś, za czasów istotnéj wiedzy i sprawiedliwości, tysiące kacerzy, czarowników, opętańców, przedłużających panowanie króla ciemności, z którego przyczyny my, wierzący przecież, my, za niedowiarków pokutujący, tak cierpimy, tak strasznie.... cierpimy!

Przy słowach tych oko jego zapłonęło ostro i dziko, a zwiędłą, chudą twarz okrył szkarłatny rumieniec.

— Panie hrabio! ozwałem się, chciałżebyś pan wznowić na ziemi czyny i krzywdy inkwizycyi ś-téj, instytucyi téj....

— Świętéj prawdziwie, dobroczynnéj, zbawiennéj instytucyi! przerwał z zapałem. Wiém, że wypisujecie i wygadujecie teraz na nią miliony bluźnierstw i potwarzy, ale przekonacie się z czasem — o! przekonacie się w porze sądu i kary, że lepiéjby wam było stokroć płonąć na ziemi przez jednę godzinę, niż w piekle — przez wiekuistość.....

Wstał i chudą, gorącą w téj chwili ręką swą objął moję rękę.

— Ponieważ wspomnieliśmy o inkwizycyi ś-téj, zaczął, uspakajając się, chodź pan, zobacz jedno z arcydzieł nieśmiertelnego Rubensa.

Powiódł mię ku jednéj ze ścian pokoju, śród któréj rozkładało się ogromnych rozmiarów płótno. Z powodu zmroku przecież treść obrazu była zaledwie widzialną. Hrabia dotknął sprężyny, znajdującéj się u okna, a gdy osłaniająca je żaluzya podnosiła się z łoskotem żelaznych prętów, owijające ją węże, jaszczurki i bajeczne gady zwinęły się téż w dziwaczne kłęby i zygzaki i w konwulsyjnych jakby poskokach wzniosły się w górę. Hrabia zadrżał od stóp do głowy i wyciągnął dłonie tak, jakby chciał odepchnąć od siebie czy wązki szlak światła dziennego, który wpłynął przez odsłonięte okno, czy tę z chrzęstem i łoskotem zwijającą się gromadę ciał ślizgich i błyszczących. Zwolna i łagodnie ująłem jednę z jego wyciągniętych dłoni.

— Przebacz mi, panie hrabio, rzekłem, jeżeli, jako lekarz, poważę się uczynić uwagę, tyczącą się ściśle dziedziny hygieny fizy-

cznéj i moralnéj. Widok pięknych tych, ale dziwacznych zasłon u okien sprawia panu przykre wrażenie. Należałoby je usunąć.

Słuchał mię cierpliwie, pobłażliwie, a potém uśmiéchnął się i odpowiedział:

— Uwagę pańską podyktowała mu o tyle zapewne mądrość światowa, o ile życzliwość dla starca, którego zamiłowania i zbiory obudziły w nim sympatyą. Dziękuję też panu za nią, ale usłuchać jéj nie mogę. Przedmiotów strasznych nie należy usuwać od siebie.... owszem, owszem powinny nas one otaczać zewsząd, dokoła — bo któż wié, co czeka go kiedyś.... tymczasem więc pokutować i przygotowywać się należy.... Zasłony te są mego własnego pomysłu. Wyrysowałem je sam i kazałem wykonać zagranicą, a wiész pan, dla czego, oto....

Tu nachylił się nieco ku mnie i stłumionym szeptem dokończył:

— Oto dla tego, że jeśli kiedyś, po strasznym sądzie, węże i gady — jak owych Izraelitów na puszczy, — owiną ciało moje, — abym był choć trochę, choć trochę oswojony z ich widokiem.... rozumiész pan? ja bo żądeł ich nie lękam się tyle, co dotknięcia tych ślizgich, zimnych ciał.... Otóż teraz pora patrzéć na nie i często przesuwać po nich dłonią. Potém lżéj już będzie.... choć trochę lżéj....

— O! bo pan nie wiész wcale dodał, jakie *tam* panują rozmaitości mąk.... wymysły, mówię panu, bogactwa, wykwinty męczarni.....

Drżał na całém ciele, tulił się w swą opończę, parę razę zęby szczęknęły mu głośno. O pokazywaniu mi obrazu zapomniał.

Teraz już byłem pewny, że się nie mylę. Zdjęło mię dla człowieka tego tak wysoce inteligentnego i pracowitego, a tak srodze teraz cierpiącego — niewysłowione współczucie. Spostrzegłem przy żywszém świetle, że powieki jego były nabrzmiałe i zarumienione, a i śród białek ocznych ciągnęły się pąsowe skazy.

— Pan hrabia — cierpiéć musisz na oczy? zapytałem wiodąc go ku stołowi, przy którym siedzieliśmy wprzódy.

— Tak, tak, odpowiedział, drżąc jeszcze trochę, ale już uspakajając się stopniowo, wyślepiłem je sobie nad książkami, wypaliły mi je spieki i kurzawy dróg, które odbywałem w poszukiwaniu moich skarbów.... Ale nic to nie znaczy. Widzę jeszcze dość dobrze, czytać nawet trochę mogę i zresztą zdrów jestem, zupełnie zdrów. Wprawdzie doświadczam niekiedy szalonych bólów głowy, ale przechodzą one potém na długo i żadnych śladów nie pozostawiają. Zdrów jestem, zupełnie a zupełnie zdrów. Nie dla siebie więc wi-

dzieć pana chciałem w domu moim, jakkolwiek bowiem towarzystwo jego będzie mi bardzo pożądaném i przyjemném, lekarskich rad nie potrzebuję wcale, bo zdrowie moje jest zupełném, wyborném, mogę o tém pana upewnić. Ale.... mam syna i córkę....

Umilkł na chwilę, potém mówić zaczął zwolna i z wyrazem zamyślonego smutku na twarzy:

— Syn mój jest trochę cierpiący.... nie wiém prawdziwie, co mu jest.... smutny jakiś ciągle.... milczący. Czytać lubi, ale o tém co czyta, mówić nie chce nigdy z nikim, prócz czasem z moją córką, ale i to rzadko kiedy. Zresztą myśliwy z niego zapalony.... raz na polowaniu, gdzieś w głębi naszych ogromnych lasów, przestrzelił sobie ramię.... wypadkiem naturalnie, najzupełniéj wypadkiem.... Nie myśl pan, proszę, i nie przypuszczaj nawet, aby uczynił on to umyślnie.... był to z największą pewnością wypadek ot taki, jakich zdarza się z myśliwymi wiele.... ja jednak chciałbym, aby uczciwy i uczony lekarz jak najczęściéj go widywał.... Zagranicą był, leczył się, nic mu nie pomogło.... chciéj pan jednak spróbować.... to moje najstarsze.... piérwsze dziecko.... syn jedynak!

Coraz jaśniejszą i posępniejszą zarazem stawała przedemną tajemnica téj rodziny.

— Córka moja Irena, zaczął znowu hrabia, jest zupełnie zdrową, ale — wiész pan? ja lękam się, aby i ona nie zachorowała *także*....

Ręce i policzki zadrżały mu tak samo, jak kiedy wspominał o szatanach i piekle.

— To znowu najmłodsze z dzieci moich i najpiękniejsze, najrozumniejsze.... najukochańsze.

Zwiesił głowę na piersi i, patrząc w ziemię, milczał długo. Gładkie i połyskujące, jak kość słoniowa, czoło jego falowało, poruszane ciemnemi snać myślami. Parę ciężkich westchnień podniosło wysoko wklęsłą pierś jego i opadającą na nią szeroką krézę.

— Tak, zaczął znowu, nie podnosząc głowy ni wzroku, jakkolwiek zbroilibyśmy się przeciw miłości ku światu temu i marnym stworzeniom, jakkolwiekbyśmy zatopili się całą duszą w groźnych widokach i odgłosach wiekuistości, posiadamy zawsze w piersi naszéj zakątek, w którym królują uczucia i troski doczesne. Spraważ to Boga czy szatana? daremnie zbadać usiłowałem. Duchy piekieł rozniecają w nas płomię i żar namiętności, ale też nigdzie, ani w księgach, ani w wewnętrznych natchnieniach, których słucham pilnie, ani w strasznych tych snach, które dręczą moje noce, nie wyczytałem, nie usłyszałem, aby Bóg kochać zabraniał...

Długo siedział, pogrążony jakby w walce, którą uczucia jego toczyły ze skrupułami, groźbami przerażonéj jego wyobraźni. Potém, zawołał nagle:

— I za to więc straszny Sędzia karać mię będzie, jeżeli nie zgadza się to z wolą Jego, ale ja inaczéj nie mogę.... kocham moję córkę... boję się o nią.... Dziécię to, ilekroć je widzę, zasłania mi sobą wszystkie objawienia wiekuistéj przyszłości.... Widok jéj rozprasza udręczenie moje, jak promień chmury... Pocóżby Bóg dawał ludziom dzieci takie i w piersi ich wkładał serca ojcowskie, jeżeliby nie chciał, aby oni je kochali? nieprawdaż, panie? Ale po cóż zapytuję o to pana? Dawałem wszak już pytanie to wszystkim świętym księgom i świątobliwym mędrcom — a z odpowiedzi, jakich mi udzielali, zaczerpnąłem tylko niepewność... wątpliwość....

Po chwilowém znowu milczeniu wyciągnął do mnie rękę i, z serdeczną prośbą w głosie, rzekł:

— Przypatrz się pan bacznie mojéj Irenie.... bywaj u nas jak najczęściéj i przypatruj jéj się zawsze.... okiem lekarza, fizyologa, rozumiész pan? fizyologa i psychologa raczéj! I, jeżelibyś pan kiedy spostrzegł w niéj cóś.... cóś.... niezwykłego, groźnego.... na bojaźń Bożą zaklinam pana, na pamięć o wiekuistości — lecz ją pan coprędzéj.... ratuj ją!... Ona teraz z pewnością zupełnie zdrowa, ale ja się o nią bardzo lękam...

Wstał szybko i rzekł:

— Pójdźmy do niéj!

Do głębi wzruszony, przechodziłem obok hrabiego długi wązki salon, który tuż za gabinetem rozpoczynał liczny szereg pokoi, tak samo, jak inne, które już widziałem, napełnionych półcieniem, ciszą i bogatemi, lecz staroświeckiemi, ciężkiemi i sztywnie ustawionemi sprzętami. Zamykając za sobą drzwi gabinetu swego, hrabia mówić mi zaczął, że oprócz syna i córki, których wnet poznam, ma on jeszcze jednę córkę, zamężną od lat kilku i na Wołyniu zamieszkałą, baronowę Aurelią Starrwitz.

— O tę jestem zupełnie spokojny, dodał i uczynił ręką gest jakby smutnego lekceważenia. Była ona zawsze, jest i będzie zdrową. Odrodziła się od całéj rodziny naszéj pod każdym, ale to pod każdym względem. Może to zresztą i dobrze. W rodzie naszym wszyscy posiadali lub posiadają w sobie cóś wyższego.... jakąś myśl wielką.... jakąś zdolność niepospolitą.... to téż....

Urwał i zamyślił się, lecz, gdy domawiał ostatnich wyrazów, z oddali, kędyś z głębi długiéj perspektywy półciemnych salonów, przypłynęły do uszu naszych dźwięki muzyki skrzypcowéj. Przeciągłe one były i czyste, jak kryształ. Stopniowo zbliżały się coraz

jakby grająca tam gdzieś istota ludzka naprzeciw nas postępowała. Naprzeciw nas, za dwoma czy trzema jeszcze pokojami, wysokie drzwi zasłonięte były wielką portyerą z pąsowéj materyi, na któréj dwóch połowach wyhaftowane były złotemi nićmi wysmukłe mitologiczne figury. Figury te przedstawiały snać bóstwa, czy emblematy muzyki, bo jedna z nich stała z lirą w objęciu, druga z wygiętą szatą i w tył zarzuconemi skrzydłami leciała, dmąc w róg, długi i w górę wzniesiony. W chwili, gdy wyraźnie dostrzédz już mogłem pyszną tę zasłonę, rozchyliły się nieco dwie jéj połowy i pomiędzy dwoma alegorycznemi upostaciowaniami muzyki zjawiła się ludzka postać ze skrzypcami w ramionach.

Był to starzec średniego wzrostu i okrągłych kształtów ciała, z głową, któraby mogła służyć za wzór postarzałego cherubina, jeśliby cheruby starzeć się mogły. Była to głowa, z białemi, jak srebro, włosami, z twarzą okrągłą, pełną, rumianą, z niskiém białém, gładkiém czołem, pod którém świeciły najczystszym błękitem dwie przedziwnie łagodne, wilgotne źrenice, z pełnemi, rumianemi usty, których linie zarysowywały uśmiech, łagodny też i zachwycony. Człowiek ten szedł naprzeciw nas jednostajnym, powolnym krokiem i ani na sekundę grać nie przestawał długiéj jakiéjś, głębokiéj melodyi. I wtedy nawet, gdy spotkawszy nas w środkowym salonie rozmijał się z nami o parę zaledwie kroków, grać nie przestał. Nie widział nas. Turkusowe oczy jego, z za wilgotnéj przysłony swéj, nieruchomém wejrzeniem patrzały gdzieś daleko, na ustach wisiał mu téż wciąż nieruchomy i zachwycony uśmiéch. Hrabia usunął się nieco z drogi przed idącym, a gdy ten minął już nas, rzekł do mnie zcicha:

— Brat mój rodzony, hrabia Antoni Zaburzeński, niegdyś jeden z największych talentów muzycznych w Europie. Mając lat trzydzieści, komponował operę, któréj piérwsze partye, odegrane w konserwatoryum Paryskiém, obudziły zachwyt i zapał powszechny... W kilka dni po tym tryumfie, układając wielki chór drugiego aktu opery swéj, zachorował!

Mimowoli obejrzałem się. Hrabia Antoni zniknął już za drzwiami gabinetu swego brata, a dźwięki muzyki jego smutne, czyste, oddalały się i konały wśród grubych murów pałacu.

U zasłony ze złocistemi alegoryami muzyki, hrabia przystanął na chwilę.

— Wchodzimy do apartamentu pań! rzekł.

Z powiedzenia tego domyśliłem się, że oprócz hrabianki Ireny, pałac posiadał inne jeszcze panie, lub inną panią...

Jakoż w mniéj, niż inne, obszernym salonie czy buduarze kobiécym, widocznie, do którego weszliśmy, u jednego z dwóch okien, które

niczém zasłonięte nie było, na taburecie, umieszczonym pośród wysokiego o trzech wschodach podniesienia, siedziała kobiéta w czarnéj jedwabnéj sukni. Ażurowe i sztywnie stojące koronki czarnego również czépka przezroczystemi niby ramami otaczały twarz jéj. nadzwyczajnie białą i oświéconą dwojgiem czarnych, płomienistych oczu. Czém zajętą była mieszkanka ta pałacu tego?—niktby nie odgadł. Spotykać snać tu miałem na każdym kroku najniespodziewańsze widoki. Mieszkanka ta pałacu, w jedwab' i koronki ubrana, przędła. Z więzi puszystego lnu, przywiązanéj do grzbietu hebanowego kołowrotka, ręką, również białą, jak była twarz jéj, wysnuwała nitkę pajęczéj cienkości. Czarne koło szybko i z monotonnym turkotem wirowało przed nią, na nić, po któréj przesuwały się alabastrowe jéj dłonie, padał z okna promień słoneczny i czynił ją złotą.

Zdumiony niepospolitością ujrzanego obrazu, przystanąłem na chwilę u drzwi.

— Siostra moja, hrabianka Adelajda Zaburzeńska, pochylając się ku mnie, szepnął hrabia.

Skierował się ku oknu, przy którém na wysokiém podniesieniu swém siedziała kobiéta i, zatrzymując się przed nią, wymówił, w kształcie przedstawienia, imię moje, nazwisko i naukowy mój tytuł. Teraz. tuż przed nią stojąc, spostrzegłem, że pomimo wielkiéj białości twarzy swéj i kruczéj czarności włosów, wysuwających się z pod czépca, fantastyczna prządka nie była młodą. Świadczyły o tém liczne zmarszczki, zgromadzone na czole jéj i wkoło warg bladych i zwiędłych. W czasie przedstawienia hrabiego przestała prząść. Nie odjęła jednak dłoni od złotéj nici, i tylko oczy jéj czarne, ogniste utkwiły w twarzy mojéj sztywnie i nieruchomo. Skłoniła głową powoli, wyniośle.

I zaraz potém rzekła:

— Czy przybywając do nas, nie spotkał pan w drodze sławnego poety, któremu na imię Artiur?

Najniespodziewańsze w świecie pytanie to wprawiłoby mię w kłopot niepomierny, gdyby w téjże chwili hrabia nie zapytał siostry, czy córka jego znajduje się u siebie.

— Złota hrabinka, odparła kobiéta, przed chwilą była tu zemną, ale teraz jest w swoich pokojach.

Hrabia oddał siostrze ukłon, pełen galanteryi, jam go naśladował, i odeszliśmy. Byliśmy u wejścia do przyległego pokoju, kiedy za nami ozwał się stłumiony, lecz zawsze dziwnie harmonijny głos hr. Adelajdy.

— I późno—późno już po skończonym dziale.

— Przybył poeta—z dalekich przybył stron...

Słowom tym wtórował i dalszy ciąg ich zagłuszył monotonny turkot kołowrotka. Hrabia, pochylony ku mnie, szeptał.

— Hrabianka Adelajda była niegdyś bardzo piękna... śpiewała, jak anioł, i pisała ładne wiersze... Miała lat dwadzieścia pięć, kiedy, doświadczywszy wielkiego sercowego zmartwienia, zachorowała!

Znaleźliśmy się znowu u wysokich zamkniętych podwoi. Hrabia stanął i roztargnioną ręką ujmując klamkę drzwi, szepnął mi bardzo cicho i z tajemniczym wyrazem twarzy:

— Widzisz pan... tak bywa z nami wszystkimi... oddawna... Długa to historya... Nie ze wszystkimi jednak... Jeden z braci mego ojca przez całe życie przechował zdrowie zupełne, był to też człowiek mierny, bardzo mierny pod każdym względem... Baronowa Aurelia jest i będzie zawsze zdrowa... bo też ona także... a! Lecz ci w rodzie naszym, którzy nietylko z gliny są, albo z błota, ale i z ognia także!... rozumiész pan? ci wszyscy... z takich wszystkich ja tylko i Irena jesteśmy dotąd zupełnie zdrowi....

Milczał chwilę, usta mu drgały, jakby powiedzieć cóś chciał a nie śmiał. W końcu jednak rzekł bardzo prędko i cicho:

— Wiész pan, dla czego tak jest? Oto nieszczęście nasze jest sprawą ducha ciemności, a on żąda ofiar szlachetnych... podłego kruszcu mu nie potrzeba... bierze on wielkie dusze ludzkie i umieszcza na czarném sklepieniu piekieł, aby świeciły, jak gwiazdy wiekuistéj nocy jego. Hrabia Antoni i hrabianka Adelajda dusz już nie mają. Ciała ich tylko błądzą tu jeszcze i dźwięczą echami tych głosów, które napełniały je niegdyś.... Dusze ich.... palą się gdzieś na czarnych niebiosach piekieł!

Chcąc przerwać paroksyzm trwogi, który ogarniał znowu hrabiego, rzekłem stanowczym głosem:

— Panie hrabio! pójdźmy do hrabianki Ireny!

— Pójdźmy! powtórzył, i przycisnął dłonią kryształową klamkę zamkniętych drzwi.

Zaledwie otworzyły się drzwi te, wzrok mój, przyzwyczajony do półmroku, panującego w tym domu, olśnionym został powodzią świateł dziennych, zalewających ogromny pokój, do którego weszliśmy. W obfitém świetle tém nic zrazu nie dojrzałem, prócz naoścież roztwartych naprzeciw nas drzwi parapetowych i ciągnącego się za niemi szerokiego balkonu z kamienną posadzką. Nad balkonem, na tle zielonych drzew ogrodowych, unosiła się w słońcu gromada białych gołębi, w progu drzwi, ogarnięta szerokim słupem słonecznego światła, stała wysoka kobiéta, w sukni słomianéj barwy. Usłyszawszy zapewne szelest otwiérających się drzwi, kobiéta ta

odwróciła się i żywo ku nam postąpiła. Hrabia przedstawił mię jéj w kilku uprzejmych i pochlebnych dla mnie słowach.

— Mój ojcze, odpowiedziała hrabianka Irena, nie jesteśmy zupełnie nieznajomi z panem Stroszem.

I wskazując mi jeden z foteli, umieszczonych przy kanapce, na któréj usiadła sama, dodała z przyjaznym uśmiechem.

— Przedwczoraj właśnie odebrałam od profesora Maksymiliana list długi, w którym pisze mi on wiele o panu. Szczérze rada jestem, że poznaję ulubionego ucznia człowieka, któremu zawdzięczam więcéj, niżbym wyrazić i opowiedzieć zdołała.

Wspólna cześć nasza dla profesora Maksymiliana stała się odrazu łącznikiem pewnym, pomiędzy mną a hrabianką, i ułatwiła znacznie piérwsze zawarcie znajomości. Odgadując, że sprawię jéj tém przyjemność, zacząłem mówić o wspólnym naszym znajomym, o sposobie życia jego i coraz nowych naukowych studyach, którym się on oddawał. Słuchała mię bardzo uważnie i co chwilę przerywała opowiadanie moje pytaniami, w których malowało się nietylko żywe przywiązanie do człowieka, o którym mówiliśmy, ale i dobre zrozumienie prac i dążności jego życia.

Rozmawiając w ten sposób z hrabianką, z żywo rozbudzoną ciekawością, z rodzajem trwożnego niemal współczucia, przypatrywałem się jéj i jéj otoczeniu.

Hrabianka była niewątpliwie bardzo piękną, ale najwybitniejszemi cechami jéj powierzchowności były: zdrowie, spokój i siła. Cechy te objawiały się w niéj pod obu względami: fizycznym i moralnym. Wysoka, z doskonale harmonijnemi, ale silnie rozwiniętemi kształtami kibici, nie posiadała ona w sobie nic z wypieszczenia i chorobliwéj delikatności kobiét, wzrosłych w zbytku i zamknięciu. Cera twarzy jéj, ściągłéj i pięknie zarysowanéj, śniadawą była od opalenia się na słońcu letniém i wichrach wiosennych, ręka biała i kształtna, lecz wcale nie drobna, wydawała się dość silną, aby módz zwycięzko poskramiać najszaleńszego wierzchowca, albo, pochwyciwszy narzędzie pracy, podnosić niém ciężkie skiby ziemi. Po matce wzięła ona włosy kasztanowatéj barwy, z czerwonawemi połyskami nad czołem i w warkoczu, który, z klasyczną prostotą greckich posągów, pojedyńczym grubym splotem otaczał jéj głowę. Było też zapewne cóś z podobieństwa do matki w delikatnym zarysie ust jéj drobnych, lecz szkarłatnych i w ruchliwości cienkich jéj nozdrzy. Po ojcu za to odziedziczyła czoło wysokie, o rozumnych, nieprawidłowych liniach i wygięciach, a pod czołem tém piwne oczy jéj, w migdałowéj oprawie, patrzały śmiałém, mądrém, spokojném wejrzeniem.

Najbliższe otoczenie hrabianki Ireny nienmiéj znaczącém było i do myślenia dającém, jak jéj powierzchowność. Niedziw, że wzrok mój, przyzwyczajony do zmroku, oślnionym został jasnością, w pokoju tym panującą, gdyż oświetlało go troje parapetowych oszklonych drzwi, okno, umieszczone w sklepionéj, głębokiéj framudze, obitéj od szczytu do dołu półkami, pełnemi książek. Zresztą znajdowało się w mieszkaniu tém tyle przynajmniéj roślin i różnych istot żyjących, co świateł dziennych i słonecznych. W klatkach, zwieszonych pomiędzy klombami roślin, świegotały kanarki, na ruchomym pręcie, zwieszającym się od szczytu framugi, siedziała poważnie nastrzępiona papuga. Cienka nić wody strzelała w górę, zpośrodka sztucznego basenu, pośród tłumnie nagromadzonych okazów roślinnego i zwierzęcego świata, nie brakło i pięknych dzieł sztuki.

Wesoło tu było w mieszkaniu tém córki nieszczęsnego rodu, aż nadto wesoło, barwnie, kwitnąco i błyszcząco. Mimowoli nasuwało się myśli méj przypuszczenie, że cała wesołość ta i błyskotliwość sztuczną musiała być nieco i wymożoną wielkiemi wysiłkami ducha, broniącego innych — a może i siebie — od ciemnych widoków, wywołujących czarne myśli. W pałacu tym, jak grób, mrocznym i milczącym, pokój ten wydawał się oknem, otwartém na świat słoneczny, kwitnący i śpiewający. Był on zapewne oazą, śród któréj duchy, kołacące się pomiędzy ścianami temi w smutku i niepokoju, znajdowały chwilę wytchnienia. a kto wié? może także i nagromadzeniem widoków i zajęć, któremi sama twórczyni jego napełniała czas swój, płynący na pustyni, i broniła się od przyjęcia na głowę własną ciążących nad rodzinnym jéj dachem chmur niezwyciężonego nieszczęścia!

Jedno uważne spójrzenie na hrabiego potwierdziło część mych przypuszczeń. Odkąd wszedł do pokoju córki, zaszła w nim zmiana widoczna. Niedarmo powiadał mi przed kwadransem, że widok ulubionego dziecka zasłaniał przed nim groźne objawienia wiekuistości i rozpraszał udręczenia jego, jak słońce chmury. Nie wspominał on tu już o strasznym sądzie, szatanach, wielkich duszach, palących się na czarnym stropie piekieł, i wykwintach męczarni, które oczekują ludzi kędyś tam — po drugiéj stronie życia, — nerwowe drgania przestały poruszać twarzą i rękami jego, z siwych oczu zniknął migotliwy płomyk przerażenia. Siedząc pomiędzy mną a córką, mięszał się niekiedy do rozmowy naszéj w sposób, pełen światowéj swobody i uprzejmości, uśmiechnął się nawet parę razy, słuchając, jak hrabianka Irena opowiadała mi o dobroczyn-

néj surowości, z jaką obchodził się z nią, za jéj lat dziecinnych, profesor Maksymilian.

— Chciéj pan sobie wyobrazić, mówiła, że, od najwcześniejszego dzieciństwa, wspólny przyjaciel nasz zmuszał mię do długich przechadzek, w takich nawet porach roku, kiedy stwardniałe śniegi połyskiwały milionami iskier, a włosy moje i rzęsy od mrozu stawały się białe.

Zaśmiała się. Wśród śmiechu błysnęły jéj z za koralowych warg białe zęby, a z za ciemnych długich rzęs piwne źrenice. Wtedy to, patrząc na nią, uśmiechnął się i stary hrabia.

— Profesor Maksymilian, mówiła daléj hrabianka, doradził rodzicom moim, aby kazali uczyć mię konnéj jazdy i pływania. Co do zimnéj wody — żaden dzień letni, ani zimowy nie wyjednywał mi łaski — nurzałam się w niéj, jak te wodne dziewice, o których opowiada często ciocia Adelajda, że przemienione w łabędzie zamieszkują koralowe, podwodne groby. Nie miałam tylko, niestety, skrzydeł łabędzich, ani pałaców z korali.

— W zamian, dodała po chwili, musiałam przechadzać się wieczorami po ciemnych aleach ogrodu, aby nabrać zbawiennego przekonania, że w ciemnościach nie kryją się żadne rzeczy straszne...

Tym razem hrabia nie uśmiechał się, lecz przeciwnie, uderzony ostatniemi wyrazami córki, tajemniczym znowu szeptem powtórzył:

— W ciemnościach kryją się rzeczy straszne... o! straszne!

Hrabianka bystre spójrzenie zatopiła w twarz ojca.

— Że w ciemnościach nie kryją się żadne rzeczy straszne! wymówiła głosem, podniesionym nieco i tak jakoś pełnym stanowczéj siły, że ja zdumiony zostałem, a szept hrabiego umilkł.

— Nie był to mistrz pobłażliwy, — o nie! mówiła daléj hrabianka, — nie pozwalał mi on dwóch szczególniéj rzeczy, do których miałam ogromną wrodzoną skłonność: marzyć i lękać się! Kiedy letniemi wieczorami, patrząc na gwiazdy, zaczynałam roić o nich różne najdziwniejsze dziwy, on ściągał mię na ziemię, mówiąc poprostu, że są to ciała, złożone z takich a takich części chemicznych, kierowane w przestrzeni takiemi a takiemi siłami fizycznemi i rozdzielone z ziemią taką a taką ilością mil. Wtedy słowem, gdy ja chciałam z gwiazd, jak z liter, układać fantastyczne poematy — on zmuszał mię w najlepsze do słuchania lekcyi astronomii i matematyki...

— I słuchałaś ich pani chętnie? zagadnąłem.

— Zrazu, przerabiałam je na swój sposób — to jest na cudowne, czarnoksięzkie bajki — potém jednak obudziła się we mnie

wielka ciekawość nauki, która też trwa i dotąd. Z lękaniem się taż sama była historya. Ile razy przedmiot jaki trwożył mię i przerażał — tyle razy nastręczała się dla mnie sposobność wysłuchania czegoś o rzeczywistéj naturze i składowych częściach zjawiska. O! było to bardzo umiejętne, bardzo trafnie zastosowane wychowanie...

Przy ostatnich słowach, piérwszy raz, odkąd z nią rozmawiałem, spuściła oczy i zamyśliła się. Cień smutnéj myśli przebiegł jéj po czole i zsunął ciemne łuki brwi. Twarz jéj spokojna tak, że aż zimna prawie, nabrała teraz wyrazu powściąganéj boleści. Krótko to przecież trwało. W téj saméj bowiem chwili, dwie sarny złotawe wybiegły kędyś z zarośli ogrodu, chyżo przemknęły po trawniku, ścielącym się u stóp balkonu, i parą skokami znalazły się na balkonie. Jedna z nich, nieśmielsza snać, zatrzymała się tam i we wnętrze pokoju spoglądała czarnemi oczami, z trwożném jakby pytaniem, ale druga przeskoczyła próg i, w mgnieniu oka znalazłszy się przy hrabiance, legła u nóg jéj i kształtną głowę utuliła w fałdach jéj sukni. Hrabianka zbudziła się z chwilowego zamyślenia, spuściła wzrok ku wdzięcznemu stworzeniu i zwolna powiodła dłonią po złotawéj jego sierści.

— Jak widzę, rzekłem, lubisz pani zwierzęta i ptaki.

— Bardzo, odpowiedziała. O! bardzo! powtórzyła, przychylając twarz ku podnoszącéj się ku niéj głowie sarny; to tak ożywia, rozwesela dom i takie ma prawo do ludzkiego współczucia...

Hrabia zdawał się z przyjemnością patrzéć na zgrabne ulubienice córki.

— Sarny te, rzekł, oswoił dla córki mojéj i w podarunku jéj przysłał kuzyn nasz, hrabia Zygmunt Zaburzeński...

Zaledwie to wymówił, w głębi framugi, wyłożonéj książkami, głos donośny i wyraźny, choć trochę chrypliwy, po kilka razy wykrzyknął:

— Hrabia Zygmunt! hr. Zygmunt! kuzynek Zygmunt!

Była to papuga, która, kołysząc się na złoconym swym pręcie, powtarzała imię, przez hrabiego wymówione. Hrabianka nie zdawała się najmniéjszéj zwracać uwagi na wykrzyki ptaka, ale stary hrabia drgnął i otulił się znowu w płaszcz swój nerwowym ruchem.

— Brzydki ptak! nieznośny ptak! straszny ptak!

— Mój ojcze, odpowiedziała hrabianka, ptak ten jest zupełnie niewinném, a czasem bardzo zabawném stworzeniem.

— Niewinném? zaczął hrabia. A któż zaręczyć może za to, że przez gardło jego nie przemawia...

Nie dokończył, bo bystry i jasny wzrok córki utkwił znowu, jak przed chwilą, w twarzy jego. Hrabia zdawał się mimowoli ulegać milczącemu jego wpływowi.

— Tak, tak, zaczął zcicha, zapewne... ptak to niewinny zapewne... ale... któż wié, gdzie zakradać się mogą i czyim językiem przemawiać nieprzyjaciele ludzkiego...

I znowu nie dokończył, bo ptak wesoły i gadatliwy, dokonawszy wraz z prętem swym wielce sztucznéj piruety jakiéjś, donośniéj jeszcze, jak wprzódy, zawołał:

— Hrabia Zygmunt! Kuzynek Zygmunt! narzeczony... Umilkł na chwilę, potém z chrapliwym wybuchem głosu dokończył:

— Narzeczony złotéj hrabinki!

Tym razem hrabianka nie pozostała obojętną. Na ogorzałą twarz jéj wystąpił prawdziwy płomień rumieńca. Uczyniła ruch taki, jakby chciała porwać się z miejsca i skarcić gadatliwego ptaka, ale powściągnęła się i oczy jéj tylko błysnęły gniewnie, a ręce nerwowym ruchem, którego, sądząc z powierzchowności, nie spodziewałbym się po niéj, zmięły parę fałd sukni. Całkiem znowu przeciwnie, hrabiego twarz rozjaśniła się tak, jak ani razu jeszcze w obecności mojéj przedtém.

— Dobrze mówi! wyrzekł zcicha i z lekkim śmiechem zadowolenia, ptak ten dobrze mówi, Ireno! Wiém już, że nie przemawia przezeń duch wrogi! narzeczony! tak! narzeczony jeszcze! zawsze jeszcze narzeczony!

A ptak, uradowany, że poddawano mu wciąż wyraz, który wymawiać umiał, kołysał się z prętem swym coraz szerzéj i wyżéj i, wiernie naśladując hrabiego, ze śmiechem téż wykrzykiwał:

— Narzeczony! narzeczony! hrabia Zygmunt, narzeczony złotéj hrabinki!

Hrabianka powstała i, zwracając się do mnie, rzekła:

— Może pan zechcesz przejrzéć moje książki. Jakkolwiek jest to księgozbior kobiécy tylko, dodała z uśmiechem, nie wątpię, że znajdziesz pan w nim niejedną rzecz, która go zajmie. W pustéj okolicy, któréj stałeś się pan mieszkańcem, i takie zródło użytecznem stać się może.

Gdy to mówiła, podziwiałem siłę jéj panowania nad sobą. Rozdrażnił ją widocznie dźwięk wyrazu, powtarzanego na wyścigi jakby, przez ptaka i hrabiego. Twarz jéj płonęła rumieńcem, oczy błyszczały gniewem czy tajemnym bólem, ale postawa i głos były zupełnie spokojne. Uśmiechała się drgającemi wargami. Chciała widocznie położyć koniec przykréj dla siebie scenie i uczyniła to

w sposób, pełen taktu, zdobytego przecięż, bardzo widocznie, wysileniem wprawnéj woli.

Hrabia powstał także.

— Zostawiam ci, Ireno, gościa naszego, rzekł. Spodziéwam się, że pan Strosz zechce dziś z nami zasiąść do stołu. Ja zaś, nim podadzą obiad, muszę jeszcze pójść tam...

To *tam* oznaczało zapewne ulubiony pokój hrabiego, pełen zmroku i posępnych przedmiotów, bo hrabianka złagodniała, zmiękła i, ujmując rękę ojca i przyciskając ją do ust, rzekła, z prośbą w głosie:

— Możebyś z nami pozostał, ojcze!

— Nie mogę, nie mogę! prędko odpowiedział hrabia, i tak już dzisiejszy ranek, cały prawie, tu spędziłem. Przykuwasz mię do siebie, moje dziecko, czarujesz mię... trudno mi wyjść z tego raju twego... a to niedobrze... bardzo niedobrze... grzeszne ciało rozpieszcza się... dusza lgnie do tego, od czego stronić powinna... do słońca... do kwiatów... do wesołości... A potém, co będzie? A! nie mogę... nie powinienem! miejsce moje tam! już idę! już idę!

Wązkie, blade usta swe przycisnął do czoła córki i wyszedł z pokoju śpiesznie, tak śpiesznie, jakby lękał się, aby nie uwięziły go tu, mimo woli jego, złote smugi słonecznego światła, albo czarowne oczy jego dziecięcia, które wiodły za nim, gdy oddalał się, takiém jasném i kochającém, a takiém bezdennie smutném wejrzeniem...

Zaledwie drzwi zamknęły się za odchodzącym, hrabianka Irena, jakby oczekiwała tylko chwili, w któréj znajdziemy się sam na sam, szybko zbliżyła się do mnie.

— Jak pan znajdujesz mego ojca? zapytała prędko i zcicha.

W trudném znalazłem się położeniu. Nie wiedziałem do jakiego stopnia rozciąga się świadomość jéj o rodzinném nieszczęściu, którego istotę sam już zupełnie jasno przejrzałem. Po chwilowym namyśle rzekłem:

— Szczęśliwie byłoby bardzo dla ojca pani, gdyby trafem jakim piękne, lecz drażniące wyobraźnią muzeum, które zgromadził on u siebie, zapadło się w ziemię.

Uczyniła ręką gest zniechęcenia.

— Oderwać go od miejsca tego, rzekła, od widoków i czytania, które stan jego podtrzymują i podniecają, — rzeczą jest niepodobną. Próbowałam, czyniłam wszystko, co mogłam — nadaremnie. Jedynym tryumfem moim jest to, że zgadza się on przepędzać niekiedy godzin parę w tém mojém mieszkaniu... Dziś zatrzymałam go

tu przez cały prawie ranek, dla tego téż widzisz pan ojca mego w jednym z najlepszych dni jego...

Bywały więc i dni gorsze jeszcze! Milczałem, pogrążony w smutném rozmyślaniu nad bezsilnością nauki naszéj, w obec wypadków pewnych, niestety! dość pospolitych!

Hrabianka obudziła się z chwilowego téż zamyślenia.

— A! rzekła podnosząc głowę energicznym ruchem, wiém, że daremne zadałam panu pytanie. Słyszałam nieodwołalne wyroki z ust najuczeńszych lekarzy europejskich. Tu iść tylko może o niesienie ulgi. Ratunek zupełny jest niemożliwym. Ale — czy ojciec mój mówił panu cokolwiek o moim bracie?... Młody to człowiek jeszcze i wielkich umysłowych zdolności...

Wstrzymała się na chwilę. Z twarzy jéj zniknął bez śladu już uprzedni rumieniec. Stała przedemną blada, ze spuszczonym wzrokiem. Po ciężkim oddechu jéj znać było, że cierpiała bardzo. Nagle, podniosła powieki, utkwiła w mojéj twarzy jasne, przenikliwe spójrzenie i szybkim ruchem wyciągnęła ku mnie rękę.

— W imię nauki i ludzkości i z całego serca mego, rzekła, polecam panu mego brata.

Dłoń jéj objęła moję rękę silnym, mężkim prawie uściskiem. Z samego już uścisku tego poznać można było, że umiała energicznie chciéć i kochać.

Jestem pewny, że nikt nie mógłby pozostać obojętnym, na widok téj młodéj i pięknéj kobiéty, z jasnym rozumem i kwitnącém zdrowiem, która w domu tym, podobnym do grobu, samotnie walczyła z wielkiém nieszczęściem. Zapytywałem siebie w myśli: jak daleko sięga świadomość jéj o rozciągłości nieszczęścia tego? Czy na otaczające ją ofiary jego patrzy ona, jako na jednostkowe, oderwane wypadki, czy téż świadomą jest strasznych wyroków, jakiemi nauka obejmuje całą przyszłość rodów, nawiedzanych podobną niedolą? I jakiém było piérwotne źródło niedoli téj? Jak głęboko sięgało ono w przeszłość? Jak wiele pochłonęło już ofiar? Wszystkie pytania te rozbudzały we mnie palącą ciekawość, która jednak teraz jeszcze zaspokojoną być nie miała. Hrabianka Irena nie wydawała się skłonną do użalań się i zwierzań. Po chwilowém wzruszeniu, wywołaném rozmową o ojcu i bracie, wróciła do uprzedniego chłodnego spokoju i poprowadziła mię ku swéj bibliotece. Gdy szła przez obszerny pokój, krok w krok za nią postępowała łaskawa jéj sarna, wyciągniętym pyszczkiem muskając fałdy jéj sukni. Mniéj śmiała towarzyszka jéj leżała teraz w otwartych na ogród drzwiach, a nad balkonem krążyły znowu spłoszone wprzódy wejściem naszém bia-

łe gołębie, i po trawniku leżącym u stóp ogrodowych zarośli, przebiegały od chwili do chwili pary chyżych, srebrzystych królików.

W bibliotece, ku niepomiernemu zdziwieniu memu, znalazłem nietylko bogaty zbiór poezyi i beletrystyki kilku europejskich piśmiennictw, ale i obfity zasób książek najczyściéj naukowéj treści. Pokazując mi je, hrabianka mówiła zemną o przedmiotach dzieł tych z łatwością i swobodą wysoce ukształconéj kobiéty. Podziwiałem jasność sądów jéj i obszerność wiedzy zarówno, jak trafność i prostotę jéj wyrażeń. Prostotę tę przyozdabiało i świetną czyniło niekiedy wyrażenie jakieś poetyczne, albo malowniczy, z krainy marzeń widocznie wyniesiony obraz. Znać w tém było kobiétę, która wśród głuchych rozłogów pustyni, otoczona kwiatami, zwierzętami, książkami i błędnemi ludzkiemi duchami, tajemnie cierpiąc i tęskniąc, samotnie myślała.

Niebawem, w drzwiach pokoju zjawił się stary kamerdyner z serwetą na ramieniu i oznajmił hrabiance podany obiad.

Wątpię, aby któremukolwiek z kolegów moich w ciągu najdłuższéj choćby lekarskiéj praktyki, zdarzyło się dwa razy zasiąść do stołu w towarzystwie takiém, w jakiém ja znalazłem się dnia tego.

Sala jadalna, jednym tylko ładnym i wesołym salonikiem przedzielona z apartamentami hrabianki Ireny, zostawała snać także pod jéj wyłącznym zarządem, bo nie było w niéj ani zmroku, ani żadnych drażniących umysł i wyobraźnią posępnych przedmiotów. Urządzona ze smakiem i komfortem całkiem nowożytnym, za jedyną ozdobę, przypominającą dawne czasy, miała długi szereg portretów rodzinnych, dokoła ścian umieszczonych. Portrety te zawieszonemi były tak ściśle przy sobie, że stykały się wzajem ramami, i w jedném tylko miejscu, niedaleko jadalnego stołu, istniała pomiędzy niemi pusta przestrzeń, po zdjętém widocznie płótnie powstała.

Przy stole na piérwszém miejscu zasiadła hrabianka Adelajda, z białą twarzą swą, otoczoną przezroczystą ramą czarnéj koronki, ze sztywném spójrzeniem ognistych oczów i nikłym uśmiechem na bladych ustach. Obok siostry stanął za krzesłem swém hrabia Teofil, przeobrażony nieco, bo zamiast aksamitnéj opończy i fałdzistéj krézy mający na sobie frak staroświecki i również staroświeckie żaboty z puszystych koronek. Hrabianka Irena zajęła miejsce po drugiéj stronie swéj ciotki, daléj siedział kapelan, któremu hrabia przedstawił mię zaraz przy wejściu, i rządca dóbr hrabiostwa, jak dowiedziałem się późniéj, daleki, zubożały ich krewny. Kapelan był małym człowieczkiem, pulchnym i rumianym, o którym przy piérwszém zaraz spójrzeniu rzec można było napewno, że niższy stokroć inteligencyą i charakterem od hrabiego Teofila

żadnych nań ujemnych, ani dodatnich wpływów wywrzéć nie był zdolny. Rządca przeciwnie posiadał twarz energiczną, roztropną i uczciwą. Hrabianka Irena powitała go serdeczném uściśnieniem dłoni i kilku uprzejmemi słowy. Widać było, że miała dla niego ufność i przyjaźń.

Nie rozpoczynano obiadu. Czekano widocznie na kogoś. Jakoż, z dalekich pokojów ozwały się wkrótce dźwięki muzyki skrzypcowéj. Hrabia Antoni wszedł do sali z zupełnie takim samym wyrazem twarzy, z jakim widziałem go, przed parą godzinami, i nieprzestając grać miał już minąć stół i znajdujące się przy nim osoby, kiedy hrabianka Irena powstała i dość głośno wymówiła:

— Stryju Toni!

Na dźwięk głosu jéj, muzyk stanął i cherubinową twarz swą powoli ku niéj zwrócił. Wtedy ona zbliżyła się ku niemu, łagodnie wyjęła mu z ramion skrzypce, złożyła je na umyślnie snać po temu urządzonym stoliczku i, wsunąwszy mu rękę pod ramię, przywiodła go do stołu. Muzyk patrzał na nią wzrokiem człowieka, który budzi się ze snu.

— Co to, Irenko? zapytał stłumionym, łagodnym głosem.

— Obiad, mój stryju, odpowiedziała, a gdy usiadł na krześle obok niéj stojącém, jak dziecku, zawiązała mu wkoło szyi serwetę, poczém, schyliwszy się nieco, spójrzała mu w oczy i, jak do dziecka, uśmiechnęła się. Wtedy wilgotne oczy starego muzyka wytrzeźwiły się całkiem i, przezroczyste, łagodne, kochające, utonęły w jéj twarzy.

W téj saméj chwili, naoścież i z łoskotem roztworzyły się drzwi od sieni, a przez nie wpadły najprzód dwa wielkie złotawe wyżły, najczystszéj rasy, ze złocistemi obrożami na szyjach, potém zaś wszedł młody mężczyzna, bardzo wysoki i kształtny, z długiemi płowemi bokobrodami, z wielkiém, myślącém czołem i oczami, które zdala już uderzały głęboką swą szafirową barwą.

Wyżły w podskokach przebiegły salę i z pieszczotliwém skomleniem, połączoném z brzękiem obróż, padły oba u stóp hrabianki Ireny. Piękny mężczyzna oddał wszystkim obecnym ukłon grzeczny, lecz chłodny i milczący.

— Syn mój, hrabia Emil Zaburzeński,—doktór Adam Strosz!— wymówił hrabia Teofil.

Hrabia Emil ponownie ukłonił się i, nie wymówiwszy ani słowa, zasiadł na swém miejscu. Zauważyłem, że wraz po zajęciu miejsca przelotne spójrzenie rzucił na ten punkt przeciwległéj ściany, gdzie znajdowała się próżna przestrzeń, po zdjętym jakimś portrecie pozostała. Potém już, bądź jedząc, bądź w przestankach

pomiędzy jedzeniem, biegł on wzrokiem ku miejscu temu co chwilę. Nie patrzał nań nigdy długo, ale zdawało się, że od czasu do czasu koniecznie w stronę tę patrzeć musiał. Ubranie jego z kosztownego materyału było dość zaniedbane, bujne płowe włosy jeżyły się mu nad chmurnie zamyślonem czołem. Cała piękna twarz jego miała wyraz skupionego w sobie, niesmutnego jednak, lecz raczéj obojętnego na wszystko zamyślenia.

Przez kilka minut tylko, panowało przy stole milczenie, piérwsza przerwała je młoda hrabianka, zapytując siedzącego obok niéj stryja, jakiego kompozytora grał dnia tego przez cały ranek. Ku wielkiemu zdziwieniu memu, hrabia Antoni podniósł z nad talerza wzrok, nietylko przytomny zupełnie, ale ożywiony iskrą rozumu, i odpowiedział synowicy, że wybrał sobie na dzień ten najtrudniejsze kompozycye, dla tego, iż w dniu poprzedzającym zauważył był, iż jedna z rąk jego utraciła trochę wprawy.

— Z muzyką to tak, mówił, najlżejsze zaniedbanie sprowadza zaraz utratę jakiéjś części umiejętności. Zdobyć ją trudno, a utracić łatwo.

— Zdaje mi się, zarzuciła hrabianka, że dzieje się tak z umiejętnością każdą...

— Z muzyką najbardziéj... sprzeciwił się artysta.

Hrabia Teofil wtrącił się do rozmowy, mówiąc, że myśl uczonego, przy najlżejszém zaniedbaniu się, traci wprawę swą i elastyczność również szybko, jak ręce artysty. Potwierdziłem z kolei zdanie hrabiego, i wywiązała się ztąd pomiędzy cztérema osobami rozmowa ożywiona i zajmująca, o względnych trudnościach i zasługach nauki i sztuki. Hrabia Antoni trzymał naturalnie stronę téj ostatniéj, dowodząc nieskończonéj wyższości serca nad rozumem i cytując wielkich kompozytorów, którzy niepospolite zasługi oddali sprawie cywilizowania i umoralnienia ludów. Hrabianka Irena i ja ujmowaliśmy się za nauką, hrabia Teofil utrzymywał, że tak w sztuce, jak nauce, te tylko działy i utwory istotny stanowiły skarb i pożytek ludzkości, w których tkwiła myśl religijna, odrywająca człowieka od ziemskich uczuć i trosk, a przypominająca mu wyższe duchowe cele i nieuniknioną, zagrobową przyszłość. Sprzeczka to była zupełnie łagodna, serdeczna nawet, i wśród niéj wypowiadana przez obu starych hrabiów błysnęła niejedna myśl głęboka, niejedno spostrzeżenie trafne, daleko sięgające w krainę wiedzy i natury ludzkiéj, dostarczyło dalszéj rozmowie zasobnego wątku. Przez ten czas, kapelan i rządca rozmawiali z sobą półgłosem; hrabia Emil tylko i hrabianka Adelajda milczeli.

Muzyk milkl też wtedy, gdy zjawiały się przy stole nowe półmiski. Jadł on zdumiewająco wiele i w sposób, do żarłoczności niemal zbliżony, co szczególny i przykry stanowiło kontrast z temi lunatycznemi jakby wędrówkami, które zazwyczaj odbywał on po pałacu, grając, i z wysoce artystycznym nastrojem jego rozmowy. Hrabia Teofil za to jadł bardzo mało. Podawano mu postne tylko i z ascetyczną prostotą przyrządzone potrawy. Spróbowałem zwrócić uwagę jego na to, iż pożywienie podobne prowadzić musi ciało do wycieńczenia.

Tego też i trzeba, z uśmiechem odparł hrabia. Dość już zamłodu tuczyło się ciało ślepe, głuche i grzeszne. Przed progiem wiekuistości...

— Mój ojcze, przerwała hrabianka Irena, proszę cię, abyś podzielił potrawę tę z nami...

Spójrzał na nią niezadowolony, niechętny zrazu, ale, spotkawszy się z jéj wzrokiem, jak zwykle, uległ jéj woli. Pozorna to była wprawdzie uległość, udawał bowiem tylko, że je potrawę, którą córka umieściła przed nim na talerzu. Ona jednak, nie nalegała nań dłużéj. Wiedziała już snać z doświadczenia, kiedy i do jakich granic wpływ swój wywiérać może. Natomiast, zaczęła znowu rozmowę, w którą tym razem wplątała nietylko ojca i stryja, ale i brata także. Hrabia Emil odpowiadał jéj zrazu niechętnie, krótko i z roztargnieniem, potém jednak ożywił się nieco i, nie rozchmurzając czoła, dość długo tłómaczył siostrze i mnie zawiłe jakieś ekonomiczne zagadnienie, które wywiązało się z nowéj podówczas reformy społecznych stosunków. Słuchałem go z zajęciem i niejakiém zdziwieniem. Siostra jego miała słuszność, mówiąc mi o nim, że miał on wielkie umysłowe zdolności. W rozmowie jego obojętnéj, z przymusem widocznie toczonéj znać było wielkie oczytanie i niepospolity dar spostrzegania i kombinowania zjawisk. Wkrótce jednak przelotnie spójrzał na puste pomiędzy portretami miejsce i umilkł.

Tak w sposób przyjemny i zajmujący zeszedł obiad cały. Ktoś, przysłuchujący z boku toczonym przy stole rozmowom tym, które, tocząc się pomiędzy artystą, dwoma uczonymi ludźmi i rozumną kobiétą, dotykały najwznioślejszych zagadnień sztuki, nauki i życia ludzkiego, ani domyśléć się, ani przypuścićby nie mógł posępnéj tajemnicy domowéj.

Od czasu do czasu tylko, zdradzała się ona przelotném słowem jakiémś, błędnym uśmiechem, wejrzeniem, westchnieniem.

Raz, naprzykład, kiedy mowa była o poezyi, hrabianka Adelajda, milcząca wciąż, przemówiła nagle:

— Hrabio Teofilu! pamiętaj o tém, że poeta Artiur dziś przyjedzie... o! niezawodnie przyjedzie!

Poczém, z oczami utkwionemi w przestrzeni, śpiewnym swym, prześlicznym głosem ciągnęła niby myśl, w głowie wprzódy zaczętą:

— ...... Wyrzekł Bóg: czyńże wyrzut sobie!"

Kędyś był, gdym podziału świata dokonywał?

— Byłem, o Panie,—przy Tobie!....

Westchnęła i umilkła. Nikt prócz mnie na to co mówiła, uwagi nie zwrócił.

Innym razem, hrabia Antoni, przerywając żarłoczne swe jedzenie, zawołał głośno:

— Od oklasków i krzyków zapału trzęsły się ściany konserwatoryum! Margrabina de Chateaufort podała mi wieniec z róż i wawrzynowych liści... potém pito zdrowie nowéj gwiazdy na niebie muzyki... przypłynęła im ona z głuchych równin poleskich i... wróciła na równiny te, aby śród nich... zagasnąć!

Westchnął także i, topiąc wzrok w twarzy brata, cichym, tęsknym głosem zapytał — Pamiętasz?

Hrabia Emil, który w téjże chwili patrzał na ów pusty pomiędzy portretami punkt ściany, powiódł dłonią po czole i półgłosem do siebie wymówił:—O! gdyby módz nie pamiętać!

Kiedy w godzinę po obiedzie, najsolenniéj przyrzekłszy hrabiostwu, że odwiédzę ich znowu najdaléj za tydzień, późnym wieczorem jechałem zwolna wąskim szlakiem grobli; długo, bardzo jeszcze długo widzieć mogłem samotny pałac, którego oświetlone okna blado świeciły z za mgły, wiszącéj nad bezbrzeżną równiną.

(Dokończenie nastąpi).

MARYA
ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

SZKIC KRYTYCZNY.

przez Dzięgielewskiego

Z całego szeregu znakomitych utworów poetycznych mistrzów naszych, od chwili podniesienia przez Maurycego Mochnackiego wartości *Maryi* Antoniego Malczewskiego, mały ten formą poemat był najbardziéj zawsze poczytnym i prawdopodobnie nadługo — w naszém społeczeństwie — poczytnym zostanie.

Jest to fakt bez wątpienia ze wszech miar godny uwagi i mimowoli nasuwający pytanie: co naród znalazł w tém dziele pociągającego dla siebie, jakie struny ducha jego potrafił poeta poruszyć, że one bratnim oddźwiękiem zawsze na słowa jego odpowiadały i, jak rzekłem, prawdopodobnie długo odpowiadać będą?.,

Pytamy bowiem, ezy *Dziady* np. Mickiewicza, czy *Przedświt* Krasińskiego, lub jego *Sen Cezary* albo Legenda, *Irydyon* i *Nieboska komedya* nie przewyższają bez porównania *Maryi* głębokością poglądów filozoficznych i potęgą niezrównaną, niedościgniona uczucia lirycznego?... Bez wątpienia przewyższają! A jednak czemu naród czytał je, podziwiał, ale z niemi naprawdę nie nadzwyczaj sympatyzował, szczególniéj zwłaszcza z utworami Krasińskiego, których często nie rozumiał i do dni dzisiejszych nie rozumie, aczkolwiek nie są wcale Apokalipsą?!..

Był czas, była chwila w usposobieniu mas inteligentnych w Polsce, gdzie każdy utwór poetyczny o lirycznym czysto pokro-

ju był rozrywanym, i ogół się nim zachwycał, czytał go, a nawet, rzec można, studyował. Był taki czas!... I wtedy — w duszach wszystkich — panował Mickiewicz: z *Konradem Wallenrodem*, *Grażyną*, *Dziadami*; Słowacki: *ze swemi dramatami*, z fantazyą *W Szwajcaryi*, z *Beniowskim* i innemi, Krasiński z *Irydyonem*, *Nieboską komedyą* — panowali, mówię, wtedy ci mistrze, ale panował obok nich i Malczewski z swą *Maryą*.

Czas ten minął, ogół mało dziś czyta poetów, czytają ich literaci z powołania, Malczewskiego jednak wszyscy czytają, a ponad *Grażynę*, *Dziady*, *Wallendora* Mickiewicza, jest bez zaprzeczenia przekładany jego *Pan Tadeusz*.

Fakt to charakterystyczny, o którym czytelnik—w ciągu całego niniejszego szkicu — prosimy aby nie zapomniał; co więcéj, fakt to ważny, o którym znowu zamilczéć my nie możemy, pytanie to donioślejsze, aniżeliby się zdawać mogło.

Z tych wszystkich powyżéj wyłożonych względów, powinniśmy się nieco potrudzić nad jego rozwiązaniem.

W chwili, w któréj *Marya* po raz pierwszy w drukowanéj sukience ujrzała świat Boży, wrzała zacięta walka — jak wiadomo — w świecie literackim, walka, ochrzczona nazwą sporu klasyków z romantykami. W walce téj leży klucz do rozwiązania zagadki czemu *Marya* była, jest i będzie — jak twierdzę — nadługo poczytną?... mówię — w walce — a właściwie powinienbym powiedziéć: w wyłuszczeniu jasném przyczyn, które ją spowodowały.

Że zaś przyczyny te, do dni dzisiejszych, nie są w pełni wyjaśnionemi, to nie podlega wątpliwości.

Czyż bowiem tego rodzaju określenie ich, jakie zwykle dają: że był to spór prawdziwego w poezyi uczucia z przestarzałą formą przesadżonego, niesmacznego szkolarstwa, nazwanego klasycyzmem; czyż powiadam, tego rodzaju określenie można uważać za wystarczające w pełni, co więcéj, za istotnie krytyczne? Chyba nie!... I my się na to zgadzamy, sądząc, że, aby wyjaśnić dokładnie przyczyny o które nam chodzi, potrzeba przedewszystkiém umiéć sobie zdać sprawę z tego przeobrażenia, jakiemu nagle naówczas nasze społeczeństwo uległo, umiéć sobie zdać sprawę z prądów idei, żywo w niém działających i na wskróś go nurtujących czasu owego sporu klasyków z romantykami.

Runął kolos zachodu i runął bezpowrotnie. Z bardzo słusznéj politycznéj racyi naówczas (którą lepiéj pojmowaliśmy my, aniżeli sam Cezar nowéj epoki — na swoje nieszczęście,—) przy-

wiązane losy nasze do jego pochodu tryumfalnego wraz z nim runęły.

Idea protestu jednak pozostała, już jak teraz objawiająca się tylko spokojném a głęboko rzewliwém rozpatrywaniem się w przeszłości, wskrzeszaniem jéj w utworach literackich.

Jest to epoka: *Barbary Radziwiłówny* Felińskiego, *Śpiewów historycznych* Niemcewicza, romansów, na tle prastarych dziejów osnuwanych przez Wężyka i Bernatowicza.

W utworach tych wszystkich naród występuje, jakim był w ciągu dziejów, to jest występuje, jako pierwiastek szlachecki, ze swemi ideami, dążnościami i legalno-demokratycznemi, więc słowiańskiemi celami.

Że utwory te pod względem artystycznym były słabemi, dziwić się temu nie powinniśmy, zważywszy, że geniusz każdego narodu jest zawsze jednostronnym i, jeśli jasno zaświeci na polu czynu, to równocześnie jasno zaświecić na polu umysłowém nie może, a zwłaszcza też na polu poezyi epicznéj, która nigdy inaczéj, jak tylko wyłącznie idzie za czynem w ślady.

Ci, co naówczas pisali, nie mogli mieć przeświadczenia i nie mieli go też, że będą z zajęciem niezmierném czytani, z zajęciem, przewyższającém wszystko inne, nie mając zaś tego przeświadczenia, mało byli zsolidaryzowani z masami, mało sił z nich czerpali, małém też mogli błyszczeć światłem i ciepłem, dobywając wszystko wyłącznie z samych siebie, nie potrafiąc tym sposobem nawet formy zapożyczyć u narodu i posługując się skutkiem tego obcą.

Nie byli oni, w znaczeniu duchowo umysłowém, „milionem“ i nie cierpieli za „milion“!...

Oto cała tajemnica ubóstwa ich utworów.

W każdym jednak razie idea, którą piastowali, była to idea przeszłości nieogarnionéj, była to tradycya w świecie duchowym.

Ale jakkolwiekby tam było, pytam, czy naród, żyjący wśród epoki przewrotów społecznych, przypatrujący im się zblizka, jako się odbywały na zachodzie, mógł bezwzględnie zostać obcym nowym prądom!?..

Sądzimy, że nie.

Już partya Rodziny, ulegając wpływowi francuzkich idei o rządzie, dążyła do reform w kraju, mających na celu wprowadzenie do prawodawstwa pierwiastków ludowych, pospołu z ukróceniem rozrostu zasady wolności jednostkowéj... Pomimo oporu mas szlacheckich idea Rodziny w końcu w ostatnich dniach bierze górę w Rzeczypospolitéj — powstaje konstytucya 3 Maja, obalająca najcałkowi-

ciéj zasadniczą podstawę dotychczasowego konstytucyonalizmu, czy na korzyść, czy na niekorzyść narodu, dużoby o tém można powiedzieć, to jest jednak pewnikiem, że z wprowadzeniem konstytucyi 3 Maja kierunek całéj falangi młodszych umysłów zwrócił się ku nowym, rewolucyjnym całkiem ideom, ulega im także na wychodztwie i Kościuszko, stając się z konstytucyonalisty republikaninem, ale nie szlacheckim. Cały ten ruch miał na celu głównie przeszczepienie na pień narodowego ducha rewolucyjnego demokratyzmu, sprzecznego z demokratyzmem szlacheckim, właściwym naszemu społeczeństwu.

Huk dział, brzmiący nad Europą bezustannie przez lat 20, i żelazna prawica cezara ją uciskająca, zgłuszyły na razie te zachcianki; lecz, kiedy nastąpił spokój, kiedy się rozwiały dymy, włóczące się po placach bojów, a z niemi nadzieje, wtedy naród naturalnym biegiem rzeczy po gorączce czynu wojennego, zwrócił się ku pracom organizacyjnym w dziedzinie działania, wpadając równocześnie w dziedzinie objawów życia umysłowego (bo nie samego życia), w ekstatyczne odrętwienie, z którego kiedy wyszedł, to po to, aby wejść w samego siebie i zbadać przyczyny swego upadku.

Walka się w imię tradycyi i legalności, oraz związanego z nią prawnego, szlacheckiego demokratyzmu nie udała, mówił sobie, więc te idee nie mają siły, przeżyły się, naród skutkiem ich przeżycia się upadł, trzeba mu nowéj myśli, w dziejach przewodniéj, a tą myślą winien być demokratyzm ludowy.

Z tém wszystkiém stronnictwo młode, które tak rozumowało, nie będąc zadowoloném z teraźniejszości, przez sam fakt niezadowolenia stawało na gruncie historycznym, na gruncie legalnym, chociaż przez błąd myśli swych i działań nie odziewało w legalne szaty.

Mimo to jednak, jak rezultat powyższego rozmyślania dla społeczności naszéj w porządku politycznym, o ile pokazało następstwo wypadków, nie był najkorzystniejszym; tak znowu w porządku umysłowym stał się płodnym w brzemienne następstwa.

Wiadomo bowiem, że wszelkie zstępowanie we wnętrzne głębokości ducha rodzi w człowieku myśl, mniéj lub więcéj potężną, stosownie do podniosłości jego ducha i jego organizacyi umysłowéj.

Wejście narodu w siebie między r. 1815 a 1830 zrodziło także myśl nową. Myśl ta — jak już mówiłem — odziała się pierwotnie w szaty ludowego demokratyzmu, więc rewolucyi, która dążyła do obalenia szlacheckiego porządku społeczeństwa, znajdując dla siebie podstawę bytu w nierozwiązanéj kwestyi poddaństwa, że zaś myśl owa porodzona była w chwili wejścia narodu w samego sie-

bie i że powstała po wytężeniach jego na placach bojów, przeto naturalnym porządkiem rzeczy wypowiedziała się najpierw w poezyi, i to subjektywnéj bo lirycznéj.

I najzupełniéj niezawiśle od romantyzmu zachodniego, poezya nasza, czasu o którym mówimy, zwróciła swą uwagę przeważnie na tenże lud, i jeśli go mogła odszukać w czasach historycznych, wtedy go opiewała, jak w *Zamku Kaniowskim* Goszczyńskiego, ze współczuciem, jak w poezyach Zaleskiego, z entuzyazmem,— jeśli zaś znaleść nie mogła, wtedy zwracała się w przeszłość aż pogańską tegoż ludu i zstępowała w głębiny pogańskich guseł i pogańskich wierzeń ludowych, jak w baladach i *Dziadach* Mickiewicza.

Kiedy zaś w duszy koryfeusza téj nowéj szkoły obudziły się uczucia, więcéj ogólnie narodowe, wtedy, wypowiadając w pełni cele swego całego stronnictwa, z którém był pokrewieństwem pojęć związanym, napisał poemat pod tytułem *Konrad Wallenrod*, za przedmiot w jakim nie wziął bliższéj szlacheckiej, już cywilizowanéj przeszłości narodu, ale przeszłość, jeszcze pogańską, która chaotycznym swym stanem więcéj przedstawiała pola do rozwoju zasadniczéj idei.

Masy zostały, bo musiały zostać, porwane tą olbrzymią potęgą; zostały porwane, bo ona z niezmierną prawdą malowała chwilowe ich usposobienie.

I cała ta poezya, oparłszy się wyłącznie w przedmiotach opiewanych na materyale branym z pośród ludu, lub pogańskiéj, więc na pół ludowéj przeszłości narodu, stała się jednostronną i rzuciła na razie zapomnienia zasłonę na cywilizowaną przeszłość narodu; zasłaniając ją przed oczyma ówczesnego społeczeństwa jużto widmem męża ludowego mającego reprezentować naród — jak w Konradzie Wallenrodzie, już uroczym majakiem bogiuek. wiédźm, rusałek, sielanką ludową i pojęciami ludowemi.

We względzie umysłowym było to po prostu dobycie zaniedbanych i nieznanych skarbów, złożonych ręką przeszłości w duchu narodu; we względzie politycznym na razie było marzeniem, które obezwładniało nieopatrznie społeczeństwo, sprowadzaniem go z trzeźwych ścieżek żywota, po których postępowało, ułudą olbrzymiéj potęgi, jaką niby nieznaną chowało w swym łonie, a która skutkiem winy przeszłości, jak dziś niestety tak i naówczas, niczém innem jeszcze nie była jak tylko nieruchomą masą, ciężkim balastem, utrudniającym raczéj niż ułatwiającym pochód dziejowy plemienia i narodu.

Cały ten ruch jak już wiemy najpierw i przedewszystkiém objawił się w działalności literacko-poetycznéj naszego społeczeństwa, przybierając zapożyczone z zachodu nazwisko romantyzmu.

Plejada literatów starszych, wychowańców, rzec można, zarówno konstytucyi 3 Maja jak i Targowicy, aczkolwiek bezwątpienia z początku z całą dokładnością zdać sobie sprawy nie mogła z celów, do których dążyły nowe idee, przeczuwała wszakże ich burzący „status quo“ charakter; i jako bądź co bądź do pewnego stopnia stróż staréj tradycyi narodowéj, która ich wypiastowała, jako pokolenie trzeźwe bo pokolenie czynu, naturalnym zbiegiem okoliczności wystąpiła do walki z romantyzmem, mianując się sama klasykami.

I stał się fakt niejedyny w dziejach literatury, że ludzie spokojni, pisarze, pod pokrywką sporu literackiego, poczęli wieść z sobą na papiérze walkę o zasady i idee, któremi naród w polityce winien się kierować.

Nie chodziło tu, jak widzim, o walkę szkolarstwa i suchéj formułkowości z prawdziwem uczuciem; ale jak powiedziałem, chodziło przedewszystkiém pod pozorem sporu literackiego, o dążności i idee przewodnie narodu, bronione, jako „status-quo“ zarówno we względzie politycznym jak i społecznych stosunków, przez klasyków, przeciw wprowadzonym nowym, obalającym w części, zwłaszcza w kwestyach społecznych, stare bogi, ideom romantyków!...

Inaczéj, jaśniéj mówiąc, klasycy, jako ludzie trzeźwi bronili pod względem politycznym „status quo“, czując że jeszcze niema naród dość siły, by mógł o jego zmianie pomyśleć; pod względem zaś społecznym bronili poprostu szlacheckiego porządku rzeczy, w piérwszym więc razie nie stali na gruncie historycznym, w drugim w pełni stali i zasłaniali sobą całość tradycyi

Romantycy zaś, napadając na „status quo“ pod względem politycznym, stali na gruncie historycznym, ale czy byli trzeźwemi w swych zapatrywaniach?... Dążenie ich znowu do obalenia „status quo“ przez reformę społeczną, stawiało ich w obec tradycyi społecznéj na gruncie jéj nieprzyjaznym, na gruncie nieprzyjaznym do pewnego stopnia całéj przeszłéj cywilizacyi przez naród wyrobionéj.

Następstwo rozwijających się wypadków o prawdziwości powyższych słów nas przekonywa, co więcéj słowa te wyjaśniają nam istotny wewnętrzny stosunek dwóch ścierających się z sobą sił i idei naówczas w narodzie, które to starcie sprowadzone najpierw do sporu literackiego, objawiło się z jednéj i drugiéj strony, jak opowiemy to niżéj w sposób następujący:

Klasycy chcieli widzieć w poezyi odzwierciadlonego ducha narodowego, chcieli widzieć odzwierciadlone idee i myśli narodu,

chcieli widzieć odźwierciadlone jego walki; chcieli przedewszystkiém eposu, któryby surowością powagi swéj mógł na spartańskich mężów wychować młode pokolenie, mężów, którzyby umieli sprostać zadaniu jakie ich czekało — i nie znaleźli tego wszystkiego w romantyzmie.

Przeciwnie, jak wiemy, znaleźli nowe idee, nie obce co prawda narodowi bo od dwóch wieków ciągle podnoszone w kwestyi społecznéj, ale obce ze względu na ich charakter, dążący prawdopodobnie do ograniczenia wolności osobistéj jednostki, stanowiącéj zasadniczą ideę narodu, w spadku pozostałą po przeszłości; znaleźli przeważnie, choć nie wszędzie, zamiast opowiadań o czynach i ich sile, miękkość rozdrażnionego uczucia lirycznego, znaleźli szczytne marzenia, ale zawsze marzenia tylko.

I jeszcze: nie znaleźli narodu, bo szlachty, w pieniach skąd inąd genialnych całego zastępu nowych poetów, nie znaleźli tego czego pragnęli aby się urzeczywistniło, a czego czuli, że sami nie potrafią urzeczywistnić, bo im już sił po temu brakowało, z powodu jak mówiliśmy, że nie oni byli wyrazem swéj epoki.

Ztąd walka, ztąd spór zacięty, ztąd obrzucanie się nawzajem z jednéj strony przezwiskami szkolarzy, z drugiéj trawestowaniem np. owego wiersza przez Osińskiego: „Ciemno wszędzie, Głucho wszędzie!”... i t. d., i t. d......

Klasycy, jako pragnący wytworzenia eposu szlacheckiego — o który się kusił, miłością narodu powodowany Koźmian, Bończa Tomaszewski — przedewszystkiém byli ludźmi, dającymi dowody głębokiéj dojrzałości umysłowéj i znajomości potrzeb społecznych, wymagających poezyi przeważnie i wyłącznie prawie przedmiotowéj; dawali dowody znajomości potrzeb społecznych, ale nie dawali dowodów znajomości samego społeczeństwa, które jak wiemy po burzach i walkach było w fazie zagłębiania się, rozpatrywania w samym sobie, i jeśli mogło jaką zgodną z swém chwilowém usposobieniem wytworzyć poezyą to tylko podmiotową, którą téż wytworzyło i ona mu grała wspaniale na wszystkich strunach jego ducha. Zarzut nieznajomości społeczeństwa przez klasyków można tym ostatnim jeszcze i z tego względu zrobić, że toż społeczeństwo w większości pragnęło zmiany „status quo“ czego sobie narazie klasycy nie życzyli, jeżeli przez ten wyraz zechcemy oznaczyć całe to stronnictwo, które z pobudek politycznych chciało istniejący stan rzeczy do czasu utrzymać.

Idąc więc klasycy zarówno w dziedzinie polityki jak i twórczości poetycznéj wbrew usposobieniom mas, musieli wcześniéj czy

poźniéj stać się niepopularnymi i zamilknąć. W istocie wkrótce zamilkli, zwyciężonymi jednak niezupełnie zostali. *Pan Tadeusz* bowiem Mickiewicza, *Beniowski* Słowackiego, piérwszy prawie wyłącznie utwór przedmiotowy, drugi przeważnie, a oba na dziejach szlacheckiéj przeszłości oparte, są najlepszym dowodem zwycięstwa idei klasycznéj w duszy koryfeuszów nowéj poezyi.

Oto czém była walka klasyków z romantykami.

Wśród okrzyków bojowych téj walki zjawił się poemat Malczewskiego, zatytułowany *Marya*, o którym właśnie mówić chcemy.

Malczewski był organizacyą, o ile się z jego utworu pokazuje, odrębną i w swoim wieku a czasie do pewnego stopnia wyjątkową.

Urodzony roku 1793, kształcony pod okiem Czackiego, bezustanku w latach dziecinnych i młodzieńczych stykał się z ludźmi przeszłości, do których należał i jego ojciec, jenerał wojsk polskich za Stanisława Augusta; co wszystko razem wzięte, dało mu (bo dać musiało) żywą tradycyą przeszłości, któréj zwłaszcza w wieku młodocianym nabycie jest łatwem a pamiętanie niespożytém.

W roku 1811 widzimy Malczewskiego w armii Księstwa Warszawskiego: w roku 1812 odbywającego ową olbrzymią o rysach iście epickich kampanią; w roku 1813 walczącego pospołu z całą Europą, która się naówczas borykała. Aż po rok 1815 Malczewski jest wojakiem, żyje życiem mas, życiem czynu.

Jako żołnierz, pod wpływem stosunków ze starszymi wojskowymi, ludźmi charakterystycznie i wybitnie reprezentującymi swą epokę i swe pokolenie, Malczewski stać się musiał do pewnego stopnia bezwarunkowo człowiekiem także czynu, a potrzeba protestu głęboko w duszę jego zapadła.

I przez tradycyą, którą Malczewski miał, niemniéj jak i przez walki na wielkich polach bitew, a ocieranie się o takie postacie jak Dąbrowski, książe Józef, Kosecki jenerał — którego był adjutantem — Malczewski, mówię, należał do téj saméj epoki co i wyżéj wymienieni ludzie, co i twórca *Barbary* albo *Czarneckiego*. Ale aby w pełni pod chorągwie ich przekonań się zaciągnąć, Malczewski na to był za młody i zanadto głęboko w duszy, jak powiedziałem, nosił poczucie potrzeby dalszego ciągu protestu, w czém w pełni był pod względem politycznym zgodnym z tém stronnictem, z którém sympatyzowała i którego poniekąd w literaturze ówczesnéj wyrazem była poezya romantyczna.

I naturalnie, chwila, w której umysł Malczewskiego dojrzał, była chwilą jak już wiemy (i mówiliśmy) zstąpienia narodu we wnętrzne głębiny swojego ducha.

Prądowi temu, taki człowiek jak Malczewski uledz musiał do pewnego stopnia, odczuwając — jak każda natura bogato uposażona odczuwać zwykła — drgnienia swéj epoki. Prądowi temu, — mówię — uledz do pewnego stopnia musiał i uległ, ślad czego mamy w samym fakcie utworzenia *Maryi*; uległ, ale charakter jego zstąpienia w swe wnętrze był do pewnego stopnia odrębny. Bo jeśli z jednéj strony zgodnie ze stronnictwem, reprezentowaném w poezyi przez romantyzm, Malczewski pragnął protestacyi czynnéj, wyswobodzenia ludu; to z drugiéj ze względu na piastowaną w duszy tradycyą żywą przeszłości, nie mógł pragnąć, ani téż życzyć sobie obalenia idei wypracowanych przez tęż przeszłość, więc idei wolności jednostkowéj, więc idei poszanowania szlachectwa. Omal nie przypuścilibyśmy, że Malczewski mógł pragnąć swobody ludu przez jego uszlachcenie. Obok tego wszystkiego jednak, skupienie się w sobie Malczewskiego, w dziedzinie usposobienia dusznego, objawiło się tęsknotą za przeszłością i umiłowaniem jéj olbrzymiém, w ślad za którém musiała iść chęć odtworzenia jéj tak dobrze w pieśni jak i w czynie.

Że zaś tęsknota za niepowrotną przeszłością i umiłowanie żyjącéj jéj idei z natury swéj — jak już wiemy — budziła niezadowolenie z teraźniejszości; przeto nic dziwnego, że utwór wszelki człowieka, w tym stanie duszy będącego, obok charakteru epickiego, musiał nosić na sobie charakter liryczny, z odcieniem elegiackim.

Gorycz, jaka z niektórych ustępów *Maryi* wieje, przypisują wpływowi Bayrona na Malczewskiego, którego to zdania wcale nie podzielam, twierdząc: że, za samodzielnym był umysłem Malczewski, aby miał czyjemukolwiek wpływowi uledz, i robiąc tę uwagę: że łatwiéj oddziaływa na nas wielkość widziana zdaleka, aniżeli zblizka; zwłaszcza téż wielkość tak jak Bayron ekscentryczna; zresztą późniéj jeszcze słów kilka o téj goryczy i jéj przyczynach powiémy.

Żal za przeszłością objawia się w mnóstwie miejsc poematu Malczewskiego, że tylko ten przytoczę, w którym poeta iście wielkiemi nad jéj utratą płacze łzami.

„Ani wesołéj szlachty, ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej staréj sławy.
Dzika muzyka, dziksze jeszcze do niej słowa,

Które duch dawnéj Polski potomności chowa;
A gdy cały ich zaszczyt krzaczek polnéj róży,
Ach!... czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nurzy?"....

Liryczny charakter obok epickiego z odcieniem elegiackim poematu, jak mówiłem — silnie się w nim całym odbija, czuć go w każdym wierszu, w każdém słowie, nadaje on nawet zupełnie niezwykłą odrębność dykcyi, któréj nigdy nigdzie spotkać nie można, chyba czasami w niektórych wierszach Kochanowskiego.

Całe to szczególne usposobienie Malczewskiego, o którém mówiliśmy, pod względem zarówno duchowym jak i politycznym poniekąd, wyosabiało go z reszty współczesnych, co nie mogło nie być przez człowieka odczuwaném i nie nadawać, pospołu z niezadowoleniem z teraźniejszości, w porównaniu z pracami podjętemi — goryczy zapatrywaniom poety. Odczuwaném było i ślad tego widzim najwyraźniéj zostawiony w owym wierszu *Maryi:*

„Oh nie — ja wszystkim obcy śród mojéj Ojczyzny",
niemniéj jak i w tych ustępach poematu, gdzie czuć, że poeta patrzy na ludzkość i ludzi przez pryzmat swojéj boleści, który ich malował mu ciemnemi barwami. Te to miejsca poematu przypisano wpływowi Bayrona na Malczewskiego; o ile się omylono czytelnik sam z poprzedniego może osądzić.

Z tém wszystkiém Malczewski w istocie był obcym poniekąd współczesnym, pomimo pozornéj zgody w kwestyi poszanowania tradycyi ze stronnictwem reprezentowaném przez klasyków, i pomimo zgody w kwestyi potrzeby zmiany ze stronnictwem reprezentowaném przez romantyków; w istocie — powiedziałem — Malczewski był obcym poniekąd współczesnym, teraz to potwierdzam, sądząc, że obcość ta płynęła z tego, że Malczewski niejako w duszy swéj dwoistą nosił istotę, t. j. istotę człeka czynu i istotę wnętrznych rozmyślań, zpokrewnionych z marzeniem; istotę szlachcica ze wszystkiémi jego wspaniałémi tradycyami i istotę człowieka nowego, pragnącego by to każdy miał, co mu się należy.

W duszy Malczewskiego, tym sposobem, stykały się z sobą i układały do równowagi te potęgi, które pod rozmaitemi postaciami w ciągu naszych dziejów ze sobą się borykały, a które ostatecznie wyraziły się w idei szlacheckiéj; to jest legalnym demokratyzmie i poszanowaniu tradycyi, reprezentowanym przez Polskę i idei ludu t. j. demokracyi czerwonéj, reprezentowanéj przez Ruś Kozaczą.

Ze względu na swój stan wewnętrzny, nie mógł Malczewski, należéć bezwzględnie do żadnego stronnictwa swéj epoki, bo jeśli

jak już mówiliśmy kilkakrotnie, poczuciem potrzeby wyswobodzenia ludu oraz oparcia się w przyszłości na nim, należał do stronnictwa romantyków w dziedzinie polityki, że tak powiem, to nie należał do nich w téjże saméj polityce równie jak i w poezyi, skutkiem niezgadzania się na zapominanie narazie o całym ustroju i zdobyczach cywilizacyjnych przeszłości. Jeżeli zaś przez poszanowanie tradycyi przeszłości należał do klasyków zarówno w dziedzinie polityki jak i poezyi, to nie należał do nich przez niezgadzanie się na utrzymanie „status quo“ i przez niezgadzanie się na formę, jakiéj w poezyi używali. Lecz nie należąc do żadnego stronnictwa, całą duszą złączony był z obu, niektóremi objawami wspólnemi ich i własnemu duchowi, przez co należał do obu, stał ponad stronnictwami, uosabiał je sobą!

Oto czém był Malczewski odnośnie do swéj epoki.

Na odróżnienie się jego wybitne w dziedzinie poezyi od innych współczesnych autorów głównie, w zamknięciu niniejszego twierdzimy, wpłynęło z jednéj strony posiadanie żywéj tradycyi przeszłości, z drugiéj prowadzenie w piérwszych latach młodości żywota twardego żołnierskiego, bojowania za ideę.

Charakterystyka powyższa poety, którąśmy wysnuli na zasadzie wczytania się w jego znakomity utwór, najlepiéj nam maluje już sama przez się to pośrednie stanowisko, jakie zajął poemat jego *Marya* w szeregu utworów naszéj narodowéj wiedzy; najlepiéj nam maluje, to skupienie wszystkich promieni światła ducha narodowego w wspomnionym utworze.

Co do nas, skłonni jesteśmy twierdzić stanowczo, że poemat ten większą ma wartość bezporównania aniżeli mu dotąd przypisywano, skłonni jesteśmy twierdzić, że jest prawie kompletnym eposem narodowym, bo malującym przeszłe społeczeństwo nasze w chwili zupełnéj jego dojrzałości i rozwinięcia wszystkich sił swego ducha.

Muza takiego człowieka jak Malczewski, wedle powyżéj skreślonéj jego charakterystyki, nie mogła się skierować ku czemu innemu, jak tylko ku przeszłości, na tle któréj tylko dramat lub epos nanizanym mógł zostać.

Idea szkoły nowéj, idea romantyków nie porywała Malczewskiego w poezyi, choć sympatyzował z nią w niektórych punktach w polityce; on był wyznawcą idei klasyków, tém wyższy jednak i szczęśliwszy od nich, że formę i ducha téj formy zapożyczył od romantyków, i stworzył, jak już powiedzieliśmy, istny epos narodowy.

Zaiste bowiem czém winien być epos narodowy?

Czyż w tego rodzaju poemacie nie powinien być w ciasnych ramach zawarty duch narodu danego, z jego ideami przewodniemi i walkami za te idee?...

Owszem!

Przypatrzmy się o ile w *Maryi* ten duch nasz narodowy zawartym został?....

Posłannictwem narodu od chwili, w któréj zawiesił walkę, z zaborczemi zapędami niemców zgniótłszy ich na polach Grünwaldu, od któréj tym sposobem dojrzał; posłannictwem narodu, mówię, w zewnętrznéj polityce, stało się bojowanie z najazdem tatarskim i tureckim, w polityce zaś wewnętrznéj wytworzenie i doprowadzenie do ostatecznych konsekwencyj idei poszanowania jednostki we wszystkich objawach jéj życia, zarówno rodzinnego jak i politycznego.

Jak jedno tak i drugie posłannictwo naród spełnił.

Za zasłoną jego piersi Europa mogła się cywilizować, niepojmując zupełnie doniosłości walk, które się toczyły na wschodnich jéj krańcach.

A przecież na stepach Ukrainy rozgrywał się dramat, miały miejsce starcia bezustanne, godne pióra epickiego wieszcza, a przecięż wewnątrz Polski śród walk i rozterek domowych wyrabiała i wyrobiła się idea wolności jednostki, którą przyszłe wieki—z dodaniem idei obowiązku jakąśmy zatracili — aż po skończenie dni wszystkich żyć będą.

Oto czém był duch narodowy!

Czy go Malczewski, z tą jasnością z jaką my go malujemy, pojął—o tém wątpię, ale że go przeczuł, to twierdzę, co więcéj nawet utrzymuję, że człowiek z tą wyjątkową organizacyą, jakeśmy go skreślili przeczuć ją musiał.... dowodów zresztą na to dostarcza nam poemat jego *Marya*.

Nim je przytoczymy jednak, zastanowimy się pierwéj: czego pod względem artystycznym czysto, wymagać bezwarunkowo należy od eposu, aby on był takim, a nie rapsodem tylko epickim?...

Oto: *walki o kobiétę!*....

Dotąd nie zwrócono, o ile wiém, na to zupełnie uwagi, a przecięż wszelki epos ludowy jest niczém innném jak tylko opowieścią dziejów walki o kobiétę.

Kobiéta w każdym tego rodzaju utworze jest osią, około któréj cała fabuła poematu się obraca.

Porwanie Heleny i ona sama jest przyczyną walki pod murami Troi, w Iliadzie.

Żona Ramy, jest powodem wypraw bohatérskich i walk w Ramajanie.

Wszystkie fantastyczne opowiadania—powtarzane w rozmaitych wersyach po całéj Europie i Azii—o królewiczach i zaczarowanych królewnach, są stwierdzeniem powyższéj tezy. W odłamkach bowiem jakiegoś prastarego ludowego eposu wieść o zaczarowanych królewnach staje się zawsze głównym powodem wypraw królewiczów.

Że dotąd tego nie spostrzeżono dziwna to rzecz zaiste.

Wszystkie epopee pisane chromały li tylko, mym zdaniem dla tego, że im brakło właśnie tego pierwiastku rdzennego, który stanowi oś fabuły wszelkiéj epicznéj. w eposie ludowym, to jest: że im brakło *walki o kobiétę.*

Marya Malczewskiego tę oś posiada.

Cóż jest bowiem głównym powodem niesnasek między Wojewodą a Wacławem, cóż jest głównym powodem tego że,—jak powiada poeta:

„........żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczone układy;
I łzy czułéj rozpaczy i pychy zapału,
Płynęły — często — gorzko — ale bez podziału!“ —

Cóż jest tego głównym powodem?...

Kobiéta, ubóstwiana przez Wacława: Marya Miecznikówna!....

Cóż jest daléj głównym powodem, że Wacław osobiście zostaje wyprawionym przeciw tatarskiemu najazdowi?

Walka między nim a Wojewodą o Maryę, którą ten ostatni postanawia zgładzić, nie mogąc inaczéj syna z nią rozdzielić i kiedy mu się udało go ukoić,

„........w oczach się mignęła szybka, dzika radość!“

Za powód wyprawienia, Wojewoda w liście pisanym do Miecznika, podaje, że:

„........takiego jak mówi zamężcia
Syn niewart, bo zasługą trza się dobić szczęścia.
Pragnie więc, żeby wprzód w wojennéj potrzebie
Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie; (Maryi)
I gdy właśnie tatarzy grasują w téj stronie,
Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;

A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
Żę tę, co umie kochać potrafi ocalić!...."

I oto przyczyna jasno wyłuszczona walki na placu boju, która ma zawrzéć niedługo między tatarskim najazdem, a zasłaniającym swemi piersiami Europę i jéj cywilizacyą, wraz z cywilizacyą własną rodziną, polskim rycerstwem; oto przyczyna, a tą przyczyną jest: Marya, kobiéta!....

Podziwiać tylko należy, jak poeta umiejętnie potrafił oba konieczne warunki wymagane od eposu z sobą połączyć, mianowicie: walkę o kobiétę, z skreśleniem dokładnego obrazu bohaterskich porywów plemienia, które dany epos opiewa; podziwiać to należy tém więcéj, że poeta niczém innem nie był i nie mógł być kierowany jak tylko wrodzoném wysokiém poczuciem artystyczném!...

I załatwiwszy się poeta z częścią poematu, osnutą na fabule walki o kobiétę, przechodzi do opisu saméj téj walki, którą naród nasz wiódł przez lat 300 z górą z barbarzyńcami dalekiego wschodu, spełniając swe dziejowe posłannictwo; przechodzi do opisu saméj walki, a w niéj, kreśląc ją olbrzymiemi iście epickiemi rysami maluje i wewnętrznego ducha narodu, opartego na wyrabianiu idei poszanowania jednostki, czyli maluje drugą stronę posłannictwa narodowego, czyniąc tym sposobem swój obraz pełnym i doskonałym.

Lepiéj tego dowiodą przykłady wyjęte z poematu, gdy Miecznik:

„Ani się uwieść dozwolił w fałszywe zapędy,
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy,
Co wśród gęstych zarośli w niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony dla mylnéj poznaki;
Lecz wpoprzek przeżynając ich sztuczne dróżyny,
Uśmiéchnął się jak strzelec, gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce złączone hufce w umyślnym fortelu
Rozdzielił na dwie części — do jednego celu.
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie,
Z swojemi w bok się rzucił na niezmiernym łanie"....

Albo daléj:

„Lecz cóż widać na wzgórku?... z blizkiego rozdołu
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu.....

. . . .

„Baczność! do broni wiara! chorągiew rozwinąć!
Tatarzy wieś rabują, zwyciężyć lub zginąć!"

. . . .

„Bo już przez swoje czaty ich han ostrzeżony
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony;
Tam za wsią stoją, całe zakrywają pole,
Bór w lewo, strumień w prawo a oni w połkole.
Widzi ich dobrze Wacław: ale razem zważa,
Że napad uchybiony na zgubę naraża.“

. . . .

„Czyja wola to za mną? rzekł i spiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, zżyma się i skaka,
(Mniej ów niżli Graf Wacław odważny i dziki)
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki?...“

. . . .

„Już za wsią i wraz, szybko, sfornie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linii ostało:“

. . . .

„Dzielne było natarcie: Tatarskie szwadrony.
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki.
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których śnie srogość zwierząt, z ludzką się jednoczy.
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczéj jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli, lecz nim przyszło zblizka,
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali, wsławionem prawidłem
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem;
„Alla hu!“ wrzasły hordy i tysiączne roty
Na opasanych strute wypuściły groty!
„Hurra! krzyknęła wiara i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała — w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, trzaskiem, szumem,
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana“.

Co za wspaniałe obrazy tych walk jedynych w dziejach, które się już nigdy prawdopodobnie nie powtórzą.

Ale wszystko powyższe blednie w obec opisu homerycznego spotkania się Miecznika z Hanem:

„Jakiś czas Miecznik zmudził; uderzy, odskoczy
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy,
Aż wybrawszy swą porę, w odwet silnym razem
W kark niewierny święconém utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa,
Toczy się, ziewa, blednie i gaśnie; z tułupa,
Co siedzi niewzruszony krew do góry chlupa.
Powstał krzyk przeraźliwy; pierzchają: koń Hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana".

Uwagi wszelkie tu uważamy za zbyteczne, pełność i majestat obrazu sam przez się uderza jak taranem w duszę czytelnika i słuchacza..... zastanowimy się raczéj nad innemi stronami tego opisu, mianowicie nad owém odezwaniem się krótkiém Wacława do swych towarzyszy, odezwaniem wobec nieprzyjaciela już zszeregowanego i spodziéwanéj śmierci.

„Czyja wola to za mną!"...

mówi Wacław. Czyż tych słów kilka nie najlepiéj maluje ducha przeszłości narodu i nieograniczonéj wolności osobistéj jednostki, która nawet w szeregu nic nie traciła na swéj sile, tak dalece, że wódz, w osobie Wacława, nie rozkazuje tu, nie daje uczuć, że jest wszystkiém dla żołnierza stojącego na linii bojowéj, ale niby na jakim sejmiku lub w gościnie, zachęcając do jedności, do podzielenia swego zdania lub swéj zabawy mówi:

„Czyja wola to za mną!".....

Zaiste temi pięcioma słowami poeta tak silnie scharakteryzował wolnego i bohatérskiego w obec śmierci nawet ducha narodu jak już lepiéj nie potrzeba.

Równie silnemi rysy poeta maluje poszanowanie własnéj godności, w obec buty drugiego, poszanowanie właściwe każdéj wolnéj jednostce, a więc przedewszystkiém w przeszłości szlachcie polskiéj. Bo kiedy się Miecznik oburza na postępowanie Wojewody odpychającego szorstko związek z jego rodziną, to mówi w poczuciu własnéj siły i godności:

„Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.
Tak to u naszéj szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje".

albo gdy mówi:

„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza turka,
Niż żeby mi tak marnie więdnąć miała córka,
. . . .
Alboż to w naszéj Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak jak dawniéj było — rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć po wianek za wiano!...“

i gdzie indziéj:

. . . . i mnie to rozwiąże —
Wysunie raźna młodzież i ja za nią zdążę!....
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
To w końcu téj tam waśni dzwony się odezwą!“

I całe to przeszłe społeczeństwo nasze maluje poeta i zamknąć je potrafił w ciasnych ramkach utworu swojego. Obok Miecznika, szlachcica karmazyna, stoi tam Wojewoda, butny pan, obok Wacława stoi jego kozak, z całą nieukróconą i wierną swą naturą, którą tak ślicznie Malczewski narysował, opowiadając obok tego w kilku słowach jego niewolę, niewolę ludu.

„I przez puste bezdroża, *król* pustyni rusza —
I step, koń, kozak, ciemność jedna dzika dusza.
O któż mu tam przynajmniéj pochulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.“

A przecież mimo niewoli zachowuje ten syn ludu w sobie godność człowieczą.

„Jednak różnym się zdaje od służalców grona,
Poddany — lecz swobodę z ojca powziął łona“.

Ponad wszystkiémi témi jednak postaciami, wznosi się majestatem uczucia swego Marya z niezrównanym narysowana artyzmem i prawdą, Marya typ młodéj kochającéj niewiasty polskiéj, która wszystko w swéj utopiła miłości, wszystko prócz cnoty!...

Dla takiéj kobiéty mężczyzna ukochany jest światem, a świat przez miłość ku niemu jednym zbiorowiskiem istot potrzebujących kochania.

„O! póki ten, co w moim na zawsze był sercu,
Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu,
O! póki ten co jemu w uczucia się wplatać,
Brzmiéć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
Było więcéj niż szczęście, było dla mnie niebo.

Ten co początek tkliwego lubego marzenia
Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uśpienia,
Pił jego świéżą rosę a na jego kwiecie
Zostawił łzę wdzięczności, któréj czas nie zmiecie.
O póki ten mój miły, ten świat mojéj duszy,
Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy.
Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
A gdy znikł pałac szczęścia wierny jego szczątkom,
Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło niebo".

Słowa powyższe najlepiéj nam charakteryzują ten rodzaj wzniosłéj iście niewieściéj duszy, obudzonéj i rozwijającéj się w uczuciu męzkim, które tym sposobem dla miłości i ducha kobiécego, staje się wszystkiém. Nie każdego narodu kobiéty tak umieją kochać!...

Ze wszystkich wyżéj przytoczonych przykładów jasno widzimy, że to cośmy powiedzieli na początku niniejszego prawdą jest, a powiedzieliśmy, że *Marya* jest małym eposem lirycznym, narodowym.

I w istocie, czyż w poemacie tym nie spotykamy wszystkich stron przeszłości naszéj, odmalowanych żywémi barwami? Czyż nie widzimy z jednéj strony opisów walk, toczonych z barbarzyńcami wschodu, z drugiéj czyż w ciągu całego nie przeświéca idea wolności nieograniczonéj, jednostkowéj, którą naród żył i w spuściznie przyszłym wiekom zostawił?... Czyż nie spotykamy ślicznych rysunków, pana, szlachcica średniego, dzielnego młodzieńca rycerza, wielkiéj miłością niewiasty, wiernego a uciśnionego chłopa? Wszystko to tam jest!.... I czytając ten poemat niby z grobów przed oczyma naszémi powstaje przeszłość obwiana mgłami rzewnego liryzmu, mgłami łez i dymami krwi ofiarnéj!??

I z powyższych powodów *Marya* jest eposem małym narodowym. Jest nim i pod względem artystycznym, ponieważ, jak mówiliśmy, osią jéj fabuły jest *walka o kobiétę*.

I jest w téj Maryi wszystko, czego szkoła wymaga od eposu, są pyszne opisy natury i miejscowości, jest nawet wyborna jedna mówka Miecznika.

Trudno jest przytaczać wszystkie opisy natury, obficie po utworze Malczewskiego rozrzucone, nie potrafimy się jednak wstrzymać od przywiedzenia następującego czworo-wiersza i zrobienia nad nim kilku uwag.

„Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje.

Szumi młyn na odnodze i wróg w łozie szumi,
A żwawy, wierny konik kozaka rozumi:“

Czytając ten ustęp zdaje się, że się czyta krakowiaka lub jakiś urywek pieśni czysto-ludowéj, w któréj się opowiada zawsze tak dobrze o polach, lasach, niebie, ziemi jak i o człowieku.

Co się tycze mówki Miecznika, jest ona wzorem poetycko-wojennéj jędrności i siły, a w odezwaniu się Miecznika:

„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!....“
czuć powiew tych stosunków przeszłości, opartych na prawności i skutkiem tego pewnego ich pozornego pokrewieństwa ze starym Rzymem. Zdaje się, że się jest na forum w Romie i słyszy się odezwę mówcy zaczynającą się sakramentalnemi: „Quirites, Equites, Luceres ......!“

Cały ten charakter *Maryi*, żywego obrazu przeszłości i eposu czysto-narodowego, bo na tle dojrzałych już dziejów osnutego, sprawiał, sprawia i długo sprawiać będzie, że była, jest i pozostanie poczytną.

Jak w zwierciadle bowiem naród w niéj zawsze potrafi ujrzéć oblicze przeszłości swéj duchowéj odbite, jak w słońcu ujrzy zawsze blask rodzinnych idei, któremi żył przez wieki w czynach i myślach ojców swoich.

Przebiegłszy oczyma cały szereg utworów muzy naszéj, pytam, gdzie znajdziemy utwór, którýby lepiéj i potężniéj streszczał całą przeszłość *dojrzałą* narodu? Zaiste nigdzie.

Tak jak *Marya* Malczewskiego nie streszczają je w jednym obrazie, ni *Pan Tadeusz* Mickiewicza, wyższy mistrzowskim od niéj opracowaniem szczegółów, ni rapsody albo powieści Wincentego Pola, ni *Beniowski* Słowackiego, ni mnóstwo innych w podobnym guście utworów.... Wszystkie one są rapsodami, ale niepełnym eposem, a to dla tego, że malują tylko pojedyncze momenta dziejów, że im brak wreszcie spójni artystycznéj, t. j. fabuły, opowieści o walce o kobiétę.

W zamknięciu powiémy że w *Maryi* idea klasycyzmu, idea szlachecka, odniosła piérwszy tryumf nad ideą romantyczną, tak jak znowu ta ostatnia odniosła w téjże *Maryi* piérwszy tryumf co do formy.

Tryumf jednak idei był ważniejszym, a obok tego tak potężnym, że znalazł wkrótce potém najlepszych swych przedstawicieli w nowéj szkoły koryfeuszach: w Mickiewiczu (Pan Tadeusz) w Krasińskim (Zbiór dzieł) w Słowackim (Beniowski—Wędrówka Dantyszka

do piekła) w Syrokomli. I żal zaiste, że do dni dzisiejszych natchnieni przedstawiciele muzy naszéj nie mogli zrozumiéć i nie mogą zrozumiéć, że czas liryzmu się przeżył, że dziś aby masy poruszyć wiązaną mową trzeba w tę mowę wlać ideę wstrząsającą od wieków temi masami, trzeba stworzyć epos.

Napisał Zmorski swego czasu: *Wieżę siedmiu wodzów*, utwór piękny ale cóż z tego, kiedy na tle pogańskich ludowych wspomnień osnuty.

Słyszę stary wieszcz Olizarowski, stworzył epos ale za przedmiot wziął dziedzinę także staropogańskiéj ludowéj fantazyi.

Poeci dzisiejsi piszą i dobrze piszą.... gdyby żyli lat temu 40 nazad, staliby w wyobrażeniu ogółu na równi z geniuszami tamtoczesnemi, dziś jednak nikt ich nie słucha!

Czy to wina słuchaczy?... Sądzimy że nie! To wina wieszczów, zostających w niezgodzie ze społeczeństwem i z samymi sobą, śpiéwających nie na tę nutę, na jakąby oddźwiękiem odpowiedziało serce narodu, za co naród płaci im obojętnością i niewiarą w ich natchnienie, czując, że nie z jego wnętrza ci ludzie czerpią swoję potęgę, ale z własnych swych serc zgorzkniałych.

A słaba to potęga.

Tak, nie liryzmu nam trzeba ale eposu, nie egotycznych wylewów uczuć, zrymowanych na papiérze ale poezyi przedmiotowéj.

Twórzcie na kształt jakim stworzył Malczewski, Mickiewicz pisząc swego *Pana Tadeusza*, a będziecie wielkimi, poczytnymi, będziecie grać na strunach ducha narodowego, będziecie znowu „miljonem“, jak nim był niegdyś swego czasu twórca *Dziadów!*....

Stanisław Sulima Przyborowski.

PRZEGLĄD

NAJNOWSZÉJ LITERATURY

HISTORYCZNÉJ NIEMIECKIÉJ.

I. Zwölf Bücher Preussischer Geschichte von Leopold von Ranke. Leipzig, Verlag von Duncker und Humblot, 1875. 5 tomów. — *II.* Abhandlungen von Johann Gustaw Droysen. Zur neueren Geschichte. Leipzig, Verlag von Veit et Comp., 1876. — *III.* Oesterreich und Preussen im Befreiungskriege. Urkundliche Beschlüsse über die Politische Geschichte des Jahres 1813 von Wilhelm Oncken. Erster Band. Berlin, Grotesche Verlagsbuchhandlung, 1876. — *IV.* Aus dem Nachlass Varnhagens von Ense. Briefwechsel zwischen Varnhagen und Rahel. Leipzig, im Verlage von Brockhaus. 6 Bände. 1875. — *V.* Neun und Sechszig Jahre am Preussischen Hofe, aus den Erinnerungen der Oberhofmeisterin Sophie Marie Gräfin von Voss. Leipzig, 1875. — *VI.* Maria Theresias letzte Regierungszeit von 1763—1786, von Alfred Ritter von Arneth. Erster Band. Wien, 1876. — *VII.* Napoleon I Fahrt von Fontainebleau nach Elba, von Joseph Alex. Freiherrn von Helfert. Wien, 1874. Verlag von Wilhelm Braumüller. — *VIII.* Lothar I. und Konrad III. Geschichte der deutschen Kaiserzeit von Giesebrecht. IVter Band. Stauffen und Welfen, 1 Abtheilung, 1872. II Abtheilung. 1875. Berlin. — *IX.* A. von Reumont. Geschichte Toscanas seit dem Ende des florentinischen Freistaates. Band 1. Die Medici im Jahre 1530—1737. 654. 3. Gotha, 1876, bei Rothes. — *X.* Livland im XVIII Jahrhundert von Julius Eckardt. Umrisse zu einer Livländischen Geschichte. 1 Band. Bis zum Jahre 1766. Leipzig bei Brockhaus, 1876. — *XI.* Christian Kelch. Liefländische Historia. Continuation 1690 bis 1706. Dorpat, 1875.

W pierwszym zaraz zeszycie niniejszego czasopisma mieliśmy sposobność poświęcić kilka słów zastanowienia i rozbioru literaturze historycznéj narodu, który w zamian zyskanéj ostatniemi czasy przewagi w dziedzinie wojny i polityki, zaczyna, jeśli się bardzo nie mylimy, w dziedzinie wielkich prac ducha zstępować powoli z długo zajmowanego przez się, monumentalnego stanowiska. Staraliśmy się w pierwszéj swéj, przeznaczonéj temuż przedmiotowi rozprawie wykazać, jak daleko prąd obecnéj chwili potrafił zapanować w sfe-

rze nauki historycznéj, jak charakterystyczne wypadki ostatniego czasu z pola wojny i polityki, zdołały nadać piętno zbiorowéj fizyonomii wszelkim prawie płodom dzisiejszéj historyografii prusko-niemieckiéj. Zbyteczną było rzeczą powiadać, że rok ów ostatni, który przeminął od czasu pierwszéj naszéj rozprawy, nie przedstawiając żadnéj politycznie i wojennie różnicy z kilku poprzedniemi, nie przedstawia téż żadnéj ważniejszéj dostrzegalnéj zmiany, w zbiorowym charakterze i usposobieniu powierzającéj się prądom wojny i polityki historyografii prusko-niemieckiéj. Chcąc przecięż na tym ogromnym obszarze przyjść do ładu i składu, ustanowić konieczne w interesie rzeczy dystynkcye, — trzeba znów uprzytomnić i przypomniéć sobie różne owe działy czy obozy, na które nam historyografią niemiecką podzielić wypadło. Jak w pierwszéj, tak i w obecnéj rozprawie naszéj wypadnie nam na pierwszém i naczelném miejscu pod względem ilości i wartości postawić dział historyografii *pruskiéj;* następnie przenieść się do obozu austryackiego; trzecie i ostatnie wreszcie miejsce przeznaczyć ocenieniu i rozbiorowi historyograficznych płodów, przedmiotem i treścią może i stanowiskiem autorów, po za obrębem owych obozów się znajdujących. Powyższe zaraz twierdzenie, o przewadze *wartości naukowéj* dziejopisarstwa *prusko-niemieckiego* nad *innemi* jego obozami, wymaga kilku słów objaśnienia. Jeżeli jak dawniéj tak i dzisiaj, przy choćby najskromniejszéj dozie zastanowienia, nie podobna nam dziejopisarstwu prusko-niemieckiemu obecnéj chwili oszczędzić zarzutu bardzo wyraźnéj *tendencyjności* politycznéj, nie przeszkadza nam jednakże równocześnie podobne przeświadczenie do uznania prawdy, że, *mimo* to i cokolwiek bądź, *ten* dział właśnie literatury historycznéj niemieckiéj rozporządza imionami i zdolnościami naukowo-*technicznemi* jeżeli się tak wolno wyrazić, jakich posiadaniem inne poszczycić się nie mogą. Sybel, Ranke, Droysen, Oncken, Giesebrecht, Grünhagen, Noorden, — są to naukowe powagi, znakomici *technicy*, którzyby literaturę wszystkich narodów i czasów zdobić mieli prawo. Inne naturalnie pytanie, czy *stanowisko* ich jest słuszne i sprawiedliwe, czy nie dali się z krzywdą i szkodą rzeczy, choć bez ujmy pisarskiego talentu, porwać panującemu w polityce prądowi. Pozostaną oni, powtarzamy, znakomitymi naukowymi technikami, *Kruppami* historyografii, których działa mogą przecięż, bez szkody doskonałości wyrobu, przemawiać swym donośnym głosem w interesie bardzo rozmaitych spraw i racyj. Po tym wstępie, po téj zastrzegającéj z góry uwadze, niechaj nam będzie wolno zstąpić *in medias res;* przystąpić do rozbioru nagromadzonego znów od czasu ostatniego przeglądu naszego, historyograficznego materyału.

Rozpoczynając więc według powyżéj zakreślonego planu od działu historyografii *prusko-niemieckiéj*, rozpocznijmy ją w szczególności od Nestora jéj, profesora Rankego. Zbyteczną byłoby rzeczą przypominać znaczenie jego i stanowisko pośród plejady nowoczesnych historyków niemieckich. W obecnym przypadku mamy zadanie specyalniejszéj natury, rozebrać jego wydane w r. 1875 w pięciu tomach dzieło, pod tytułem: *Zwölf Bücher Preussischer Geschichte*. „*Habent sua fata libelli!*"... można słusznie zawołać na widok téj książki, która ma istotnie swoję osobną historyą, w samym fakcie ukazania się w swéj nowéj szacie stwierdza owę, tylokrotnie przypominaną przez nas prawdę, o wzajemnéj nieustannie działalności między polityką a nauką niemiecką. Dawne to już czasy, jeżeli się nie mylimy, było to roku 1850, kiedy ówczesny profesor uniwersytetu berlińskiego, a *nie* jeszcze urzędowy historyograf pruski, Leopold Ranke, również jeszcze nie *von* Ranke, czém wszystkiém został *późniéj* dopiéro — wystąpił po dziełach, które mu w rzędzie historyków niemieckich znamienite na wszystkie czasy zaręczyły stanowisko, po dziełach, jak: *Geschichte der Kaiser und Päpste*, *Deutschland im Revolutionszeitalter*, z nowém dziełem, poświęconém dziejom pruskim, pod tytułem: *Neun Bücher Preussischer Geschichte*. Dzieło to, rozpoczynające rzecz od ostatnich czasów elektora Fryderyka Wilhelma, trudniło się głównie dziejami następcy jego czyli pierwszego króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma II, ojca Fryderyka II, i samegoż wreszcie Fryderyka II w początkach jego panowania. Dzieło to odznaczało się właściwościami charakterystycznemi do pewnego czasu, maleńkiego wzrostem, a szepleniącego ustami Rankego, niemniéj w pismach jak w katedralnym wykładzie, — *przedmiotowością*, posunioną do ostateczności, nużącą często gorętszego i wrażliwszego czytelnika czy słuchacza, gładkiém a zimném opowiadaniem. Co może tylko wśród owéj objektywności uderzało pewną niezwykłością, to dziwaczna predylekcya autora do osoby króla Fryderyka Wilhelma, ojca Fryderyka II. Nie naszą rzeczą rozstrzygać, o ile *Neun Bücher Preussischer Geschichte* wpłynęły na zamianowanie Rankego oficyalnym historyografem pruskim i członkiem rady stanu, o ile przyczyniły się do zaopatrzenia jego plebejuszowskiego nazwiska predykatem szlachectwa. Wszystko to nie wchodzi w zakres traktowanego przez nas przedmiotu. Co natomiast jest rzeczą pewną, to że między rokiem 1850 a chwilą dzisiejszą minęła ćwierć wieku z całym ogromem wypadków, zmieniających postać rzeczy w sercu Europy, a że w obec oficyalnego historyografa pruskiego, który przez ten czas napisał bardzo wiele o Francyi i Anglii, dzieło o Wallensteinie, o początkach wojny siedmiole-

tniéj, o przymierzu książąt niemieckich z r. 1780, o genezie wojny przeciw rewolucyi francuzkiéj — stanęła moralna i naukowa konieczność poświęcenia dziejopisarskiego rylca *całości* dziejów monarchii, która tyle zmian dokonała, a któréj oficyalnym jest historyografem. Jeżeli się mocno nie mylimy, jeżeli umiemy zajrzéć nieco po za kulisy naukowego niemieckiego świata i rywalizacyj, na widowni jego się rozegrywających, przyczyniła się inna jeszcze, bezpośredniejszéj natury okoliczność, do wystąpienia Rankego z *całością* dziejów prusko-brandenburgskich.

Podjął, jak wiadomo, od lat kilkunastu profesor uniwersytetu berlińskiego, Droysen, ogromne, monumentalne dzieło: *Geschichte der Preussischen Politik*, rozpoczynające się od saméj kolébki niemal rodu Hohenzollernów, doprowadzone obecnie już do pierwszych lat panowania Fryderyka II, opierające się głównie, jeżeli nie wyłącznie, na źródłach tajnego archiwum królewskiego w Berlinie. Między Droysenem a Rankem panuje pewien rodzaj polemicznego, mianowicie ze strony pierwszego, antagonizmu, który, widoczniejszy i dostrzegalniejszy w wykładzie z katedry uniwersyteckiéj, zaczyna, jak zaraz zobaczymy niżéj, ostatniemi czasy przenikać powoli i do literatury historycznéj. Jeżeli Ranke, czy to z temperamentu, czy z zasady, wywiesza sztandar objektywności, która *jemu*, protestantowi, za dzieło: *Geschichte der Kaiser und der Päpste*, zdołała zyskać poklask katolickiego świata, jeżeli owę przedmiotowość uważał za rzecz konieczną przenieść na sprawy i rzeczy *pruskie;* uznał wręcz przeciwnie Droysen za zadanie swe, nieakcentowane tyle w pismach, ile raczéj uwydatniające się rzucanemi z katedry przeciw Rankemu półsłówkami, przyznawać się niedwuznacznie do sympatycznéj *stronniczości*, jeżeli nie bezwzględnego uwielbienia, dla polityki, któréj drogi, koleje i środki skréśla. Doprowadzał w ten sposób powoli Droysen panegiryk swéj polityki brandenburgsko-pruskiéj aż do epoki Fryderyka II. Czyż podobny objaw byłby miał pozostać bez wpływu i wrażenia na dziejopisarską działalność i ambicyą Rankego? Nie kusimy się dać na to stanowczéj odpowiedzi, ale mimowolnie nasuwa się nam myśl, że jest *tak*, a nie inaczéj.

W obec ciężkich, uczonych bezwątpienia, ale obok uczoności niemniéj pretensyonalnie jak efektownie napisanych, kilkunastu tomów *Geschichte der Preussischen Politik* Droysena, — ukazują się w r. 1875 obejmujące dosłownie ten sam przestwór czasu historyi brandenburgsko-pruskiéj, wyrosłe istnie jak nowy barwny motyl z gąsienicy, z dawniejszego dzieła: *Neun Bücher Preussischer Geschichte*, dzieło świéżéj szaty a zmienionéj nieco treści: *Zwölf Bücher Preussischer Geschichte*, Rankego. Rozumie się tylko, że, co było

wolno, i co wystarczało autorowi *Neun*, nie wolno już i nie wystarcza autorowi *Zwölf*. Kiedy pisał *Neun*, były Prussy monarchią, skołataną burzami rewolucyjnego roku 1848, rezygnującą z chwilowych pretensyj panowania w Niemczech, zwijającą żagle w obec Austryi i polityki księcia Schwarcenberga. Kiedy pisał, czy wydawał, *Zwölf*, stały Prussy na podstawie trzech zwycięzkich wojen, na czele zjednoczonych częścią, częścią zawojowanych Niemiec, z odnowioną ich koroną cesarską na głowie, z posiadaniem supremacyi europejskiéj w ręku. *Taka* kreacya wymagała, bardzo naturalnie, *innéj* téż, zastosowanéj do zmienionych okoliczności historyi. Zmieniło się wiele rzeczy. Broń perkusyjna zmieniła się na iglicówki, Paixhansy, na Kruppy, statki żaglowe z zaopatrzeniem w machinę na parochody. Rzeczą niemniéj naturalną, że i rodowód przeszłościowy monarchii prusko-niemieckiéj nowego autoramentu winien się był zmienić i zreformować odpowiednio do zmienionych okoliczności. To téż *Zwölf Bücher* nie są koniecznie podobne do *Neun Bücher*, nietylko z rozmiarów i objętości, ale i z całego zakroju i treści. W *Neun Bücher* miał autor na oku i celu skromną monarchią pruską, w *Zwölf Bücher* rozszerzył się tenże horyzont, trzeba mu było stworzyć osobną *filozofią* dziejów prusko-niemieckich. Trącając zlekka, w przedmowie już, o dopełnienie podobnéj potrzeby i jéj konieczność, rozprowadza ją i uzasadnia autor nieco bliżéj i szérzéj *we wstępie*, a tutaj, jakoby w przeczuciu i przewidywaniu tego, co za dni naszych nastąpić miało, — stawia zasadę, według któréj owemu embryonicznemu zawiązkowi państwa na błotach i piaskach marchijskich, było wolno traktować osobną, terytoryalno-dynastyczną politykę, emancypować się powoli w jéj interesie z pod władzy i powagi cesarskiéj.

Pierwsze wszakże początki nie dostarczają do politycznego zastosowania i stwierdzenia podobnéj historyozoficznéj zasady zbyt obfitego i pożądanego materyału. Wśród, jak co dopiéro powiedziano piasków i błot marchijskich, — na gruncie będącym przedmiotem żywego krwawego często zatargu, między broniącą ojczystéj gleby, choć niedołężnie, ludnością słowiańską, a wdzierającą się, istnie siłą płynu chemicznego, kolonizacyą niemiecką, — rodzi się pod opieką *marchionów*, pośród których uwydatnia się krwawo i ponuro postać Albrechta Niedźwiedzia, pod błogosławieństwem niemieckich biskupów, za współdziałaniem płynących strumieniem niemieckich rolników, kupców, rękodzielników, mnichów, zawiązek państwa, którego późniejsza rola w dziejach Niemiec i całéj północnéj Europy miała być tak wielką i fatalną razem. Dziwne przeznaczenie zrządza, że równocześnie niemal, kiedy w sercu słowiańszczyzny

północno-zachodniéj, w owéj leśno-piaszczysto-błotnistéj okolicy nad Hawolą i Sprewą sadowi się *jedna* kolonia niemiecka, zagnieżdża się dzięki nieopatrzności Konrada Mazowieckiego, jakoby w zanadrzu lechickiém, na przeciwległym jéj krańcu druga podobna kolonia *krzyżacka;* — obie, również rzecz uderzająca, szukające się, zwąchujące jakby nawzajem, nieprzyjazne z jednéj strony Polsce, z drugiéj Danii.

Dziejopis pruski uważa w fakcie owych dwóch rzuconych we wnętrze świata słowiańskiego kolonij, jakoby opatrznościowe przeznaczenie zgermanizowania brzegów Baltyku i ujść Wisły, utrwalenia przewagi germańskiéj nad Słowiańszczyzną, w tym politycznie, strategicznie i handlowo tak ważnym zakątku Europy. W obec podobnego zadania i przeznaczenia, nikną naturalnie w oczach historyografa pruskiego wszelkie względy i skrupuły. Cel germańskiego zwycięstwa w tych stronach, staje się odtąd *prawem*, bratnie podanie sobie ręki obu kolonij wskróś słowiańskich krajów i ludności obowiązkiem, wypływającym z owego *prawa*, a jakich środków do tego się użyje, i jakie *prawa* innym należne się obrazi, o to, naturalnie już mniejsza. Co przy téj sposobności i wśród podobnego traktowania rzeczy najpocieszniejsza, to że autor, przemawiając w swym wywodzie za darzącym zakon krzyżacki Konradem Mazowieckim przeciw biskupowi Krystyanowi, na podobny podarek niechętném patrzącemu okiem, woła nie bez nabożnéj jakoby bezstronności: „Jak téż to *stronniczym* jest się w naszych czasach!“ — niezadowolony z historyka Wittericha, który staje po stronie biskupa przeciw Konradowi... Dość tedy, poszukują się i podają sobie ręce obie kolonie niemieckie przez wiek XIII, w epoce panowania marchionów z domu Askańskiego, a widownią wspólnego między niemi porozumienia jest *gdańskie Pomorze*, dzielnica Mestwinów i Świętopełków. Po *ich* wygaśnieniu, — mimo niezaprzeczalnego dziedzictwa Polski, rzucają się obie kolonie, każda ze swéj strony, na osierocone książąt pomorskich dziedzictwo. Rzeczą wiadomą, że chwilowo ubiega zakon krzyżacki swego brata brandenburgskiego w współupragnioném dziele, ale *prawo* naturalnie zostaje przy *drugim*, a jeżeli się nie odzywa przez długie wieki, odżyje ono przecież choćby za Fryderyka W., w jego tak zwanym *Wywodzie Praw* do księstwa Pomorskiego, odżyje w historyografii prusko-niemieckiéj obecnéj chwili, odżyje w piszącym, *ad usum Delphini* gustów i prądów niemieckich, historyą polską, wrocławskim profesorze Jakóbie Caro...

W pierwszych jednakże owych latach XIV wieku, latach zamieszania i anarchii w margrabstwie Brandenburgskiém, nie ma do odezwania się z owemi „*prawami*“ do dzielnicy pomorskiéj ani czasu,

ani sposobności, ani, przedewszystkiém, *możności*. Wygasł ród Askański na osobie margrabiego Waldemara; po jego zgonie wystąpił na scenę, jako Waldemar Samozwaniec, podobny mu z powierzchowności młynarczyk, którego wyniesienie i powodzenie było poprostu dziełem rozbójniczéj szlachty marchijskiéj, żądnéj gospodarowania bezprzeszkodnie pod miejscowym marchionem, obawiającéj się niepysznego końca swéj swobody pod nowym jakim, energiczniejszym lennikiem z cesarskiego ramienia. Nareszcie upada samozwańczy Waldemar—ale Brandenburgia, zostająca przez cały wiek XIV w ręku domu Luksemburgskiego, nie jest, według autora, zdolną ani wybrnąć ze stanu anarchii, ani spełniać swego germanizacyjnego zadania, — ponieważ margrabiowie z rodu Luksemburgskiego, z rodu Karola IV, są więcéj Słowianami, aniżeli Niemcami, ponieważ nadto, — w czém autor wielką dla sprawy Brandenburgii i Niemiec upatruje klęskę, — pod koniec XIV, w pierwszych latach XV wieku spełnia się fakt połączenia Litwy z Polską, ulegalizowany wstąpieniem dynastyi Jagiellońskiéj na tron polski, przypieczętowany na długie lata zwycięstwem Grünwaldzkiém. Na wewnątrz nadto jest to chwila najswobodniejszego rozkoszowania rozbójniczéj szlachty marchijskiéj, owych znanych dotąd jeszcze w tradycyach i powiastkach ludowych *Raubritterów*, owych Quizowów i Grunwaldów, którzy znaleźli swego Walter Scotta za dni naszych w niezrównanym znawcy i malarzu owéj epoki historyku Klödenie...

W takiéj to chwili anarchii wewnętrznéj, zagrożenia zewnętrznego, rozpoczynającéj się nadto burzy wojen husyckich, odbiéra roku 1417 w czasie soboru Konstancyjskiego z ramienia cesarza Zygmunta lennictwo marchii brandenburgskiéj Fryderyk, *Burgwacht* Norymbergski z rodu Hohenzollernów. Zarazem zyskuje godność elektora św. państwa Rzymskiego, z tytułem jego podkomorzego. Akt téj pamiętnéj w dziejach brandenburgskich uroczystości odbył się w Konstancyi dnia 18 kwietnia 1417. „Panie elektorze świętego Rzymskiego państwa, kuzynie mój,“ zapytał cesarz, „chcecie to zaprzysiądz?“ „Chętnie, potężny Cesarzu!“ odpowiedział Fryderyk i złożył przysięgę, aby znaczenie jéj przypomnieć cesarstwu późniéj za Maryi Teressy po raz pierwszy, pod Sadową po raz drugi. Zresztą nie trzeba było czekać tak długo na dowody i objawy separastycznéj i czysto obozowéj tylko polityki, tego pierwszego reprezentanta dynastyi Hohenzollernów na marchijskich równinach. W rozwściekla jącéj się naówczas coraz bardziéj wojnie hussyckiéj, widzimy go w istnéj roli zręcznego akrobaty politycznego pomiędzy cesarstwem niemieckiém, Polską i samymiż Hussytami. Zobaczmy, w jaką bawełnę uczony Ranke umie obwijać ową zręcznie

kameleonową postać dziejów brandenburgskich. Oddawszy pokłon jego zdolnościom, jego zręczności, jego naukowemu wykształceniu, mówi dosłownie, jak następuje: „Jako niezłomnego przyjaciela, nie można go uważać. Zarzucano mu to często z goryczą, a nie bez powodu. *Szedł zawsze tylko za ogólnym kierunkiem, jaki w pewném położeniu rzeczy obrał, nie uważając się związanym osobistemi względami.* Zawsze zaś żyło w nim coś takiego, co jest wznioślejszém nad chwilową potrzebę. *Równie zręczny jak wytrawny, umiał sobie otworzyć wstęp do wszystkich stronnictw.* Był dobrym wojownikiem. Wyliczają trzydzieści wypraw wojennych, w których z odwagą i rozumem brał udział; *zdaje się jednakże, jakoby tamże tylko to działał, co nie było do uniknienia.*“ Otóż to charakterystyka eufemicznego kolorytu, jaką obecny historyograf pruski pierwszemu Hohenzollernowi na tronie brandenburgskim poświęca.

Tymczasem zmuszają okoliczności nowego elektora zachowywać ciągle ostróżną i wyczekującą postawę, zwłaszcza, że cesarstwo niemieckie coraz słabsze i anarchiczniejsze, a bieg wydarzeń na wschodzie Brandenburgskim coraz groźniejszą dla zadania germanizatorskiego Brandenburgii przybiéra postać. Unia Litwy z Polską czyni zakon krzyżacki coraz to pokorniejszym. W r. 1440, już wśród upadku i rozkładu Krzyżaków, umiéra pierwszy Hohenzollern na tronie marchijskim. Następca jego, elektor Fryderyk II, panuje wśród jeszcze krytyczniejszych, aniżeli poprzednik, okoliczności. Z jednéj strony w Czechach, wznosi się ku postrachowi sąsiednich władców niemieckich słowiańska gwiazda Podiebrada, z drugiéj powstanie miast pruskich i pokój toruński z r. 1466 pieczętują zwycięstwo Polski nad zakonem krzyżackim. W ocenieniu tego najdrażliwszego dla historyografii pruskiéj i dla historyków niemieckich przedmiotu, jest Ranke równie stronniczym jak Caro, jak Droysen, jak Voigt, jak Prowe, jak cała nowsza szkoła historyografii niemieckiéj, która powstanie kraju pruskiego przeciw ohydnemu jarzmu Krzyżackiemu uważa za karygodny bunt, a oddanie się zwycięskich Pruss pod opiekę króla polskiego, za zdradę przeciw wielkiéj ojczyźnie niemieckiéj. Pojęcie to, powtarzamy, nowéj, za naszych dni wyrosłéj szkoły historyografii prusko-niemieckiéj; ponieważ współczesne i późniejsze dziejopisarstwo niemieckie w téj sprawie najniepodzielniéj krajowi pruskiemu słuszność przyznaje, a nawet z pomiędzy nowszych już historyków niemieckich, zacny wrocławski profesor Stencel, wcale uśmiechnionego oblicza rozpasanemu Krzyżactwu pokazywać nie myśli. Ranke ulega, jak już powiedziano, obecnie panującemu prądowi, nie umié się w tyle drażliwéj sprawie z pod jego przymusu wyemancypować. Jest jednakże do

tyla sprawiedliwszym od dziejopisarskiego chóru i otoczenia, że się przyznaje do pewnéj sympatyi dla sprawy miast pruskich, lecz że według niego „należało im poszukiwać naprawy krzywd na legalniejszéj drodze.“ Co się zaś tyczy rzekomego grzechu poddania się owéj kolonii niemieckiéj nad brzegami Baltyku i ujściami Wisły pod opiekę słowiańskiéj Polski, jest to naturalnie i u Rankego występkiem, którego duch niemieckiéj historyografii, dzisiaj zwłaszcza, winowajcom przebaczyć nie jest w stanie...

Rzeczą naturalną wszakże, iż wśród podobnych okoliczności, Brandenburgia, odcięta przez potężną Rzeczpospolitą Polską od bratniéj kolonii w zakątku wschodnim Pruss, nie mogła traktować swego „*dziejowego, opatrznościowego zadania niemczenia słowiańskiego Nadbaltyku*,“ że przeciwnie była zmuszona zamknąć się w swoim skromnym obrębie, a starać się z wszelką ostrożnością utrzymywać równowagę między grożącemi z kilku sąsiednich stron razem niebezpieczeństwami. Taki charakter noszą téż rządy owych elektorów z XV i pierwszéj połowy XVI wieku, owych Fryderyków II, Albrechtów Achillesów, Janów Cyceronów i długiego szeregu następców. Baczniejsze oko dostrzega jednakże, już i w téj epoce skromności i uległości brandenburgskiéj, konsekwentną a niebezskuteczną dążność rozszerzenia ciasnych ścian szczupłego domu, zbogacenia się i rozrostu kosztem różnych sąsiadów. Tak np. zyskuje Fryderyk II w czasie zawieruchy wojny pruskiéj przed traktatem toruńskim, dzięki niepotrzebnéj koncesyjności polskiéj, jako sukcesyą pokrzyżacką, tak zwaną Nową Marchią. Tak daléj wdziéra się Albrecht Achilles w prawa dziedziczne książąt pomorskich na Szczecinie i Wolgaście. Stosunki te trwają nieprzerwanie, a z małemi nader zmianami, aż do pamiętnego w dziejach Niemiec wstrząśnienia reformy religijnéj.

Elektor Joachim I, *dobry gospodarz* dziejów brandenburgskich, powinowaty naszych Jagiellonów, opiéra się przyjęciu reformy. Syn jego i następca, Joachim II, staje się natomiast gorliwym jéj wyznawcą i krzewicielem; co autor, nie bez słuszności zresztą, uważa za stanowczy, ogromnéj doniosłości wypadek w dziejach brandenburgskich. Przyjęcie reformy Lutra nad Sprewą, w Marchii Brandenburgskiéj, jest jakoby odpowiedzią tylko na podobneż hasło, dane przez pokrewnego księcia Albrechta i ostatniego, sekularyzowanego w. mistrza krzyżackiego nad Baltykiem. Obie kolonie niemieckie znajdują się ponownie złączone węzłem wspólności religijnéj i rodzinnéj, koniecznéj zarazem akcyi przeciw niebacznéj tyle i nierozumiejącéj swego interesu Polsce. Zresztą widoczniejsze już są od téj epoki usiłowania, tak połączenia się na wewnątrz, jak rozsze-

rzenia na zewnątrz obu kolonij. Ks. Albrecht robi opiekunami i dziedzicami swego księstwa Pruskiego elektorów brandenburgskich, pod niezawodnêm zawsze błogosławieństwem Jagielońskiéj Polski. Równocześnie zyskują elektorowie brandenburgscy przez połączenie z książętami Kliwii prawo dziedzictwa krajów aż nadreńskich. Równocześnie jeszcze także zawierają z gasnącymi moralnie i fizycznie Piastami Szląskimi traktat dziedzictwa, zyskują pergaminową pretensyą przez kilka wieków bez wartości, którą dopiéro wspólna niemoc i niedołężność Polski i Austryi zrealizować pozwolą. Rychléj niż na Szląsku, pozwalają okoliczności elektorom brandenburgskim wejść choć w posiadanie, na tymczasem przewodnie, księstwa Pruskiego. Zgon syna Albrechtowego, obłąkanego księcia Fryderyka Albrechta w r. 1612, zamienia elektorów brandenburgskich pierwszéj połowy XVII wieku, owych Janów Zygmuntów, Jerzych Wilhelmów, Fryderyków Wilhelmów na książąt kraju pruskiego pod zwierzchnictwem Polski, pokornych i uległych prawda, ale czekających tylko sposobności, aby swą rolę podległości zamienić na lepszą.

Epoka wojny trzydziestoletniéj tymczasem w Niemczech, nie jest jeszcze bynajmniéj epoką ani świetności, ani téż energii i zdolności władców Brandenburgii. Przez piérwszą połowę trwania, téj straszliwéj, niszczącéj Niemcy zawieruchy, dzierży berło elektorskie słaby, nieudolny, zależny od skinień wszechwładnego ministra Adama von Schwarzenberga, Jerzy Wilhelm, który nie wié jako się ma i który, pragnąc utrzymać neutralność między wojującemi stronami, zamienia Marchię Brandenburgską na widownię bezkarnego i swobodnego ich spotkania. Depce ją Gustaw Adolf, lekceważy cesarz, Brandenburgia pozostaje przez cały ciąg rządów elektora Jerzego Wilhelma ofiarą huczącéj w około burzy, bez chęci i umiejętności wyzyskania jéj na swą korzyść. Stan podobny rzeczy trwa aż do zgonu elektora w listopadzie r. 1640. Następca jego, dwudziestoletni Fryderyk Wilhelm, znany później w historyi brandenburgskiej pod nazwą *wielkiego elektora*, rozpoczyna swe rządy oddaleniem od steru polityki ministra Schwarzenberga. Na *zewnątrz* jednakże nie przedstawiają mu okoliczności powodu i sposobu do porzucenia skromnéj i niepokaźnéj roli ojca, przez pierwszych przynajmniéj lat kilka panowania. Młody elektor reguluje wewnętrzną machinę rządową, usiłuje przełamać lub ułagodzić, według możności i okoliczności opór stanów, czy to w Kliwii, czy w Marchii, czy w Księstwie Pruskiém; ale na zewnątrz widzimy go uległym wobec naszego Władysława IV, zgodnym z władzą cesarską, choć dla tego niepogniewanym również z ligą protestancką. Jest to jednakże

duch ambitny, przedsiębierczy, oglądający się wokoło za środkami i sposobnościami rozszerzenia granic swego obszaru i znaczenia, istny protoplasta Fryderyka II i obecnego księcia kanclerza; piérwszą taką widownią jego akcyi jest *Polska*, Polska jeszcze przed rozpoczęciem wojny szwedzkiéj. Już w czasie bezkrólewia po Władysławie IV zyskuje elektor w zamian przyrzeczonego Janowi Kazimierzowi poparcia, zwolnienie osobiste króla z mającéj się składać przezeń przysięgi lenniczéj. Późniejszy wybuch wojny szwedzkiéj r. 1655 daje elektorowi sposobność zrzucić maskę i rozpocząć otwarcie dzieło emancypacyi Księstwa Pruskiego z pod zależności polskiéj. Znana zbyt dobrze i zbyt szczegółowo z dziejów naszych i brandenburgskich gra polityczna elektora pośród całego przebiegu téj nieszczęsnéj wojny, abyśmy mieli potrzebę rozwodzenia się nad nią w krytycznym naszym przeglądzie. Wiadomo dobrze, jak elektor z lennika Polski w Księstwie Pruskiém przechodzi na lennika Szwecyi, jak w nagrodę pomocy danéj Karolowi Gustawowi, staje się niezależnym monarchą w Księstwie Pruskiém, jak wreszcie w nagrodę zdrady króla szwedzkiego i przymierza ofiarowanego Polsce, zyskuje w traktatach welawsko-bydgoskich ze strony Jana Kazimierza uznanie swego zwierzchnictwa w Prussach.

Stanowisko autora w ocenieniu podobnéj gry, zadziwiającéj śmiałością i zręcznością, oburzającéj stroną swą moralną, — jest dość przedmiotowe. Carlyle i Droysen przyklaskiwaliby jéj cynicznie, pierwszy cieszyłby się, że mądry elektor potrafił tylu łatwowiernych dudków wyprowadzić w pole, drugi wywodziłby z najpoważniejszą w świecie miną *prawo* elektora do podobnego postępowania ze swymi sprzymierzeńcami. Ranke, przyznać należy, jest tu dość przedmiotowym i robi raczéj wrażenie widza zaciekawionego i zbudowanego sztukami zręcznych czy śmiałych akrobatów cyrkowych... Zresztą należy mu się *prócz* tego jeszcze uznanie za to, iż przyczyny elektorskiego sukcesu nie upatruje jedynie tylko w rozumie, śmiałości i zręczności swego pana, lecz dzieli zasługę jego powodzenia między niego a nędzną spekulacyą dworu polskiego i nieoględność jeśli nie wyraźne przeniewierstwo dygnitarzy polskich.

Elektor pozostawiony, po ustąpieniu Karola Gustawa i pogromie Rakoczego, *sam* na widowni wojny przeciw rozkołysanéj wojennym zapałem, rozgrzanéj powodzeniem szlachcie polskiéj,—znajdował się w rzeczywiście niebezpieczném położeniu, miał wielki powód być pokornym, a nie miał pod żadnym warunkiem prawa liczyć na jakie bądź ustępstwa ze strony Polski. Tymczasem przybył elektor z mądrą swą małżonką, Ludwiką Księżniczką Oranii do Poznania, następnie do Bydgoszczy, tu osobiste konferen-

cye z Janem Kazimierzem, nadewszystko zaś z Maryą Ludwiką wytargowały Brandenburgii niezależność w Prussach, zatwierdzoną następnie traktatem Oliwskim. Odtąd to, to jest od pamiętnéj daty r. 1660, widzimy elektora zajętego znowu przedewszystkiém zabiegłą robotą około sprowadzenia do głównego mianownika swéj absolutnéj władzy, porozrzucanych, rozsianych od Renu do Niemna części swego chudego a rozległego obszaru. Ztąd to wywiązuje się zacięta walka między dążnością *jego*, a swobodą stanów w Kliwii, Marchii Brandenburgskiéj, a przedewszystkiém w księztwie Pruskiém. Prusy przedewszystkiém wierzgają najwytrwaléj i najdłużéj, zwracając ciągle oczy ku Polsce przeciw absolutnéj władzy elektorskiéj, a uwięzienie mistrza ławników królewieckich Rotha, porwanie i ścięcie Kalksteina, pozostaną owéj walki pomnikowémi świadectwami.

Rzecz dziwna i uderzająca, że wśród podobnéj roboty na wewnątrz, pojawia się w równoczesnéj zewnętrznéj polityce elektora, że znajduje miejsce w datującym się z owego czasu testamencie jego politycznym, myśl zaboru Szląska, na mocy traktatów sukcesyjnych, zawartych między elektorem Joachimem II a książętami Szląskimi z rodu Piastów na Welawie, Brzegu i Jägerndorfie. Okoliczności nie pozwalają jednakże podobnéj myśli przyjść do urzeczywistnienia, ponieważ właśnie wtedy, w r. 1672, rozpoczyna się wojna Ludwika XIV przeciw Holandyi, która wywołując Rzeszę Niemiecką na widownię walki przeciw Francyi, wywołuje na nią zarazem jako członka Rzeszy elektora brandenburgskiego. Trwa owa wojna z rozmaitém szczęściem, zakończona wszakże ostatecznie powodzeniem Ludwika XIV przez lat siedem. Elektor brandenburgski bierze udział w kampanii nadreńskiéj, ale przezorność polityki francuskiéj sprowadza mu dwukrotnie, w latach 1675 i 1679, na kark do krajów dziedzicznych dywersyą szwedzką, dostarczając zarazem sposobności łatwych, za dni naszych jeszcze ku rozdrażnieniu Szwedów święconych, tryumfów pod Fehrbellinem i Tylżą czy Memlem. Traktat Nimwegski z r. 1679 kończy ową wojnę, sprowadzając zarazem zmianę dekoracyi, która niezaprzeczona wręcz co do swéj faktycznéj prawdziwości przez historyków brandenburgskich, obdarzona zaszczytem osobnéj wzmianki nawet w dziele niniejszém Rankego, nie jest przecięż przez wielu, dzięki pewnéj wstydliwości patryotycznéj niemieckiéj, dostatecznie nacechowaną i wyświeconą w całéj pełni swego znaczenia, w dziejach genezy prusko-brandenburgsko-niemieckiéj wielkości.

Zastanówmy się nad owym genetycznym czynnikiem wzrostu Prus, widocznym poraz pierwszy po traktacie Nimwegskim, pomija-

nym z najdoskonalszą niewiadomością i krótkowidztwem przez Francuzów, przyznawanym z pewną ostrożnością parweniuszowską przez historyków brandenburgskich. Komuż z nas nieznana owa propaganda nienawiści w Niemczech przeciw Francyi i Francuzów, zainicyowana przez Prusy, rozpoczynająca się od szkół elementarnych, kończąca się na katedrach uniwersyteckich, przemawiająca równie z alfabetów, jak z dzieł wysoko uczonych, propaganda darząca Francuzów stałym epitetem *„des Erbfeindes“*, wyzywająca przeciw nim wojowniczość niemiecką, wołająca wczoraj o windykacyą Alzacyi i Lotaryngii, domagająca się dzisiaj najenergiczniejszéj represyi, skoroby tylko *„Erbfeind“* pokusił się o naprawę doznanéj krzywdy? Któż tymczasem, zapytalibyśmy, jest prócz Pana Boga, dobrego gospodarstwa wewnętrznego i zabiegłości władców z rodu Hohenzollernskiego, prawdziwym twórcą wielkości pruskiéj? W wieku XVI i połowie XVII jest nim *Polska*, potém w trzech, od stu do stu lat niemal powtarzających się ustępach, jest nim *„der Erbfeind“*—*Francya*. Jest nim, jak zaraz zobaczymy, po traktacie Nimwegskim za elektora Fryderyka Wilhelma; jest nim za panowania Fryderyka II; jest nim w bieżącym obecnie wieku, w epoce gromu z pod Sadowy. Czy to w wieku XVII, czy w wieku XVIII, czy w XIX, zależało zawsze tylko od *Francyi*, bądź to odmową swéj pomocy, bądź swą neutralną postawą, bądź dorzuceniem ciężaru swéj wagi na wahającą się szalę losów europejskich, strącić Brandenburgią czy Prusy w stan nicości, z którego wyszły, — oszczędzić sobie na przyszłość niebezpiecznego nieprzyjaciela. Opatrzność chciała widocznie inaczéj; ale co rzecz najciekawsza, to że obie strony nie są do dziś dnia świadome odegranéj przez siebie w przeszłości roli, że ani Prusy nie chcą się przyznać do długu wdzięczności względem Francyi, ani Francya do błędu, iż systematyczną a długą pracą wychowała sobie sama pod bokiem tyle wdzięcznego przyjaciela.

Robota ta Francyi rozpoczyna się, jak powiedziano wyżéj, po traktacie Nimwegskim. Wielki elektor przewiduje, iż w zatargach swych z domem austryackim o Szląsk, będzie potrzebował Francyi; Francya widzi niemniéj, że jéj, w jéj antagonizmie z Cesarstwem niemieckiém, może być wielce przydatnym elektor. Wywiązuje się ztąd między nimi stosunek przypieczętowany kategorycznym, obowiązującym obie strony traktatem, mocą którego Francya darzy elektora klejnotami i stałą roczną pensyą; mocą którego elektor przyrzeka popiérać interes francuski w Niemczech i starać się w razie opróżnienia tronu Cesarskiego o przeprowadzenie kandydatury Ludwika XIV lub Delfina.... Podobny akt rzuca wymowne światło na charakter polityki brandenburgskiéj, cechuje ją jako wy-

raźnie dynastyczną i separatystyczną tylko, kiedy dzisiejsza historyografia niemiecka radaby ją już wówczas robić patryotycznie i ofiarno-niemiecką. Ztąd to pewna powściągliwość i ostrożność z jéj strony w traktowaniu tego wielce drażliwego przedmiotu,

Posłuchajmy jak się z nim Ranke obchodzi. „W obawie", mówi, „aby pośród nieprzyjaznych sobie sąsiadów wszelkiéj powagi nie stracić, zdjęty niechęcią przeciw nim i pełen nienawiści do Cesarza, wstąpił w bliższe jeszcze stosunki z dotychczasowym przeciwnikiem. Związek takowy został zawarty w Październiku r. 1679, lecz pozostał aż do naszych dni okryty najgłębszą tajemnicą. Skoro się stała ona wiadomą, nie omieszkała wywrzéć największego podziwu; wielki elektor bowiem posunął się tamże tak daleko, iż przyrzekł królowi francuskiemu lub delfinowi współudział swój w celu uzyskania cesarskiéj godności w Niemczech. Gdyby to nie było rzeczą wykonalną, miano się zgodzić na innego księcia, dla którego cesarska korona mogłaby być pozyskaną. Czyż to nie było w krzyczącéj sprzeczności z tém, co dotychczas ciągle zapewniał a z żywą wypowiadał energią? Tak daleko przecież zaprowadziło go jedne i drugie, i jego niechęć i polityka chwilowa. Rzecz ma się następnie. Meinders (reprezentant brandenburgski), który po zawarciu pokoju pozostał w Paryżu, z poleceniem ułożenia traktatu z królem Ludwikiem XIV, prowadził owe układy przez niejaki czas, nie będąc pewnym rezultatu. Pod koniec Października nareszcie wyprawił doń Pomponne pierwszego urzędnika ministerstwa spraw zewnętrznych, by mu oznajmić, że króla nagabują *zewsząd* propozycyami przymierza, które mu jednakże nie przypadają do smaku. Najchętniéj, mówił, wszedłby w porozumienie z elektorem brandenburgskim, skoroby tylko tenże zgodził się na zaprojektowane sobie warunki. Meinders wymienia pomiędzy współubiegającymi się o ściślejsze porozumienie prócz Stanów Generalnych, Celle, Szwecyą, Saksonią, którzy wszyscy naówczas uchodzili za przeciwników elektora. W ich związku z Francyą upatrywał Meinders ruinę swego monarchy. Francuscy pełnomocnicy zapewniali mu, że ich królowi zależy tylko na utrzymaniu pokoju, w celu korzystania z jego owoców. Jeśli się z nim elektor w równym zamiarze porozumić, natenczas można być przekonanym, że nikt nie ośmieli się zakłócić spokoju publicznego. Król zobowiązuje się nadto wspiérać elektora całą swoją potęgą, gdyby mu jaka bądź groziła zaczepka. W ówczesném położeniu rzeczy miało podobne przyrzeczenie najwyższą wartość dla elektora, zwłaszcza, że Francuzi po niejakich korowodach zgodzili się na płacenie mu subsydyów pieniężnych, jakkolwiek takowe z początku nie miały być zbyt hojne. Meinders zwrócił jego uwagę, iż przyrzeczenia te

dla jego państwa i interesu są nader korzystne; że zaś elektor w obec tego, niczego więcéj przyrzec nie może, jak współudział podczas przejść téj elekcyi Cesarza niemieckiego. Ponieważ przyrzeczenie podobne odnosiło się do przypadku, który się mógł wydarzyć w dalekiéj tylko przyszłości, gdyż Cesarz Leopold, który królowi miejsca miał ustąpić, był młodszym od niego, nie cenił Meinders owego przyrzeczenia zbyt wysoko. Powiada wyraźnie, iż jest wątpliwéj natury, podległe zmianom a zależne od przyszłych okoliczności. Możnaby się prawie dziwić, że Francuzi w obec wyraźnéj wątpliwości danego im przyrzeczenia tak wielką mu przypisywali wartość, iż poświęcili dlań inne, niewątpliwéj użyteczności związki. Przyrzeczenie elektora miało jednakże inną jeszcze, powiedzielibyśmy, negatywną stronę. Jądro jego zobowiązania zależało na tém, iż postanowił opiérać się wyborowi młodego arcyksięcia, starszego syna cesarza Leopolda, na króla Rzymskiego; przyrzekał nie dopuszczać, aby w celu przygotowania podobnego aktu, przyszedł do skutku, jak tego trzeba było, tymczasowy kongres elektorów, cokolwiek bądź zaś przyrzekał opiérać się podjęciu narady w celu wyboru na tron dziecka. Gdyby mimo to do skutku przyszła, miały dopiéro wejść w życie wyżéj wspomniane przyrzeczenia na rzecz króla francuskiego lub pożądanego mu kandydata. Rzeczą główną i bezpośrednią jest tu opór przeciw ponowieniu nadania najwyższéj w Rzeszy władzy księciu z domu austryackiego. Na to godzą się w téj chwili interesa Francyi i Brandenburgii".

Otóż to zemsta elektorska przeciw domowi austryackiemu za powstrzymanie powodzeń brandenburgskich, za odmówiony Szląsk, za nałożony obowiązek zwrotu dokonanych na Szwecyi zdobyczy: Szczecina, Anklamu, Stralsundu i Rugii. W podobnéj polityce można się dopatrzéć i domyślić wszystkiego, byle tylko nie patryotyzmu *niemieckiego*, jakim dzisiejsza niemiecka historyografia elektora najuparciéj obdarza. Zresztą, co ważna i ciekawa, nie przeszkadza bynajmniéj elektorowi podobny, wywołany niechęcią do domu austryackiego traktat z Francyą, do niewiele późniejszego poszukiwania zgody i porozumienia z tymże samym domem austryackim. Gniewa się wprawdzie wielki elektor na politykę austryacką o Szląsk, ale już w r. 1686 przychodzi do skutku traktat, na mocy którego elektor w zamian zyskanego od Austryi okręgu Swiebodzińskiego, zrzeka się swéj pretensyi szląskiéj. Koniec jego panowania charakteryzuje w ogóle zręczne i umiejętne, łączące się zawsze z dotykalnym zyskiem wahanie między wpływem francuskim i austryackim; na wewnątrz, w obrębie rodzinnego, domowego życia, nieustający zatarg

z następcą tronu, późniejszym królem Fryderykiem I. Umiéra wielki elektor d. 30 Kwietnia 1688 r.

Ranke charakteryzuje go pod koniec swego opowiadania w sposób następny. „Bardzo wygodnemi i ulubionemi nie były jego rządy. Ogólną była skarga, że poddanych przeciąża za nadto i to coraz więcéj, im starszy. Cierpiano wiele wskutek jego gniewliwości, która nie pozostała bez wpływu na bieg spraw publicznych. Jeśli w ogóle wielkiemi sprawami rzadko tylko bez namiętności ludzie kierują, było téż nie inaczéj i u niego. W całym składzie rzeczy jednakże leżała naprawa chwilowych jego uniesień. Doświadczano wprawdzie, iż po pierwszéj lepszéj doznanéj krzywdzie wpadał w płomienny zapał, aby się zemścić, dnia następnego już jednakże występował z projektami pacyfikacyi, które bardzo dobrze obmyślane były a od strony przeciwnéj przyjętemi być mogły. Całe jego panowanie było pełne fermentu i zmiany postanowień. Kto przeszłego roku był zagrożony wojną i zgubą, odbiérał obecnego wśród zmienionych okoliczności propozycye najściślejszego przymierza. Każdy nowy obrót rzeczy wywoływał nowe pomysły. Osobiste usposobienie ulegało ostatecznie zawsze ogólnym względom". — W sposób eufemiczniejszy nie podobna rozprawić się z ową akrobatyką polityczną, któréj teoretyczną receptę znaleść tylko można w pesymistycznych, niezrozumianych w swéj intencyi pomysłach Machiawella.

Następcą wielkiego elektora jest ułomny na ciele, poziomy na umyśle syn jego Fryderyk III, twórca królewskości pruskiéj. Przyznając mu zasługę pozyskania władcom Brandenburgii czczego i próżnego tytułu, którego posiadanie wyzywało na przyszłość czynność ich i energią, — nie była dotychczasowa historyografia prusko-niemiecka zbyt łaskawą dla pamięci pierwszego króla pruskiego. Przypisywała mu próżność i grzeszne marnotrawstwo na wewnątrz, niedołężność wojenną i polityczną na zewnątrz. Ranke jest dlań sprawiedliwszym, czy lepiéj powiedziawszy, sympatyczniéj usposobionym. Na zewnątrz, przyznaje wprawdzie, iż akcya jego pośród zawikłań dwóch wielkich wojen, sukcesyjno-hiszpańskiéj i północnéj, wojen, które przedstawiały Prusom kilkakrotnie widoki powiększenia swego obszaru i rektyfikacyi granic, nie była ani szczególnie zręczną, ani śmiałą. Winę podobnego pojawu przypisuje autor nieudolności kierowników polityki elektorskiéj Dankelmanna i Kolbe von Wartenberga, przeciw którym zabiegłość i techniczna rutyna kolegi ich Ilgena nic zdziałać nie była w stanie. Za to przyznaje autor synowi wielkiego elektora *jeden* polityczny przymiot, którego ojciec nie posiadał, wierność i wytrwałość w podjętych na zewnątrz zobowiązaniach. Ojciec wahał się ustawicznie, według potrzeby i okoli-

czności między Francyą a Austryą, syn, być może, iż w spekulacyi na koronę królewską, trzyma się ciągle i wiernie cesarskiéj strony, trwa w niezachwianém przymierzu z Rzeszą, Holandyą i Anglią przeciw Ludwikowi XIV. Autor nie zaprzecza, że *terrytoryalnie* podobna polityka nie przyniosła Prusom żadnych zysków, ale za to kładzie przycisk na *wewnętrzną* działalność pierwszego króla pruskiego, który, jeżeli na zewnątrz nie zdolny sprostać swemu pierwowzorowi Ludwikowi XIV, na wewnątrz, stosownie do środków i widowni, nie bez powodzenia naśladować go usiłuje.

Elektor Fryderyk III, późniejszy król Fryderyk I opiekuje się zabiegle wraz z małżonką Zofią Karoliną sztukami, naukami, budownictwem. Spenner, Leibnitz, Wolff, Thomasius, znany i z naszych dziejów ojciec Vota, znajdują na elektorskim dworze jak najlepsze przyjęcie. Berlin upiększa się pod troskliwą ręką pierwszego króla pruskiego, powstają *Lipy*, powstaje tak zwana *Dorotheenstadt*, osobna część stolicy. Wznosi się zamek w Charlottenburgu, zwanym dotychczas Lützelburgiem, około zamku zakłada nowy król pruski według planu nakreślonego ręką Le Nôtra wspaniały ogród. Również i administracya wewnętrzna Fryderyka I nie znajduje w Rankem podobnego innym historykom téjże epoki krytyka. Oddaje wielkie pochwały jego opiece nad emigrantami religijnymi z Francyi, przypomina, że *jemu* zawdzięczają Prusy pierwsze początki instytucyi, która pod nazwą *landwery* stała się późniéj tyle rozgłośną i groźną w historyi pruskiéj.

Że tak względny sąd dla pierwszego króla pruskiego przeniesie się w wyższym jeszcze stopniu uznania na syna jego, na ową ponurą postać Fryderyka Wilhelma I, ojca Fryderyka II, jest rzeczą bardzo naturalną. Cokolwiek bądź, ciekawy to psychologiczno-polityczny pojaw. Mimo pozorów szczeréj rubaszności, mimo oryginalnéj manii polowania na tak zwanych „*długich ludzi*“ do swéj poczdamskiéj gwardyi olbrzymów,—nie jest przecież Fryderyk Wilhelm I bez bardzo znacznéj dozy zdolności dysymulacyjnéj. Wstąpiwszy na tron w 1713 r., zawikłany krótko potém w wojnę przeciw Karolowi XII, z któréj prócz pozostawionego Szwecyi skrawka Pomorza i wyspy Rugii, Szczecin i całą resztę Pomorza zyskuje, — jest Fryderyk Wilhelm I niby to ciągle najwierniejszym sprzymierzeńcem Austryi, osobistym nawet zwolennikiem interesu domu cesarskiego; co wszakże nie przeszkadza,' że, ile razy tego własny interes wymaga, poszukuje zabiegle przymierzy i stosunków, zdolnych go wprowadzić w mniéj lub więcéj wyraźny zatarg z domem austryackim. W podobny sposób, w jaki swego czasu polityka wielkiego elektora wahała się między Francyą a Austryą, tak znów teraz waha się poli-

tyka drugiego króla pruskiego między Austryą a Hannowerem czyli Anglią i Rosyą. Król Fryderyk Wilhelm I zawiéra późniéj z domem austryackim za pośrednictwem Seckendorfa traktaty przyjaźni i przymierza, uznaje ustanowioną przez Cesarza Karola VI tak zwaną *sankcyą pragmatyczną*, kładąc tylko z pewną butą patriotyczno-niemiecką warunek, aby „arcyksiężniczka Marya Teressa nie brała za męża ani Francuza, ani Hiszpana“. Mimo to jednakże, ileż to historya panowania Fryderyka Wilhelma I wskazuje wypadków szwankowania owéj przyjaźni z wyraźną domu austryackiego szkodą!

W 1718 r. trzeba tylko intrygi bardzo niezręcznéj, a bardzo przezroczystéj awanturnika Klementa, aby króla pruskiego doprowadzić do srogich gniewów i do marsowych niemal intencyi przeciw cesarzowi Karolowi VI i księciu Eugeniuszowi Sabaudzkiemu. W rok późniéj, 1719, przychodzi do skutku traktat w Wiedniu między Austryą, Anglią, Hannowerem i elektorem saskim z zawarowaniem akcesu Rzeczypospolitéj Polskiéj, — ku wyemancypowaniu Augusta II i Polski z pod coraz groźniejszéj przewagi Cara Piotra. W obec podobnéj konstellacyi występuje bezzwłocznie, jako najzabieglejszy przeciwnik Austryi, jako najściślejszy alliant Piotra, Fryderyk Wilhelm, i gotuje się wyraźnie do wojny przeciw Cesarzowi, któremu w oczy objawia najwierniejszą niby to dewocyą. Owa zaś zakulisowa, prawdziwa a niefarbowana niczém akcya wrogiéj domowi austryackiemu polityki, przeplata się ciągle a równocześnie objawami wiernopoddaństwa dla téjże saméj Austryi!

Niezgorszéj tego próbki dostarcza fakt przyjścia na świat Fryderyka II, późniejszego wroga i pogromcy Austryi. Przy téj sposobności zapoznamy się téż z oficyalno-uroczystym stylem, którym historyograf pruski w tak uroczystym przypadku posłużyć się, uważa za rzecz konieczną. „Król Fryderyk I“, mówi autor, „bolał niezmiernie nad tém, że pruska korona w jego rodzie nie jest jeszcze zabezpieczona urodzeniem wnuka; gdy mu takowy przyszedł na świat pod d. 24 Stycznia 1712 r., chłopiec wprawdzie delikatnego i wielce chwiejącego się zdrowia, ale, jak zaraz zauważono, trwałéj żywotności. *Świat przyjął go w sensie dawnych czasów* a istniejących współcześnie zarazem stosunków. Domownicy zapamiętali, jak nabywca korony Fryderyk I, który w urodzeniu księcia znalazł wysłuchanie swych modłów, wśród bicia dzwonów, które wypadek ten miastu oznajmiły, ręce swoje nad nowo-narodzonym rozszerzył, życie jego a wraz z niém przyszłość swego kraju ponownie Bogu polecił, a zagłębiając swego ducha w wieczyste przeznaczenia, nie powstał, dopóki nie sądził, iż jego modlitwa jest wysłuchaną. Tak to dziękowano Bogu w kościołach, że po tylu smutnych wypadkach,

dom i państwo swego pomazańca Króla, na nowo utwierdził i w obec całego świata umocnił."—Tak daleko dewocya autora w biblijno-apokaliptycznym nieco stylu dla nowego „*pomazańca*" z rodu Hohenzollernów.

Posłuchajmy teraz, jak bez zająknienia a bez żadnego rzutu oka „na przeznaczenia" wieczystéj, czy to Fryderykowéj czy Bismarkowéj przyszłości, opowiada, do czego Fryderyk Wilhelm użył faktu przyjścia na świat syna, w swéj polityce w obec domu austryackiego. „Najzupełniéj," mówi, „w duchu wielkiego przymierza, które od ćwierć wieku kierowało polityką i losami kraju, zaproszono Stany Generalne i Cesarza Karola VI na świadków obrządku chrzestnego... Cesarz przyjmując rolę chrzestnego ojca, przy któréj to sposobności życzono mu szczęścia przeciw jego nieprzyjaciołom w radzie i czynie, — wypowiadał nadzieję, że dobry stosunek, jaki istniał niezachwianie między nim a królewsko-pruskim domem, *aż do końca świata istniéć będzie*. W tym to sensie dodano przy chrzcie do imienia hohenzollernskiego habsburgsko-burgundzkie. Nazwano księcia *Karolem* Fryderykiem, jakkolwiek postanowiono zwykle go tylko Fryderykiem nazywać. Młody książę, dodaje autor, został uroczyście namaszczony na czciciela aliansu, który właśnie miał zerwać. Tradycya lubi zbiérać przy kolébce bohaterów znaki poprzedzające ich przeznaczenie; historya stwierdza raczéj może doświadczenia przeciwne". — Otóż to czyn submisyi względem Austryi, jakim ojciec Fryderyka II zainaugurował przyjście na świat syna....

Zresztą nie dostarcza polityka zewnętrzna Fryderyka Wilhelma I zbyt obfitego odtąd do zastanowień materyału. Coby tylko może w niéj uderzać mogło, to sprzeczność zachodząca pomiędzy wyraźną opieką nad Stanisławem Leszczyńskim, kandydatem Francyi do tronu polskiego, po jego ucieczce z Gdańska do Królewca, a udziałem Prus w wojnie przeciw tejże saméj Francyi nad Renem. Aż do zgonu Fryderyka Wilhelma I w 1740 r. nie zmienia owa polityka, przyjazna Austryi w oczy, nurtująca przeciw niéj skrycie, swego dotychczasowego charakteru.... Co natomiast w dziejach owych zasługuje na uwagę, nie jako faktyczny przyczynek do ich ocenienia, ale raczéj jako materyał i charakterystyczna skazówka sposobu zapatrywania się na rzeczy samego *autora* to *dwie* strony panowania i działalności dziwacznéj i ponuréj osobistości Fryderyka Wilhelma I, jego *rządy wewnętrzne* i jego *postępowanie z synem*. Pod tym względem nastąpiła radykalna zmiana w zapatrywaniu się oficyalnéj i patentowanéj do użytku publicznego historyografii pruskiéj. Niedawno temu jeszcze, we wszystkich elementarnych i szkolnych książkach charakteryzowano i charakteryzować było *wolno* ojca Fryde-

ryka II, jako człowieka gwałtownego i despotycznych usposobień, jako ciemiężcę i tyrana względem syna, — w wyrazach naturalnie i formie, nie przekraczających zakresu należnéj dobrym i posłusznym podannym dewocyi. Prawda historyczna nie mogłaby podobnemu traktowaniu rzeczy zadać w żaden sposób kłamu. Liczne rozporządzenia piśmienne i osobiste czyny gwałtowności, proces Keitha i Katta, *Pamiętniki margrabiny Baireuthskiéj*, siostry Fryderyka II, wszystko to składa się na monumentalną całość, orzekającą niezatartą prawdę o charakterze i sposobie myślenia Fryderyka Wilhelma I. Jednym z charakterystycznych symptomów *obecnéj* historyografii prusko-niemieckiéj pozostanie, iż cokolwiek bądź i jakim bądź kosztem usiłuje ona w dwóch powyżéj wskazanych kierunkach rehabilitować pamięć Fryderykowego ojca. Droysen i Ranke, rywalizując z sobą po cichu, podają sobie przecięż zgodnie ręce w owém bieleniu pamięci Fryderyka Wilhelma I. Droysen napisał osobną rozprawę, dowodzącą niewiarogodności pamiętników margrabiny Baireuthskiéj; Ranke dowodzi tegoż samego, a obaj rozwodzą się w niewyczerpane pochwały nad ową administracyą, która mogła być twardą i bezwzględną, któréj *perpetuum mobile* bywał wprawdzie często i kij kapralski, a codziennym środkiem przymus fiskalny i deptanie godności ludzkiéj, — ale która, według nich, błyszczy dowodami zdrowego rozsądku króla i troskliwości jego około dobra *całości* państwa.

Podobne mniéj więcéj, jest rozumowanie obu historyków pruskich i w słynnéj sprawie procesu Fryderyka II. Cóż, należałoby zapytać, było istotną winą ośmnastoletniego naówczas księcia? Otóż, że bity po twarzy w obec służby dworskiéj przez ojca, że częstowany kijem, postanowił skorzystać z wycieczki w Badeńskie i czmychnąć z przyjaciołmi Keithem i Kattem za granicę. Zamiar ten pozostał zamiarem, doczekał się zaledwie początków wykonania. Cóż tymczasem wywołał? Straszliwe traktowanie młodego Fryderyka, uwięzienie go na dwa lata blisko w twierdzy Kistrzyńskiéj, egzekucyą wreszcie *w obecności księcia* nieszczęsnego porucznika Kattego, którego całą winą był zbytek przyjaźni dla królewskiego syna. Podobne doświadczenia łamią dusze i charaktery, nadają im osobny kierunek, wywołują, jak się to w życiu i przyszłéj działalności Fryderyka stało, fałsz, dysymulacyą, w razie potrzeby udawaną pokorę. Pod wpływem podobnych wrażeń i usposobień żeni się nieco późniéj Fryderyk na komendę ojca z księżniczką Brunświcką, którą przez całe życie nienawidzi. Prosta logika sumienia i moralności wie co powiedzieć i jak oceniać podobne postępowanie człowieka monarchy, nadewszystko zaś ojca względem syna. U Rankego

i Droysena jednakże bussolą regulującą wątpliwości ich sądu i sumienia jest przedewszystkiém *subordynacya i racya stanu*, a dzięki podobnym moralno-politycznym czynnikom, król Fryderyk Wilhelm I, wychodzi po niejakich korowodach i sromaniach zwycięzcą z tego procesu, wytoczonego jego dziejowéj pamięci, *mimo* praktykowanych względem swego następcy kijów, i *mimo* głowy Kattego zrzuconéj w obliczu syna przed kratami jego więzienia. Późniejsza zgoda między ojcem a synem, przepełnia niekłamaną radością wiernopoddańcze serca historyków pruskich, jak gdyby *zgoda* szczera i prawdziwa po *takim* wypadku mogła istotnie nastąpić, jak gdyby podobnie krwawa pamiątka nie roztwiérała wiecznéj przepaści między skrzywdzonym a krzywdzącym, choćby nawet jeden był ojcem a drugi synem! (c. d. n).

K. Jarochowski.

PRZEWALSKIEGO

PODRÓŻ PO MONGOLII

I PÓŁNOCNYM TYBECIE.

N. v. Przewalski: Reisen in der Mongolei, im Gebiet der Tanguten und den Wüsten Nordtibets in den Jahren 1870 bis 1873. Deutsch von Albin Kohn. Jena, Costenoble, 1877.

Przyzwyczailiśmy się tylko naokoło obudwóch biegunów i w Afryce centralnéj szukać krajów nieznanych. Rzeczywiście, na naszych mapach tylko w tych miejscach świécą białe plamy, na których nie ma oznaczonych ani lądów, ani mórz, ani rzek, ani gór, ani mieszkających tam ludów. A przecięż, gdyby kartografowie byli sumienniejsi i nie kreślili tak śmiało wężyków rzecznych i wyniesień górskich, opiérając się na lichéj wiadomości, na pogłosce z mętnego źródła zaczerpniętéj, albo nareszcie na swéj bujnéj wyobraźni, to liczba owych białych plam na mapach bardzoby znacznie urosła. Ogromne przestrzenie w środkowéj i południowéj Ameryce są prawie wcale nieznane, nieinaczéj jest z centralno-azyatycką wyżyną, gdzie na tysiącach mil kwadratowych, na niebotycznych pasmach gór, nie postała nigdy stopa naukowego podróżnika.

Kto zbadał kiedy górny bieg rzeki Menam, albo Irawaddi, albo Jantsekiangu? A przecięż oznaczone one dokładnie na mapach. Jeszcze na kartach dzisiaj wydawanych, znajdziemy nierzadko na wschód wyżyny Pamir, stworzone przez Humboldta merydyonalne pasmo Bolor-dagh, które nie istnieje, jak pokazały badania Siewiercowa i Fedszenki. Podróż braci Schlagintweit przez Tybet zmieniła

zupełnie nasze wyobrażenia o górach Kuen-Luen i ich stosunku do Himalajów. Każda nowa naukowa podróż ruguje stare przesądy.

Przed dziesięciu laty była jeszcze i Mongolia taką terra incognita, pomimo że przez jéj środek ciągnie się główny trakt karawanowy z Pekinu do Kiachty, pomimo że z najrozmaitszych powodów powinna była ta ziemia zwrócić na siebie uwagę badaczów przyrody i historyi. Ogromna ta wyżyna, dorównywająca rozległością Rossyi europejskiéj, rozdziela olbrzymim wałem zimną i lesistą Syberyą od ciepłéj i żyznéj niziny nad Hoang-ho i Jantsekiangiem. Latem zostaje powietrze na tych wyniosłych wyżynach najmocniéj rozrzedzone, tu powstaje najsilniejszy courant ascendant, barometr spada najniżéj, a w skutek tego ze wszystkich kierunków kompasu wieją wiatry ku Mongolii. Zimą dzieje się przeciwnie. Nad oziębionemi równinami unosi się ciężkie zimne powietrze i odpływa na wschód i zachód i na południe. Ta rytmiczna zmiana wysokiego albo słabego ciśnienia powietrza nad Mongolią wytwarza owe regularne wiatry, w Indyach i Chinach wiejące, które zowiémy Mousunami, a które regulują rolnictwo i żeglugę tych okolic. Mongolia stanowi zatém niejako oś ruchu atmosferycznego nad Azyą.

I w dziejach ludzkości niemałą rolę odegrał ten kraj. Z téj wyżyny wypadły na świat owe konne hordy, które raz obaliły cały porządek starożytnego świata i germańskie plemiona popchnęły na Rzym i Byzancyum, a drugim razem dotarły aż nad Odrę i nietylko całą Azyą, ale i wschodnią Europę poddały pletni mongolskiéj.

Właśnie to powtórne wzniesienie się potęgi mongolskiéj spowodowało piérwszą podróż europejską w te okolice. Na wieść, że Baskah, wnuk Dżengiskhana, utworzył wielkie państwo nad Wołgą, wybrali się w r. 1254 dwaj szlachetni Wenecyanie: Nicolao i Matteo Polo, z Konstantynopola, gdzie przebywali w interesach handlowych, na dwór jego. Zostali jak najlepiéj przyjęci, spekulacye się powiodły, ale, gdy chcieli powrócić, znaleźli najbliższą drogę Donem zapartą przez wojnę pomiędzy hanem Baskah a jego krewnym Hulagu. Puścili się tedy naokoło Kaspi i Aralu i dotarli do Bokhary, gdzie pozostali trzy lata, a nauczywszy się po tatarsku wybrali się do Kublaja, hana nad hanami, który rezydował w Pekinie. I tu przyjęto ich z wielkiemi zaszczytami, a powracającym polecił Kublai misyą do Papieża. W r. 1269 stanęli z powrotem w Wenecyi, ale już we dwa lata późniéj znajdujemy ich na nowo w drodze do Pekinu, tym razem w towarzystwie młodego syna Nicola, imieniem Marko Polo. Przez Azyą mniejszą, Armenią, daléj wzdłuż biegu rzeki Oxus przybyli do Badakszan, a ztamtąd przez Khotan i pustynią Gobi do Chin. Kublai był nadzwyczaj uradowany z ich powrotu, mianowicie młody

Marco pozyskał jego względy, został nawet wyniesiony do wysokich godności, bo został namiestnikiem prowincyi Kiangnan. W r. 1295 opuścili Chiny z ogromnemi skarbami, które Markowi zjednały w Wenecyi przydomek „Messer Marco di Millioni", i morzem naokoło Indyi i przez zatokę Perską powrócili do zachodniéj Azyi, a ztamtąd do Europy.

Dzieło Marka Polo, w którém opisał co widział i przeżył, jest nadzwyczajnie interesujące, chociaż, ponieważ spisane dopiero w roku 1298, w czasie niewoli genueńskiéj, i to z pamięci, jest zagmatwane i wymaga obszernéj erudycyi i wybornéj znajomości wschodniéj Azyi, aby mogło być dokładnie zrozumiane. O bystrości spostrzeżeń Marka i jego prawdomówności świadczą najlepiéj nowsze podróże po Chinach i Mongolii, które potwierdzają wszystkie opowiadania znakomitego Wenecyanina.

Od czasu Marka Polo przeszło pół tysiąca lat ubiegło, zanim wykształcony Europejczyk zawędrował w te okolice. W latach od 1844—46 podróżował po Tybecie, Mongolii i Chinach misyonarz francuzki Huc, ale jego opis podróży, wydany w Paryżu r. 1853 (Souvenirs d'un voyage dans la Tartarie, le Thibet et la Chine pendant les années 1844, 45 et 46) jest tak pełen niedokładności, fantastycznych opowiadań i poprostu fałszów, że może tylko zbałamucić ale nie pouczyć czytelnika.

Tak, prócz dobrego, ale niejasnego często dzieła Marka Polo nie było źródła, z któregoby można było poinformować się o Mongolii, aż dopiéro w ostatnim lat dziesiątku cały szereg podróżników przebył Mongolią w rozmaitych kierunkach i pozostawił nam opisy natury i ludzi. Utworzenie rosyjskiego konsulatu w Urdze, stolicy Mongolii, w r. 1861 dało hasło do tych podróży. Z Urgi podróżował w r. 1863 Helmensen do jeziora Kossogol; z tegoż miasta konsul Sziszmarew w r. 1864 do źródeł rzeki Onon, a potém w r. 1868 do Uliassutai w zachodniéj Mongolii, w którém to mieście przed nim nie postał jeszcze Europejczyk. Ponieważ prosta droga z Urgi do Uliassutai była niedogodna z powodu znacznéj ilości gór i rzek, udał się Sziszmarew traktem pekińskim na południe aż do Sair-ussu, a ztamtąd na północo-zachód do Uliassutai. Zamyślał on ztąd dotrzéć do Minusińska i utorować tak drogę handlową do porzecza Jenisseju, ale, gdy stosunki mu tego uczynić nie dozwoliły, zostali wysłani w r. 1870 konsul Pawlinow i porucznik Matuszowski, dla zbadania o ile byłby korzystnym dla Syberyi handel z zachodnią Mongolią, i dla zdjęcia topograficznego tego kraju. Wyruszywszy z Tomska, stanęli podróżni przez Kobdo w Uliassutai, zkąd Matuszowski się udał do Minusińska. Całą tę drogę zdjął on topograficznie, wiele

miejsc, na mapie Klaprotha pod fałszywą szerokością i długością umieszczonych, zostało dokładnie oznaczonych, zakonstatowano, że Kirgiz-nor jest zbiorowiskiem wszystkich wód zachodniéj Mongolii, że góry Tangun-ola są niższe od sajańskich, i że nie istnieje związek hydrograficzny pomiędzy jeziorem Kizil-basz a czarnym Irtyszem.

Wspomniane podróże poruszały się tylko na krańcach Mongolii, ale niebawem Fritsche i Ney Elias przebyli cały kraj i pustynię Gobi w rozmaitych stronach od końca do końca. Fritsche, astronom w Pekinie, przebył Mongolią w czasie swych częstych podróży z Pekinu do Rossyi w latach 1868, 72 i 74 w rozmaitych kierunkach, ale zawsze w jéj części wschodniéj, i za każdą razą oznaczył dokładnie astronomicznie wszystkie miejsca, które zwiedził. Ney Elias puścił się w r. 1872 z Pekinu przez Kałgan drogą karawanową do Kukuchoto, przebył pustynię Gobi i przez Uliassutai, Kobdo, wąwóz Suok i doliną Czuji stanął 4 Stycznia 1873 w Bijsku, w gubernii tomskiéj. Prawie jednocześnie podróżował lekarz poselstwa angielskiego w Pekinie p. Bushel, razem z swoim ziomkiem Grosvenorem, po wschodniéj Mongolii. Zrobili oni z Pekinu wycieczkę do Dolonnor i ruin dawnéj stolicy Mongolii Szang-tu. Rozległe ruiny, złomy kolumn marmurowych świadczyły jeszcze o wspaniałości miasta, które z takim zachwytem opisywał Marko-Polo.

Najnowszą podróżą w tych stronach była podróż pułkownika Sosnowskiego w latach 1874 i 1875. Pospołu z przyrodnikiem Piaseckim, wspomnianym już porucznikiem Matuszowskim i fotografem Bojarskim, który zarazem służył za tłómacza, został Sosnowski wysłany w celach handlowych i politycznych. Miał on zbadać siły, i cele powstania Dunganów, a jednocześnie poznać środki, jakiemi dałoby się handel herbatą skierować na drogę karawanową od dolnego Jantsekiangu do rosyjskiéj Dżungaryi. Wyprawa wywiązała się świetnie ze swego zadania. Z Kiachty przez Mongolią i Pekin stanęli podróżni 9 Listopada 1874 w Hanken nad Jantsekiangiem. Ztamtąd wyruszyli na północo-zachód do Hanczufu i w Czerwcu przybyli do Lan-czen w prowincyi Kansa, zkąd wysłał Sosnowski najprzód z raportem kozaka Pawłowa. Kozak ten sam jeden przebył całe Chiny i Mongolią i po 50-dniowéj podróży przez Khamil, Barkal i Huczen stanął w Siemipałatyńsku. Niebawem przybył tam i pułkownik Sosnowski z towarzyszami.

Wszystkie te wyprawy zbogaciły bezwątpienia nasze o Mongolii wiadomości, ale żadna nie była wyłącznie w naukowych celach podjęta, żadna téż nie przyniosła w rezultacie nauce tak obfitego plonu, jak trzyletnia podróż pułkownika Przewalskiego, któréj opis został przed niedawnym czasem wydany i natychmiast przetło-

maczony na język angielski i niemiecki. Przewalski pochodzi z polskiéj szlacheckiéj rodziny osiadłéj w gubernii smoleńskiéj; kształcił się początkowo w gimnazyum smoleńskiém, a późniéj w akademii wojskowéj petersburgskiéj. Wstąpiwszy do wojska, został na własne życzenie odkomenderowany do wschodniéj Syberyi i z Irkucka podróżował w latach 1867—69 nad Amurem i Ussuri, którą podróż opisał w dziele, ogłoszoném w Petersburgu w r. 1870 (Putieszestwije w ussurijskom kraje). To dzieło zwróciło na niego uwagę, i za inicyatywą towarzystwa geograficznego w Petersburgu, został wysłany w r. 1870 do prowincyj chińskich, zewnątrz wielkiego muru leżących. Porucznik Pylcow i dwaj kozacy byli jego towarzyszami. Trzy całe lata trwała wyprawa, i prawdziwych cudów wytrwałości dokonała ta mała garstka, która wśród najtrudniejszych okoliczności, połączonych z podróżą po pustyniach azyatyckich, wpośród niechętnéj albo wprost nieprzyjaznéj ludności, przebyła Mongolią od wschodu na zachód i dotarła w głąb Tybetu, w pobliże Lassy.

Niemniéj, jak 11.000 kilometrów zrobili podrożni w tym czasie, z których połowa została nakréśloną kartograficznie, oznaczyli północną szerokość 18 miejsc znaczniejszych, robili cztéry razy dziennie spostrzeżenia meteorologiczne, badali temperaturę wody i ziemi, mierzyli zawartość wilgoci w powietrzu i wyniosłość wyżyn nad poziom morza. Przynieśli z sobą 238 gatunków ptaków w 1.000-u prawie egzemplarzy, 130 większych i mniejszych skór zwierzęcych, 11 gatunków ryb, 3.000 owadów, 5—600 gatunków roślin w 4,000 egzemplarzy, próby skał i minerałów. Ten olbrzymi materyał naukowy opracowują obecnie prof. uniwersytetu petersburgskiego Innostrancew, Kessler, Morawic, Siewiercow, Taczanowski i członkowie akademii: Maksymowicz i Strauch. Prace tych panów będą stanowić drugą i trzecią część dzieła, którego część pierwsza, napisana przez samego Przewalskiego, daje nam fizyczno-geograficzny i etnograficzny opis Mongolii.

Na tém większe uznanie zasługują wielkie rezultaty, osiągnięte przez pułkownika Przewalskiego, ile że środki, jakiemi rozporządzał, były bardzo szczupłe. Sam Przewalski rozporządzał w pierwszym roku tylko 2.500, w drugim i trzecim 3.500 rubli; jego towarzysz Pylcow dostał w pierwszym roku 300, w drugim i trzecim po 600 rubli. Dla tego też mogli wziąść z sobą tylko dwóch kozaków, a w skutek tego przy objuczaniu wielbłądów i paszeniu ich, przy zbieraniu argalu na opał i innych podobnych zajęciach musieli sami pomagać i trwonić czas, który byliby mogli lepiéj zużyć na naukowe obserwacye.

I.

17 Listop. roku 1870 wyruszyli nasi podróżni dwukolnym mongolskim wózkiem, zaprzężonym wielbłądami, w drogę z Kiachty do Urgi. Kraj na téj przestrzeni, 900 kilometrów szerokiéj, jest zupełnie podobny do zabajkalskiego kraju. Góry niezbyt wysokie, o łagodnych miękkich kształtach, pokrywają lasy, zupełnie do sybirskich podobne, sybirskie zwierzęta zamieszkują te lasy, ziemia czarna, urodzajna leży odłogiem, tylko w odległości 150 kilometrów od Kiachty uprawiają Chińczycy kilkadziesiąt dziesiatyn. Wód wielka obfitość wszędzie, nic nie zapowiada blizkości pustyni. Powoli, nieznacznie wznosi się płaszczyzna coraz wyżéj, Charagol leży 900, Urga już 1.600 metrów nad poziomem morza. Z przybyciem do Urgi wstępujemy na północną krawędź wyżyny Gobi. Miasto to, po mongolsku Bogdo-Kuren, to znaczy: „święty obóz", liczy około 30.000 mieszkańców, pomiędzy którymi 10.000 lamów, co nie zadziwia nikogo, bo w Mongolii w ogóle trzecia część ludności nosi sukienkę duchowną. Jedynym znacznym budynkiem jest świątynia z pozłacaną kopułą i mieszkanie „Kutuchty" najwyższego kapłana, który zajmuje po Dalaj-Lamie w Lassie pierwsze miejsce w hierarchii mongolskiéj. Reszta mieszkań to lepianki gliniane, a po największéj części namioty z przegniłéj pilśni, otoczone częstokołem. Brud wszędzie niesłychany, trupy żebraków walają się po placach i ulicach, a chyba głodne psy je uprzątną.

Za Urgą zmienia się kraj. Tola jest ostatnią rzeką, na górze Chan-ulla zieleni się ostatni las. Rozpoczyna się pustynia Gobi, która się rozległa od gór Tian-szan aż do gór Chingan na granicy Manczuryi. Zachodnia jéj część od gór Tian-Szan aż do prowincyi Gansu jest prawie wcale nieznaną, wschodnia lepiéj, bo po téj podróżowali Timkowski, Kowalewski i Fritsche. Ta wschodnia część jest téż mniéj pusta, jak południowo-zachodnia, mianowicie w Ala-szan i okolicy Lopnor jest ona najstraszliwszą, zaspy piasku albo żwir czerwonawy pokrywają ziemię. W przecięciu wznosi się pustynia Gobi 1.265 metrów nad poziom morza, ale na drodze z Kiachty do Kałgan znajduje się około 100 kilometrów szeroka depresya, tylko 758, a podług Fritscha nawet tylko 632 metry nad poziom morza wzniesiona.

Przejście z urodzajnego kraju do pustyni stanowi, tuż za Urgą rozlegający się, 200 kilometrów szeroki step falisty, pokryty wyborną trawą i ożywiony niezliczonemi trzodami, należącemi do Mongołów z plemienia Kałka, których jurty stoją nad drogą. I pustynia

nie jest zupełnie płaską, lecz tak samo, jak step, wygięta w małe wzgórza i doliny, zupełnie jak preryc amerykańskie, czasami nawet wznoszą się pasma gór, kilkaset stóp wysokie. W dolinach i jarach pomiędzy niemi natrafiamy wyschłe łożyska rzek, które tylko w pewnych czasach, po ulewnych deszczach, napełniają się wodą, gdyż stale płynących wód nie znajdzie w pustyni. Grunt stanowi gruboziarnisty czerwonawy żwir i drobne kamyki, w których się czasami znajdują agaty. Raz po raz bieli się i zaspa piaszczysta, lecz we wschodniéj części pustyni jest piasek lotny rzadkiém zjawiskiem. Trawa licha nie zakrywa nigdzie gruntu, tylko tu i owdzie wyrastają całe kępy trawy lasiagrostis splendens, zwanéj przez Mongołów „dyrysu", która dosięga wysokości 4—5 stóp, a jest przytém twarda, jak drut. Czasami w wilgotniejszém miejscu i kwiatek się zjawi, albo „budurgan" (calidium gracile), ulubione pożywienie wielbłądów, czasem czosnek, ale nigdy krzew albo drzewa. Przyczyną bezdrzewności pustyni Gobi jest nietylko brak wilgoci, ale i nadzwyczajnie silne wiatry, które huczą po pustyni i wyrywają wszystko z korzeniem, nawet nizkie zioła, zwijają to wszystko w jeden wielki kłąb i taki roślinny walec toczą po równinie. Mieszkańców jest oczywiście niewiele w téj smutnéj krainie. Podróżny czuje się samotnym, jak na bezbrzeżnym oceanie. Pustynia i tém jest podobną do oceanu, że tu i tam ciągle jeden i ten sam widok nuży podróżnego. Tygodniami całemi patrzy wędrowiec zawsze na ten sam obraz: nieprzejrzane równiny, zimą połyskujące żółtawo od zwiędłéj przeszłorocznéj trawy, albo poszarpane grzbiety skaliste, albo szeregi pagórków, na których raz po raz pojawi się sylwetka szybkiéj antylopy. Poważnie kroczą ciężko obładowane wielbłądy, posuwają się coraz daléj, ale pustynia pozostaje zawsze ta sama, groźna i straszliwa. Słońce zniża się ku zachodowi, cienie nocy spadają na ziemię, na niebie bez chmur zapalają się miliony gwiazd i karawana zatrzymuje się na nocleg. Cieszą się wielbłądy, że się pozbyły ciężkiego pakunku i układają się w około namiotów popędzaczy, którzy gotują sobie skromną wieczerzę. Godzinę późniéj posnęli ludzie i zwierzęta i taka cisza zapanowała, jak gdyby w rzeczy saméj na całéj pustyni nie było żywéj istoty.

I zwierzęta nieliczne w pustyni. Tylko świszcz zamieszkuje ją w wielkich gromadach, jamy tych zwierzątek znajdują się zawsze niedaleko siebie, tak że niby miasto tworzy osada tych szczurowatych zwierząt. Po równinach buja antylopa „dseren", piękna, szybka i ostrożna, żyjąca w stadach, liczących 20 do 30 sztuk, a w powietrzu nuci skowronek mongolski, i wrona naprzykrzona kracze

nad karawaną, siada na garbach wielbłądów i wydziobuje w nich głębokie rany.

Po przebyciu pustyni weszli podróżni znowu na 200 kilometrów szeroki pas stepowy, odpowiadający zupełnie północnemu, a zamieszkały przez Mongołów plemienia Cachar. Razem ze stepem zaczynają się rzeczki, stawy, raz po raz i osady chińskie, nareszcie pasmo gór, które stanowi południową krawędź wyżyny mongolskiéj. Góry te tylko od chińskiéj strony wyglądają na góry, ponieważ od północy wciąż podróżny tylko zstępuje na dół, z wyżyny w dolinę. To też na granicy stepu cudowne panorama roztacza się u stóp wędrowca. W oddali, kilkaset metrów poniżéj widzi podróżny prawdziwy labirynt gór i dolin, przepasanych rzekami, jak wstęgami modréj barwy. Kontrast tego, co leży po za nim, a co przed nim, jest niezmierny. Tak samo i klimat pokazuje odskok gwałtowny. W pustyni dochodziło zimno nierzadko do —37°C, mianowicie, gdy wiatr dął z północo zachodu; z chwilą zstąpienia w dolinę robiło się coraz ciepléj a w Kałgan, mieście, u stóp wyżyny mongolskiéj leżącém, panowała najpiękniejsza wiosna, chociaż to był Grudzień. Miejsca, tak kolosalnie różniące się pod względem temperatury, nie były od siebie więcéj oddalone, jak 25 kilometrów.

W Kałgan przekroczyli podróżni mur chiński, w tém miejscu 4 sążnie szeroki, a 3 wysoki i z kamieni, wapnem spojonych zbudowany, podczas, kiedy daléj od Pekinu jest to poprostu niski wał z błota i gliny. Odtąd aż do Pekinu prowadziła droga przez żyzną, wybornie uprawioną równinę, przepełnioną porządnemi wioskami.

W czasie swéj podróży z Kiachty do Pekinu miał Przewalski sposobność poznania dokładnego Mongołów, których najczystszy typ, plemie Kałka, zamieszkuje właśnie tę okolicę. Szeroka, krótka twarz, sterczące kości policzkowe, małe, wązkie oczy, kanciasta czaszka, wielkie, odstające uszy, czarne, twarde włosy, rzadki zarost, ciemna, ogorzała skóra i wzrost krępy: oto charakterystyczne znamiona Mongoła z Kałki. Głowy golą i tylko z tyłu zostawiają kępę włosów, które uplatają w warkocz. Zwyczaj noszenia warkocza zaprowadzili Manczurowie, gdy w XVI wieku zdobyli Chiny i Mongolią. Noszenie warkocza jest odznaką obowiązkową każdego poddanego cesarza chińskiego. Mieszkaniem Mongoła jest namiot z prętów drewnianych, pokrytych kocami pilśniowemi. Jurta taka jest wygodną i ciepłą, ale, niestety, ogromnie brudną, bo Mongołowie są ideałem brudastwa. Mają oni prawdziwy wstręt do wody i wszelkiéj wilgoci, jurty wystawiają daleko od każdego stawu, albo chociażby studni lub kałuży, nietylko siebie, ale i naczyń swoich nigdy nie myją; co najwięcéj, wyciérają je suchym argalem (argal znaczy odchody

wielbłądzie), wody nigdy nie piją, tylko herbatę, na słonéj wodzie ugotowaną. Do herbaty dodaje się garść upieczonéj kaszy, tatarki, a na dobitek kawałek masła albo surowéj słoniny. Téj mieszaniny pochłaniają dziennie ogromne masy, każdy około 15 misek, a do apetyczności przyczynia się i ten zwyczaj, że każdy swoję miseczkę nosi przy sobie, i sam sobie z wspólnego kotła, który się warzy cały dzień, nią nabiéra. Prócz herbaty jest ich pożywieniem mléko, z którego robią masło, „arekę“ rodzaj séra, i „tarasun“, t. j. kumys. Zimą żywią się przeważnie skopowiną, która uchodzi za wielki delikates. Mongoł jest skąpy i niechętnie zabije własnego skopu, woli głód cierpiéć i pości z wielkim stoicyzmem, ale, jeżeli mu się zdarzy gratka najéść się zadarmo, pokazuje wilczą żarłoczność; Przewalski widział takich, którzy zjadali 5 kilo. skopowiny na jednym obiedzie. Nikt nie gardzi końskiém albo wielbłądziém mięsem, nawet padlinę jedzą, tylko lamowie powinni się wstrzymać od mięsa z wielbłąda albo konia. Chleba nie znają. Oryginalném jest, że ci sami ludzie, którzy są szczytem niechlujności i brudastwa, brzydzą się rybami i ptastwem. Przy jeziorze Kuku-nor dostał przewodnik mongolski wymiotów, gdy widział Przewalskiego jedzącego kaczkę.

Pasterstwo jest wyłącznem zatrudnieniem Mongołów i hodują oni przeważnie owce, wielbłądy, konie, rzadko bydło rogate albo kozy. W Kalka hodują najlepsze wielbłądy, w kraju Cacharów konie, w Alaszan kozy. Mongoł jest z przyzwyczajenia i z pasyi, pastuchem, całe jego staranie i troska jest skierowana ku trzodzie, z którą się dobrze obchodzi, o którą dba, i która więcéj go obchodzi, aniżeli najbliższa rodzina. Piérwsze pytanie, zadane obcemu brzmi zawsze, czy jego bydło zdrowe? O przemyśle nie ma mowy, garbują skóry, wyrabiają koce pilśniowe i siodła, inne potrzeby kupują od Chińczyków. Leniwi są do najwyższego stopnia. Roboty domowe, wyrabianie koców, dojenie trzód, wszystko to jest obowiązkiem kobiét, mężczyzni zwyczajnie nic nie robią, jeżdżą od rana do wieczora z jednéj jurty do drugiéj, aby pić herbatę, kumys i gawędzić. Jesienią i zimą wynajmuje Mongoł siebie i swoje wielbłądy do transportowania towarów, zato wiosną i latem z całą przyjemnością oddaje się ulubionemu lenistwu. Chodzenie pieszo, chociażby w najbliższe sąsiedztwo, uwłacza godności mongolskiego pastucha, to téż o każdéj porze stoi koń osiodłany przed jurtą. Wybornie jeżdżą konno, i wyścigi są narodową rozrywką, która się odbywa przy wszystkich znaczniejszych klasztorach raz, czasami nawet dwa razy do roku, i przy których wysoki dostojnik kościelny rozdaje zwycięzcom nagrody w pieniądzach, sukniach i bydle. Mon-

gołowie nie są bez wrodzonego sprytu, ale horyzont ich wiadomości jest oczywiście bardzo ograniczony, nie pojmują nic, a ciekawi, jak dzieci, i gadatliwi, jak murzyni. Z powodu téj ogólnéj ciekawości rozchodzą się wiadomości po stepie z szybkością telegrafu. O Przewalskim i jego towarzyszach wiedziano wszędzie miesiącami prędzéj, aniżeli on sam przybył. Dawnéj wojowniczości i śladu nie pozostało, przeciwnie wszyscy Mongołowie są ogromni tchórze, przed rewolwerem Przewalskiego całe setki uciekały, a w czasie powstania Dunganów, t. j. mahometańskich Chińczyków, uratowała Urgę przed tychże napadem tylko kompania wojska rosyjskiego.

Życia familijnego nie łączą bardzo ścisłe węzły. Mongoł ma wprawdzie tylko jednę żonę, ale przytém i przyjaciółki, które z prawdziwą żoną mieszkają w jednéj i téj saméj jurcie w harmonii i zgodzie. Narzeczony kupuje narzeczoną, daje za nią kałym, a żona winna w posagu przynieść mężowi jurtę z całém urządzeniem. Rozwody są bardzo łatwe, tak żona, jak mąż, mogą się za lada powodem wzajemnie opuścić, ale przywiązanie do dzieci, które bardzo kochają, zwyczajnie powstrzymuje od rozejścia się niezgodne stadła.

Jedyną idealną potęgą jest religia. Do dysputy religijnéj gotów jest każdy Mongoł każdego czasu, a opowiadający o cudach, miejscach świętych i dostojnikach kościelnych znajdzie zawsze chętnych słuchaczy. Dalaj-Lama w Lhassie jest czcią boską otoczony, i może jego wszechwładne słowo potrafiłoby jeszcze wlać nanowo zapał wojenny w tych tchórzliwych wyznawców Buddy. Obok Buddaizmu błąkają się jeszcze resztki szamańskich zabobonów, zresztą cała religia i nabożeństwo jest jednym zabobonem, polega na powtarzaniu próżnych formułek bez żadnego znaczenia. Najpotężniejszą modlitwą są podobno słowa, które stoją wypisane na frontonie każdéj świątyni, a których nikt, ale to dosłownie nikt, wytłómaczyć nie potrafi: „Om mani padme hum.“ Znaczenie duchowieństwa, które stanowi trzecią część ludności, jest kolosalne. Świątynie i klasztory, w których lamowie żyją tysiącami, są ogromnie bogate. Lamowie nic nie robią, tylko się modlą, żyją w celibacie i noszą żółte habity. Nie braknie i zakonnic, które się zowią „Szabganesa.“ Umarłych nie chowają, tylko wyrzucają po prostu z jurty na step, a lamowie za pieniądze wskazują kierunek, w którym ma leżéć głowa umarłego. Tylko ciała wyższych lamów albo książąt bywają chowane pod kamiennemi pagórkami albo palone. Za umarłego bywają przez następne 14 dni czytane modlitwy, oczywiście jeżeli pozostali krewni zapłacą, a za książąt, którzy poczynili klasztorom znaczne zapisy, trwają takie egzekwie czasami całe 2 lata.

Cala Mongolia jest podzielona zupełnie militarnie, dzieli się na ajmakaty, te na koszunaty, daléj na pułki, szwadrony i t. d., które bywaje rządzone przez dziedzicznych książąt.

II.

Zaopatrzywszy się w Pekinie w paszport cesarski, wielbłądy towary i wszystkie potrzeby do podróży, przyczém był Przewalskiemu nadzwyczajnie pomocnym jen. Wlangali, poseł ros. w Pekinie, wyruszyli podróżni 25 Lutego 1871 na północ do jez. Dalaj-nor, leżącego na pograniczu Manczuryi. Skoro przekroczyli góry, stanowiące południową krawędź wyżyny mongolskiéj stanęli w Dolon-nor, mieście położoném już 1.263 metrów nad poziomem morza, gdzie oczywiście cała przyroda inny, jak w nizinie chińskiéj, nosi charakter i zapowiada sąsiedztwo pustyni. Nie widać już gór kopułowatych albo poszarpanych skał, drzewa i krzewy znikają, step zaległ równinę, a z nim razem znalazły się charakterystyczne zwierzęta: świszcz, antylopa dseren i mongolski skowronek. Dolon-nor słynie szeroko w Chinach i Mongolii, z fabrykacyi na wielką skalę statuetek bożków i świętych najrozmaitszéj wielkości. O kilkadziesiąt kilometrów daléj ku północy leży jezioro Dalaj-nor, interesujące dla ornitologa, bo ponieważ jest jedyném znaczniejszém zbiorowiskiem wód we wschodniéj Mongolii; wodne ptaki wędrowne, powracające wiosną z południa do północnych krajów, zatrzymują się przy niém na odpoczynek. Dla tego właśnie udał się tamdotąd Przewalski w czasie ciągu ptaków. Miliony kaczek, gęsi, łabędzi, czajek zlatywało się co dzień na jezioro, mianowicie po burzliwych dniach bywało jezioro całe pokryte niemi, a chociaż ptaki spieszyły się, aby co najprędzéj opuścić pustynię i odlatywały po krótkim odpoczynku, to przecięż natychmiast nowi goście zabierali ich miejsce.

25-go Marca użył Przewalski nad jeziorem wspaniałego widoku pożaru stepu. Wieczorem pokazały się na dalekim widnokręgu słabe płomyki, a po dwóch godzinach zlały się w jednę olbrzymią linię ognistą, która z szybkością niesłychaną sunęła po rozległéj równinie stepowéj. Pagórek, który leżał w samym środku téj linii, został dosłownie zalany płomieniami i wyglądał, jak wielki oświecony gmach wznoszący się wysoko po nad powszechną iluminacyą. Niebo do tego było zaciemnione dymem, a jednak oświecone krwawym odblaskiem płomieni, słupy dymu wznosiły się w fantastycznych kształtach w górę, a najsilniéj odbijał kontrast pomiędzy

stepem oświeconym przed linią ognistą, a ponurą ciemnością, która za tą jasnością goniła.

Od jeziora Dalaj-nor zwrócił się Przewalski na południe do Kałgan i szedł stepem urodzajnym, wprawdzie pozbawionym drzew, ale obfitującym w jeziorka, strumyki i wyborną trawę. Tutaj pasą się stadniny cesarskie. Konie mongolskie są brzydkie, małe, z grubemi nogami i grubą szyją, mają wielki łeb, gęste, długie kudły, ale są bardzo silne i wytrzymałe. Pasą się w tabunach po 500 koni prawie bez żadnego dozoru, każdy tabun dzieli się znowu na gromady po 10—30 klaczy, które pozostają pod opieką i przewodnictwem jednego ogiera. I zimą pozostają te konie na stepie, bez schronienia żadnego, śnieg służy im za napój, a zwiędła trawa, którą z pod śniegu wygrzebują, za pożywienie.

W czasie podróży wzdłuż południowéj krawędzi wyżyny mongolskiéj przebył Przewalski bardzo ostrą wiosnę W kwietniu bywały nocami bardzo ostre mrozy, mianowicie skoro wiał wiatr północno-zachodni. Pędził on z sobą chmury kurzu i piasku, które tak zaciemniały widnokrąg, że w odległości jednego kilometra gór widać nie było. Jeżeli jeszcze tu i ówdzie grunt był przesiąknięty solą, wtedy chmura drobniutkich pyłków solnych była jeszcze gęstszą i zaciemniała słońce, które świeciło, jak przez dym. Gwałtowny ten wicher obalał namioty, siekł żwirem zwierzęta i ludzi, podróżni oczu otworzyć nie mogli, dostawali bólu głowy i szumu w uszach. Nawet wielbłądy, przyzwyczajone do tych podróży, wyborne dwugarbowe, które były zdolne 100 kilometrów przekłusować dziennie, tak były wytrzymałe, stawały w czasie takiego wiatru, odwracały się i ryczały żałośnie. Czasami ustawał ten wiatr nagle, wtedy spadał natychmiast deszcz ulewny, który trwał tylko kilka minut, potém krótka cisza, a następnie rozpoczynał wiatr nanowo swe harce.

W Kałgan czekali na Przewalskiego nowi dwaj kozacy, dawniejszych, którzy się okazali nie przydatnymi, odesłał do Kiachty. Cała karawana składała się teraz z 4 ludzi, 2 koni dla Przewalskiego i Pylcowa, 8 wielbłądów i psa Fausta, który był prawie do końca wiernym towarzyszem, dopóki nie padł z pragnienia w czasie powrotu. Aż do Kyry-nor szli podróżni zwyczajną drogą karawanową, która prowadzi do Kuku-choto, ale od tego jeziora zwróli się na północo-zachód ku górom Szara-chada i Suma-chada. Tak w tych, jak we wszystkich innych górach mongolskich zauważył Przewalski, że góry zawsze są tylko na północnym stoku pokryte drzewami i krzewami, widać, że przeważnie wiatry północne

wilgoć z sobą przynoszą. W górach Suma-chada spotkał się Przewalski po piérwszy raz z owcą Argali, rodzajem kozicy, wielkości łani. Nie obawiały się te zwierzęta ludzi bynajmnéj, chodziły one po pastwisku pospołu z trzodami Mongołów, przychodziły nawet do jurty. Przyczyną tego jest nie co innego, jak prawie zupełny brak broni u tamtejszych mieszkańców, którzy nadto tak źle strzelają, że nie są w stanie szkodzić tym zwierzętom, które dla tego z zaufaniem zbliżają się do człowieka. Podróż była wciąż nadzwyczaj uciążliwą, 24 i 25 Maja huczały zawieje śnieżne, chociaż podróżni znajdowali się pod szerokością Medyolanu. Najprzykrzejsze były wiatry z północo-zachodu i z południo-zachodu. Zato znowu czasami słońce paliło, jak w Saharze, a nigdy kropelka deszczu nie spadła, żeby odświéżyć powietrze i ziemię.

Z górami Suma-chada opuścił Przewalski kraj Cacharów, a stanął w kraju Urotów, którzy mieszkają na północ od Hoang-ho i ku zachodowi aż do Ala-szan. Uroci różnią się bardzo od schińszczonych Cacharów i zewnętrzną postacią przypominają więcéj Mongołów czystéj krwi, lecz moralnie ulegli tak samo jak tamci, zepsuciu chińskiemu. Najprzedniejszą cechą ich charakteru jest chciwość, za butelkę mléka żądali bezczelni Mongołowie od podróżnych 10 kopiejek, za funt masła 60 kopiejek, za skopa 5—6 rubli, a ponieważ Przewalski nie był zbytecznie zaopatrzony w pieniądze, więc musiał żyć z towarzyszami z upolowanéj zwierzyny. Cały kraj Urotów jest górzysty, z charakterem zupełnie alpejskim, pasma Szajtan-ulla, Chara-narin-ulla, Inszan, które pomiędzy sobą są połączone szeregami pagórków, zapełniają kraj. Pasmo Inszan, a raczej zachodnia jego część Muni-ulla, piętrząca się po nad lewym brzegiem rzeki Hoang-ho i dochodząca wysokości 2.800 metrów, odznacza się osobliwością swéj wegetacyi. Roślinność tutaj, w przeciwieństwie do większéj części innych pasm górskich, staje się tém bujniejszą, im wyżéj się wznosimy ku wierzchołkowi góry. W wysokości 1.680 metrów poczynają się lasy, które rozrastają się tém gęściéj, im wyżéj wstępujemy. Topola, brzoza, wierzba przeważają. Flora przypomina bardzo syberyjską, przecięż nie jest tak bujna, jak nad Amurem. Drzewa w ogóle nie wyrastają wysoko, mają rozłożyste konary, ale pnie pokrzywione i jak gdyby skurczone. Ze spadzistych, głównie z skał erupcyjnych złożonych gór suną się potoki, ukryte w głębokich parowach, które sobie wyżłobiły, skaczą w grzmiących kaskadach w dół, aż dobiegną trawiastych dolin, przez które spokojnie płyną do Hoang-ho. Ile drzewa tych gór są niepozorne i jak gdyby niewyrosłe, tyle wspaniałe są na Inszan hale i połoniny, pokryte prawdziwemi kobiercami traw i kwiatów. Barwne kwia-

ty mieszają się ze świeżą zielenią traw w różno-kolorowy deseń, albo też tworzą oddzielne pasy i smugi, a w każdym z nich inny kolor przeważa. Najpiękniejsze te hale rano, gdy promienie wschodzącego słońca kąpią się w każdej kropelce rosy i tworzą miryady drobnych tęczy, a ciszę okolicy przerywa tylko ciche świergotanie nielicznego tutaj ptactwa. Ku południowi zieleni się dolina rzeki Hoang-ho, a za nią rozległe i puste równiny Ordos. Nieliczne zwierzęta, jelenie, rogacze, gemzy, zające, susły, z drapieżnych wilki i lisy, zamieszkują lasy i skały tych gór. Nadmienić także należy, że, w przeciwieństwie do innych gór Mongolii, Muni-ulla ma na stronie południowéj bujniejszą wegetacyą jak na północnéj. Prawdopodobnie wpływ to ewaporacyi potężnéj rzeki, płynącéj u południowego podnóża tych gór.

Z początkiem Czerwca ustały wiatry, cisza i gorąco zapanowały w atmosferze. Podróżni spuścili się z gór In-szan, dążąc przez dolinę rzeki Hoang-ho do chińskiego miasta Bautu. Dolina, którą przebywali nie odznaczała się tą świeżą, miekką, lśniącą się, przetkaną kwiatami zielenią, jaka charakteryzuje nasze łąki nadrzeczne, był to raczéj step urodzajny, jednostajną roślinnością pokryty. Wszędzie tu były liczne osady chińskie. Pod Bautu przeprawili się podróżni przez Hoang-ho do pustéj piaszczystéj krainy Ordos.

Pomiędzy półkolem rzeki Hoang-ho z północy, a murem chińskim z południa rozciąga się ten step, nieprzydatny pod pług, poczęści gliniasty, poczęści piaszczysty; jedynie z północnej strony tuż nad rzeką rozsiadły się na urodzajniejszéj glebie osady chińskie. Rzeka Hoang-ho płynie tutaj dość szybko, tocząc mętne, żółtawe nurty w gliniastych wybrzeżach, zkąd poszła jéj nazwa „rzeki żółtéj". Jest ona już tutaj 385 metrów szeroką. Ponieważ jéj brzegi są niskie i tém bardziéj płaskie, im dalej ku wschodowi, więc potężna rzeka zmienia często swe koryto. Ostatnia taka zmiana zdarzyła się w r. 1855. Aż do tego czasu uchodziła Hoang-ho do morza chińskiego o kilkanaście mil na północ ujścia Jantse-Kiangu, a w r. 1855 rozerwała tamy przy Kai-fun-su i polała się 400 kilometrów wyżéj ku północy, tak, że dzisiaj uchodzi do zatoki Peczili. Wzdłuż prawego brzegu rzeki ciągnie się piaszczysta pustynia „Kusupczi", złożona z szeregu 13 — 16 metrów wysokich pagórków lotnego piasku. Te zaspy piasczyste, na których nie ma absolutnie żadnéj wegetacyi, nie chowają też żadnych zwierząt, prócz maleńkich jaszczurek, które wygrzewają się na słońcu i, pełzając po rozpalonym piasku znaczą w dziwnych arabeskach swe ślady. Ciągnie się ta pustynia od miasta Bautu 300 kilometrów w górę łożyska Hoang-ho i potém przechodzi na lewy brzeg rzeki i tam pokrywa cały

Alaszan. Widocznie Ordos były kiedyś dnem morza, które odpłynęło rzeką Hoang-ho. Dawniejsze ławy piaszczyste sterczą dzisiaj jako pagórki. Przypuszczenie to znajduje poparcie i w historycznych tradycyach chińskich, które opowiadają o wielkich powodziach w dolinie rzeki Hoang-ho pomiędzy rokiem 3100 a 2300 przed Chrystusem.

Tymczasem przykrości mongolskiego lata, coraz bardziéj czuć się dawały podróżnym, wędrującym po piaszczystéj pustyni, gdzie chyba namiot chronił ich przed promieniami słońca. Podczas upałów lipcowych wznosił się termometr w cieniu do $+37^0$ C, a piasek i glina nad brzegami rzeki rozpalała się do $+70^0$ C. Wielbłądy parzyły swoje kopyta i nie chciały iść, nawet błota i moczary tak się rozgrzały, że woda ich miała $32{,}3^0$ C. W połowie Lipca zaczęły przepadywać często deszcze, co przynajmniéj znośniejszą uczyniło podróż.

Nad brzegami jezior Urgun-nor i Cajdemin-nor napotkali podróżni gęste osady chińskie i rozległe pola zasiane makowcem. Ponieważ kultura opium jest zakazaną w Chinach, były więc te pola położone zwykle w nizkich miejscach nad rzeką, otoczone wokoło zagonem trzciny albo tataraku, która to zasłona miała zakazany owoc uchronić przed okiem władzy. Oczywiście, że urzędnicy tylko w takich razach miewają wzrok nie dość bystry, w których rolnik zapomocą sowitego podarunku ich przekona o swéj niewinności. Pod Dyn-chu, w miejscu gdzie Hoang-ho, płynący dotychczas z południa ku północy zwraca się ku wschodowi, przeprawił się Przewalski na lewy brzeg rzeki i stanął w kraju Alaszan.

Południowa część wyżyny Gobi, którą od doliny rzeki Hoangho oddzielają strome góry Alaszan, jest to dzika, nieurodzajna pustynia, pokryta nieledwie cała latającym piaskiem i zaledwie mogąca wyżywić mongolskie plemię Olutów, którzy ten kraj zamieszkują. Te zaspy piaszczyste sięgają na zachód aż do rzeki Ecrina, na południe aż do gór prowincyi Gansu, a na północ przechodzą one powoli w gliniastą pustynię Gobi. Grunt równy, twardy, gliniasty, przesiąknięty solą, po którym buja lotny piasek, jak i słone jeziora, które pozostały do dzisiaj w zagłębieniach, świadczą, że i te równiny były kiedyś pokryte falami morza. Na setki kilometrów nie widać często nic innego jak piasek, na setki kilometrów nie znajdzie kropli wody, rośliny, albo zwierzęcia i cisza grobowa panuje na pustyni. To téż źródła czystéj, świeżéj wody są uważane za święte miejsca, jak np. źródło, jakie podróżni znaleźli przy jeziorze Zagan-nor, o dwa dni drogi od Dynchu. Rzadko, ale to bardzo rzadko znajdzie podróżny gromadki rośliny, zwanéj Sulchin, która w tym kraju

śmierci jest prawdziwém błogosławieństwem dla biednych mieszkańców. Roślina ta rośnie dość bujnie na szczerym piasku, kwitnie w Sierpniu, a jéj drobne nasienie, które dojrzewa we Wrześniu, upieczone i utarte na mąkę, daje pożywną strawę. I zwierzęta jedzą bardzo chętnie Sulchir.

Wzdłuż tego pustego kraju, który jeszcze w najnowszych czasach został był splądrowany przez powstańczych Dunganów, przybyli 24 Września do Dyn-juan-in, stolicy jednego z hanów Oluckich, gdzie zostali bardzo uprzejmie przyjęci przez hana, którego tytuł brzmi „Amban", który nietylko ich obdarował i zaopatrzył w żywność, ale nadto pozwolił im polować w lasach, kilka mil tylko odległych, gór Alaszan. Podróżni korzystali skwapliwie z tego pozwolenia i w towarzystwie dwóch synów hana, Goejen i Sija, którzy szczególniejszą im okazywali przyjaźń, przebyli dwa tygodnie w górach, które dochodzą do 11,600 stóp wysokości, składają się w większéj części z skał erupcyjnych, są bardzo strome i tylko w najwyższych regionach lasem porosłe. We Wrześniu były już szczyty tych gór pokryte śniegiem, który przecież w lipcu taje i na najwyższych wierzchołkach. Fauna nie zbyt bogata, bo z powodu zbytniéj spadzistości gór panuje w nich brak wody, pomimo że deszcze nie są rzadkością.

W nadzwyczaj dosadnych barwach kreśli Przewalski postacie oluckiego księcia i jego synów, ich ciekawość, głupotę barbarzyńską a przytém zepsucie. Najinteresowniejszą osobą był dla niego na dworze Ambana minister jego Lama Sordżi. Dygnitarz ten przebywał kilka lat w Lhassie, gdzie miał szczęście oglądać Dalaj-Lamę, który się pobożnym pielgrzymom raczy pokazywać za pieniądze; kto go powtórnie oglądać pragnie, płaci tylko połowę. Sordżi opowiadał Przewalskiemu nadzwyczaj interesujące podania buddaistyczne o przyszłém zmartwychwstaniu potęgi mongolskiéj, o leżącéj kędyś na północy szczęśliwéj wyspie Szambalin, która w przyszłości posłuży za ziemię obiecaną wyznawcom Buddy. Gdy mu Przewalski opisał położenie Anglii, Sordżi nie wątpił, że to jest właśnie wyspa Szambalin. Dla szczupłości miejsca muszę czytelnika po te ciekawe szczegóły odesłać do dzieła samego, tutaj przytoczę tylko Sordżiego opowiadanie o metodzie wyboru Dalaj-Lamy. Obecny Dalaj-Lama jest 18-letnim chłopcem, a został widomie podług wskazówki bóstwa wyniesiony do téj wysokiéj godności. Krótko przed śmiercią poprzedniego, podeszłego wieku Dalaj-Lamy, przybyła do niego kobiéta z Tybetu, aby go wielbić, a święty poznał w niéj matkę przyszłego Lamy i dał jéj chleba i święconych jagód. Owa niewiasta została brzemienną, a gdy w kilka miesięcy późniéj

umarł Dalaj-Lama, wskazał swemu otoczeniu na owę narodzić się mającą dziecinę, jako na swego następcę. Rzeczywiście niebawem powiła owa pobożna niewiasta synka, a cuda, towarzyszące temu szczęśliwemu zdarzeniu, potwierdziły wybór zmarłego Dalaj-Lamy. Z słupów, na których wspierała się jurta, popłynęło mleko i miód, harmonia sfer i muzyka anielska zabrzmiały w górze, nie brakło ani jednego z owych nadzwyczajnych zjawisk, które wedle podań wszystkich wyznań bez wyjątku, towarzyszyły narodzinom ich twórców albo wielkich ludzi.....

15 Października opuścił Przewalski Dyn-Juan-in, ale nie daléj w drogę do Tybetu, lecz z powrotem do Pekinu, bo zupełny brak środków przymusił go do tego. Nawet pieniędzy na powrót nie było, i tylko ze sprzedaży kilku sztuk broni i innych przedmiotów zebrał 200 Lan (Lan = dwom rublom). Tą razą skierował drogę nie przez Ordos, ale wprost na północ do kraju Urotów. W blizkości jeziora Dszaratai-datasu, leżącego 3.100′ nad morzem, a przecięż w największém wyżłobieniu kraju Alaszan, znaleźli podróżni pole, pokryte 2 — 6 stóp grubą warstwą wybornéj soli. Zdala wyglądała ta sól, jak woda, zblizka, jak lód, i podobieństwo było tak łudzące, że stado gęsi przelatujące spadło na mniemane jezioro, a poznawszy swój błąd, z gniewnym wrzaskiem uniosło się znowu w powietrze. Z tego skarbu korzysta tylko kilkudziesięciu Mongołów, którzy rąbią sól i sprzedają do Bautu. — Daléj ku północy posuwając się wspięli się podróżni na wyżynę mongolską, ale straszliwe mrozy, jakie tam panowały, spędziły ich znowu w cieplejszą dolinę rzeki Hoang-ho. Od brzegów rzeki Kundulin-Gol powrócili na drogę, którą szli z Pekinu do Alaszan, ale z chwilą wstąpienia na wyżynę zaczęły się straszliwe cierpienia. Pylcow był chory na nerwową febrę od czasu opuszczenia Dyn-juan-in, a tu zimno listopadowe dochodziło do — 32°C; nie było wody aby się napić, nie było argalu żeby się przy jego ogniu ogrzać. Przy klasztorze Szyrety-dsu, leżącym 80 kilometrów na północ od Kuku-choto, doszły cierpienia podróżnych do najwyższego stopnia. Puszczone na paszę wielbłądy zbiegły się i zostały ukradzione przez Mongołów, pozostał im jeden tylko i to chory, ale i ten zdechł niebawem z głodu, bo Chińczycy nie chcieli sprzedać paszy. Z dwóch koni zmarł jeden, i tak napół żywi z jednym tylko koniem i wiernym Faustem dobili się 31 Grudnia 1871 do Kałgan. Nie potrzeba pewno dodawać, że nigdy może naszym podróżnym nowy rok tak pięknym się nie zdawał, jak 1 Stycznia 1872, w gronie ziomków przepędzony bezpośrednio po owéj straszliwéj podróży. Z Kałgan udali się niebawem do Pekinu.

III.

W Pekinie zaopatrzyli się podróżni w towary, mianowicie w broń, którą najłatwiej i najdrożej sprzedać można; w miejsce dotychczasowych kozaków wzięli w swą służbę dwóch innych, którzy wybornie się zachowali przez cały czas podróży, i 5 Marca puścili się na nowo w drogę do Alaszan znanym już dobrze traktem. 26 Maja stanęli w Dyn-juan-in, gdzie nadzwyczajnie korzystnie spieniężyli znaczną część przywiezionych z sobą towarów. Przewalski zakonstatował to samo, co przed nim baron Richthofen, a po nim pułkownik Sosnowski, że zachodnia Mongolia może się stać nadzwyczaj korzystnym targiem dla wyrobów przemysłu rosyjskiego, jeżeli z Siemirzeczeńskiego obwodu zostanie w te strony utorowaną bezpieczna droga handlowa. Przewalski zbywał nabyte w Pekinie wyroby europejskie z zyskiem często 700 procent.

Szczęśliwy traf sprowadził właśnie w czasie jego pobytu w Dyn-juan-in, tamdotąd karawanę Tangutów, wracających z Pekinu do klasztoru Czeibsen leżącego w prowincyi Gansu, tylko o 5 dni drogi od jeziora Kuku-nor. Do tych 27 Tangutów przyłączył się Przewalski z swoją karawaną, i 6 Czerwca pożegnali stolicę Olutów. Południowa część prowincyi Alaszan jest tak samo piaszczystą pustynią, jak północna i zachodnia. Na gliniastym gruncie wznoszą się bezładnie pagórki miałkiego żółtego piasku, 20—30 metrów wysokie. Wiatr igra bezustannie tym sypkim piaskiem, pędzi go z jednego pagórka na drugi i tworzy lejkowate zagłębienia, w których grzęzną wielbłądy, które jedynie z wytężeniem wszystkich sił drapią się z jednego pagórka na drugi. Nie ma ścieżki, trzeba się kierować podług słońca. W czasie burzy musi karawana zatrzymać się, pochód jest niepodobny. Nad każdym pagórkiem wznoszą się wtedy chmury kurzu, i każdy wygląda, jak gdyby kłębami dymu był otoczony, słońca nie widać przez zasłonę delikatnego pyłu, który zawisnął w powietrzu. Najlepiéj podróżować po deszczu, wtedy piasek spoistszy a i drobne rośliny wychylają na krótki czas swe główki z pod piaszczystego całuna. Mieszkańcy zowią tę pustynię „Tyngeri", to znaczy niebo. Podróżni przebyli ją w miejscu najwęższém, w którém tylko 15 kilometrów była szeroką.

Tuż za pustynią wznoszą się góry prowincyi Gansu i krajobraz zmienia się zupełnie. O 2 kilometry od piaszczystych pagórków leżą śmiejące się łąki i żyzne pola, uprawiane przez Chińczyków. Granicę dokładną pomiędzy pustynią a kulturą stanowi mur chiński. Ciągnie się on od Kałgan ku zachodowi przez góry, które odgrani-

czają wyżynę Mongolii, okala od południa puste Ordos i przylega do gór Alaszan, a ztamtąd wzdłuż północnéj granicy prowincyi Gansu biegnie ku miastom Lan-czen, Gan-czen i Su-czen aż do fortecy Ciajaj-guan. Wszystkie stepy i pustynie pozostają nazewnątrz muru. Przecięż, jak to już wyżéj wspomniano, tu w Gansu nie jest on w niczém podobny do wspaniałéj budowli, jaką znamy pod tém nazwiskiem w okolicach Pekinu, tu na zachodzie jest to poprostu wał gliniany szeroki i wysoki na 6 metrów i przytém bardzo zużyty. Nie dziw, że Marko Polo, który w tych okolicach przekroczył granicę chińską, wcale go nie zauważył.

W chińskiem mieście Dadszyn, dwie mile od muru oddaloném, zatrzymali się podróżni i byli jak we wszystkich chińskich miastach wystawieni na nieznośne naprzykrzanie się gawiedzi chińskiéj, która pchała się oknem i drzwiami do gospody, aby się Europejczykom przypatrzeć, i którą ostatecznie kły Fausta i rewolwer wypędziły za bramę. Gubernator miejski przysłał wprawdzie Przewalskiemu straż, z żołnierzy chińskich złożoną, ale przed tą strażą śledzącą tylko po kątach, aby co ukraść, trzeba się było przez cały czas mieć na baczności, a w końcu pokazało się, że p. Gubernator sam nie był lepszy i uprzykrzył się Przewalskiemu do syta prośbami to o to, to o owo. Podróżni byli radzi, gdy znowu się znaleźli za miastem.

Tu już rozpoczynały się góry, olbrzymie, linii śnieżnéj sięgające, rozryte w czarowne doliny, w których potężne rzeki płynęły, porosłe bujnemi lasy. Nie można pomyśléć silniejszego kontrastu, jak tego alpejskiego kraju z przebytą dopiéro pustynią.

Pod klasztorem Czertynton przebyli rzekę Tetunggol, która jest największą poboczną górnego Hoang-ho, i wśród deszczów, które w górskich żyznych dolinach wciąż przepadywały, stanęli w klasztorze Czeibsen, zamieszkałym przez 300 Lamów i otoczonym glinianym murem, który w ostatnich czasach wielkie oddał usługi tamecznym mieszkańcom w czasie napadów Dunganów. Gościnnie tutaj przyjęci założyli w klasztorze swą główną kwaterę i rozpoczęli ztąd wycieczki, aby poznać wspaniałe góry Gansu. Lamowie klasztorni kiwali głowami, słysząc że Przewalski samoczwart myśli się puścić w góry, odradzali mu to i przedstawiali niebezpieczeństwo, jakie mu grozi od grasujących w okolicy Dunganów, ale Przewalski znał dobrze tych rycerzy, którzy wprawdzie odważni byli do rabunku i mordowania bezbronnych, ale których całe hordy uciekały przed kilku odważnymi i zdecydowanymi ludźmi, i nie pytając się o przestrogi wyruszył w drogę. Oczywiście, że w skutek tego urósł w oczach mieszkańców na bohatera nadludzkich rozmiarów.

Góry Gansu stanowią wschodnią kończynę gór północnego Tybetu. Otaczają one od południa i północy podwójnemi pasmami jezioro Kuku-nor i ciągną się około 500 kilometrów ku zachodowi, tworząc tym sposobem półwysep otoczony z południa solnemi błotatami Cajdamu, a z północy równinami pustyni Gobi. Przez Kukunor i Cajdam ciągnie się daléj wyżyna aż do wyniosłego grzbietu gór Burghan-Budda, które stanowią północną krawędź jeszcze wynioślejszéj tybetańskiéj wyżyny. Zbadane przez Przewalskiego góry, na północo-wschód od Kuku-nor, składają się z trzech równoległych pasm, północnego, które odgranicza Gansu od Alaszan i dwóch południowych, które biegną wzdłuż rzeki Tetung-gol. Najniższe są te góry ku wschodowi przy brzegach Hoang-ho, ku zachodowi piętrzą się coraz wyżej, aż przy źródłach Folaj-gol i Ecrisa-gol wznoszą się w regiony wiecznego śniegu. Chińczycy oznaczają wszystkie te grzbiety wspólnem nazwiskiem Nan-szan albo Sue-szan. Dwa grzbiety nad rzeką Tetun-gol podobne są bardzo do siebie wspólną dzikością jaka je charakteryzuje. Wązkie i głębokie doliny, jakby szczeliny w niebotycznych skałach, piętrzących się do wysokości 4420 metrów, urwiste zawsze stoki znajdujemy tu i tam. Ale pasmo środkowe jest najwyższe, mianowicie w zachodniéj części, gdzie pojedyncze szczyty przenoszą 5.000 metrów. Mieszkańcy uważają te niebotyczne turnie za święte i zowią je „Amne" to znaczy prapraojcowie. Góry składają się przeważnie z łupków, wapienia i gnejsów, obfitują w złoto i węgiel. Bardzo częste są trzesienia ziemi, tak silne, że nawet lekko budowane fanze chińskie zostają niemi obalone; i nasi podróżni doczekali się tego zjawiska. Klimat w górach jest nadzwyczajnie wilgotny, mianowicie latem; Przewalski naliczył w Lipcu 22, w Sierpniu 27, we Wrześniu 23 dni dżdżystych. Ale i jesienią i latem deszcz pada bardzo często, tylko zima jest pogodna i zimna. Lato było zresztą stosunkowo do szerokości (40°) chłodne.

Roślinność wszędzie nadzwyczajnie bujna i zupełnie amurską przypominająca. Brzozy, osiki, świerki, sosny, u ich stóp krzewy poziomki, jagody zielonym pasem otoczyły góry aż do wysokości 3.150 metrów, wyżéj nie znajdzie już lasów tylko pola róż alpejskich i pastwiska. Te góry otaczające Kuku-nor i źródła Hoang-ho są ojczyzną rumbarbarum (rheum palmatum), którą to roślinę Mongołowie zowią „szara-moto" a Tanguci „dszumca". Rheum ma przy korzeniu cztery liście wielkie, rozczapierzone, szerokie na jeden metr. Zpośród nich wznosi się łodyga z kwiatem i nasieniem, wysoka 2,20 — 3,16 metra. Korzeń zupełnie do buraka podobien, jest kosztownem lekarstwem. U rośliny dwuletniéj jest on dopiéro

wielkości pięści, dopiéro u 8 albo 10 letniéj jest zupełnie wyrosłym i téj wielkości co dobry burak. Korzeń ten bywa krajany w talarki, które nawlekają na nitki i suszą w miejscu suchem, ale zasłoniętem przed promieniami słonecznemi, bo słońce je psuje. Taka obfitość téj rośliny rośnie dziko, że rzadko bardzo ją uprawiają Tanguci w swych ogrodach. Rośnie ona w górach tak wysoko, jak lasy sięgają. Na miejscu nie kosztuje rheum prawie nic i dopiéro przez daleki transport do Pekinu staje się drogiem. Przewalski mniema, że możnaby ją bardzo łatwo zaaklimatyzować nad Amurem i przyniósł w tym celu dużo nasienia z sobą.

Fauna w górach niezbyt bogata: zwierzę moszusowe, antylopy, świszcze, mało owadów i płazów, najwięcéj ptaków. Charakterystycznem zwierzęciem tych okolic jest wół „*jak*.“ Nie wysoki, porosły gęstemi kudłami, z garbem na kłębie pokrytym grubą grzywą, zwinny i niesforny, znać w nim jeszcze *dzikusa*, nie przyzwyczajonego od tysiąców lat do niewoli, jak nasz wół pospolity. Jest on nadzwyczajnie silny, dźwiga dobrze ciężary, pnie się po skałach jak kozica i pływa dzielnie. Daje wyborne mléko i sér daleko lepszy niż nasze krowy. *Jak* jest nadzwyczaj użyteczném zwierzęciem, bo i do jazdy wierzchem służy; czém wielbłąd dla Mongoła, tém jest *jak* dla Tanguta.

Mieszkańcami tych okolic są Chińczycy, Dalldy i Tanguci. Dalldy są zewnętrznie podobniejsi do Mongołów jak do Chińczyków, ale przybrali ubiór i zwyczaje chińskie, nie są pastuchami lecz rolnikami. Z dawnego stroju Dalldów pozostał tylko u kobiét zwyczaj noszenia kwadratowych kapeluszy z materyi bawełnianéj olbrzymich rozmiarów. Tanguci są wspólnego pochodzenia z mieszkańcami Tybetu i różnią się tak od Chińczyków, jak od Mongołów, a przypominają bardzo cyganów, z którymi mają i to wspólne, że namiot zowią po cygańsku szatrą. Tanguci są średniego wzrostu, silnéj budowy, o szerokich barkach, wszyscy bez wyjątku mają czarne włosy, wąsy i brwi. Mają bardzo silny zarost, ale golą go, tak samo jak głowę, na któréj tylko warkocz pozostawiają, jedynie Kara-Tanguci golą całą głowę. Ciemnéj płci, oczy mają duże, nie ukośnie wycięte, nosy proste, często orle, usta duże, grube, zęby białe, twarz podługowatą, nie płaską. Ubiór noszą zawsze ciepły, z sukna albo z futer baranich, bo latem mokro, a zimą mrozy. Lecz to wierzchnie okrycie stanowi cały ubiór Tanguta, który nie nosi ani koszuli, ani spodni, a do tego prawą rękę i część piersi zawsze odsłoniętą. Fajka, krzesiwo i szeroki miecz stanowią także niezbędne części ubioru. Mieszkaniem Tanguta jest namiot, złożony z drągów, pokrytych suknem z włosów *jaka*, czarna brudna szatra,

zadymiona, z ołtarzem dla bożków umieszczonym naprzeciwko wejścia, przytem legowisko, złożone tylko z witek i kilku płatów przegniłéj pilśni. „Z pewnością, pisze Przewalski, nora susła, który razem z Tangutem zamieszkuje ten kraj, jest czyściejszą, cieplejszą i z większym urządzona komfortem, jak szatra Tanguta.“ W domach mieszkają tylko żyjący pospołu z Chińczykami i trudniący się rolnictwem, zwyczajném zatrudnieniem jest pasterstwo, hodowla *jaków* i koni. Tanguci żyją razem, nie odosobnieni, jak Mongoły. Mongoł stawia namiot gdzie sucho, Tangut gdzie mokro, pozornie natury przeciwne ale równi pod względem brudastwa i lenistwa. I Tangut nic nie robi, godzinami leżą dorośli i dzieci przy ognisku szatry i piją herbatę, tak samo obrzydliwą i w takich samych ilościach jak Mongoły.

Gdy Przewalski powrócił z swéj wycieczki do klasztoru Czeibsen, dowiedział się, że w czasie jego nieobecności przybył oddział Dunganów pod mury klasztorne i odgrażał się podróżnym. Mianowicie jakiś ryczerz na tygrysim koniu był najgłośniejszy. Gdzie są, krzyczał, wasi rosyjscy sprzymierzeńcy, przybyliśmy aby się z nimi zmierzyć. Żeby krajowcom pokazać, iż nie boi się Dunganów, kazał Przewalski rozbić swój namiot daleko od murów klasztornych na otwartém polu i tam czekał napadu, ale żaden z owych rycerzy się nie zjawił. Ta odwaga Przewalskiego napełniła lamów i Tangutów najwyższą czcią dla niego, opowiadali sobie, że jest on wielkim świętym, wielkim czarownikiem, na którego rozkazy pułki zbrojnych duchów zstępują do walki; nie wątpię dodaje znakomity podróżnik, że w kilka lat stugębna fama i bujna fantazya wschodnia zrobią z czterech rosyjskich podróżnych półbogów.

Że taka zgraja tchórzliwych zbójców i złodziei, jakimi są ci machometańscy Chińczycy, zwani Dunganami, przez Chińczyków Choj-Choj, mogli nietylko wyłamać się z pod zwierzchnictwa niebieskiego państwa, ale nadto zdobyć cały kraj po Hoang-ho i Mongolią po Urgę, zniszczyć kilkadziesiąt znacznych miast i wymordować setki tysięcy mieszkańców, tłómaczy nam tylko ta okoliczność, że armia chińska zupełnie jest równie dzielną, jak jéj przeciwnicy. Przewalski daje nam wyborną charakterystykę téj armii, którą dla ważności i ciekawości przedmiotu pozwolę sobie przytoczyć.

Armia chińska rozłożona w Gansu i nad górnym Hoang-ho była sprowadzoną z południowych prowincyj Cesarstwa i nosiła u mieszkańców nazwę „Chotanów.“ Wszyscy żołnierze byli uzbrojeni w starożytne muszkiety z lontami i pałasze, częściowo przecież i w niegwintowane europejskie strzelby, które rząd chiński zakupił od Anglików. Jazda, a nawet i część piechoty miała długie piki

bambusowe z czerwonemi chorągiewkami, na których jaśniało godło smoka. Moralne przymioty téj armii są tak potworne, że Europejczykowi trudno pojąć, iż taka armia w ogóle istnieć może, do tego jeszcze na teatrze wojny. Po pierwsze tak każdy oficer jak szeregowiec jest zwolennikiem opium i bez palenia téj trucizny nie może się obyć. Nie tylko na kwaterze i w koszarach, ale i w czasie marszu i w obliczu nieprzyjaciela oddają się chińscy wojownicy temu zabójczemu nałogowi i co dzień palą opium tak długo, dopóki nie runą na ziemię bez zmysłów. Rezultatem tego jest tak fizyczne jak moralne osłabienie żołnierzy, którzy nie są w stanie znieść trudów wojennych. Już ta jedna okoliczność, że żołnierz chiński nie potrafi, chociażby tylko kilka dni, być panem samego siebie, oddałaby całą tę armię, jako łatwą zdobycz, w ręce energicznego nieprzyjaciela. Każdego dnia leży połowa oficerów i żołnierzy bez duszy, odurzonych makowcem, a o wystawieniu posterunków, straży, rekonesansach nie ma mowy, wiadomości o nieprzyjacielu zasięga się tylko przez szpiegów. Rozpici żołnierze nie są tak samo zdolni do fizycznego natężenia. Do maszerowania w czasie słoty, burzy, albo w nocy chyba groza śmierci przymusi chińskiego żołnierza; zresztą zwyczajnie w czasie marszu jedzie konno albo na wozach, tak kawalerya jak piechota. Dalekie marsze pieszo są rzeczą niesłychaną. Nawet broni nie dźwiga żołnierz w czasie marszu; strzelby i lance pakują się na wozy albo wielblądy, a żołnierze jadą obok bez broni, bez pakunku, jak gdyby na spacer.

Skoro tylko oddział chińskiego wojska stanie kwaterą w jakiém miejscu, rozpraszają się żołnierze, aby u mieszkańców kraść i rabować—kury, prosięta, mąka, siano i t. p. bywają zabierane gwałtem, i ta zgraja dokazuje we własnym kraju, jak gdyby w nieprzyjacielskim. Oficerowie nie kradną sami, ale dzielą się z szeregowcami łupem, nie ma się więc przed kim poskarżyć i mieszkańcy boją się nawet to uczynić i radzi, jeżeli przynajmniéj ujdą z całą skórą. To postępowanie wojska jest powszechnie znane i dla tego Mongołowie, na wieść o zbliżeniu się oddziału wojska, zwijają co prędzéj swe namioty i przenoszą się z swemi trzodami o kilkaset kilometrów daléj, albo kryją się w niedostępnych kotlinach górskich. To plądrowanie współobywateli nie zadawalnia jeszcze wojowników chińskich. Od podoficera do naczelnie dowodzącego nie myśli nikt o niczém inném, jak o kradzeniu kassy państwowéj, do czego wypadki śmierci i bardzo częste dezercye dają wyborną sposobność. Dowódzca korpusu odbiéra dla umarłych albo zbiegów żołd i furaż zwykle jeszcze miesiące, a czasem i lata i dla tego też dezer-

cya w wojsku doszła do takich rozmiarów. Armia nad Hoang-ho miała liczyć 70.000 ludzi a w rzeczywistości dochodziła tylko 30.000. Lecz w Pekinie ministeryum nic o tém nie wié, bo dowódzca boi się odpowiedzialności, a powtóre chce jak najdłużéj bogacić się żołdem zbiegów. Najsurowsze kary nie skutkują nic. Chociaż za mniejsze przewinienia żołnierz bywa karany bastonadą w pięty, a za dezercyę, nieposłuszeństwo i rabunek śmiercią, to przecież surowość prawa jest zawsze bezsilną tam, gdzie zbrodnia nie jest wyjątkowém zjawiskiem, ale regułą. Jeżeli jeden rabuś umrze pod plagami, to na jego miejsce znajdzie się drugi, jeszcze gorszy maroder — zostanie powieszony dezerter, to wnet ucieknie dziesięciu i demoralizacya armii rośnie w progresyi.

Lecz nie koniec na tém. Najwalniejszą i najcharakterystyczniejszą cechą armii chińskiéj jest nieporównane tchórzostwo, które zdaje się być w ogóle Chińczykom wrodzone. Téj podłości nie uważa nawet nikt za hańbiącą, ucieczka z pola bitwy bywa raczéj uważaną za rozsądny postępek. W czasie bitwy obliczoną jest cała taktyka na nastraszenie nieprzyjaciela. O śmiałém, wspólném, energicznem natarciu nie ma mowy; armia bywa ustawioną w rozległém półkolu, aby nieprzyjaciela oskrzydlić, strzelanie rozpoczyna się już z odległości przenoszącéj dziesięć razy donośność strzelb, a po każdym strzale, podnosi całe wojsko straszliwy wrzask, aby tém więcéj wystraszyć nieprzyjaciela. Ten dziecinny sposób wojowania, jest stosownym oczywiście tylko względem nieprzyjaciela tego samego gatunku. Odważny, w broń europejską zaopatrzony nieprzyjaciel może pomaszerować w każdą okolicę chińskiego imperium i z góry być pewnym zwycięstwa. Liczba obrońców niebieskiego państwa nie potrzebuje go nabawiać kłopotu; jeden wilk rozpędzi gromadę trwożliwych owiec, a takim wilkiem jest każdy żołnierz europejski w porównaniu z wojownikami chińskimi.

IV.

Po powrocie z gór Gansu opuścił Przewalski niebawem Czeibsen powtórnie i udał się do jeziora Kuku-nor. Jego odwaga okazana względem Dunganów i ich rozbójniczych napadów, zwyciężyła tchórzostwo krajowców i łatwo znalazł przewodników, którzy go powiedli w te okolice jeszcze bliższe posiadłości Dunganów. Dnia 12-go Października stanął nad brzegami jeziora. Kuku-nor leży 3.300 metrów nad poziomem morza, jest kształtu elipsy i ma 300—400 kilometrów obwodu. Brzegi są niskie, woda słona i prześlicznego niebieskiego koloru, który cudownie odbija od otaczających gór, mia-

nowicie późną jesienią, gdy te już śniegiem przykryte. Bardzo rzadko jest jezioro spokojném, bo nawet lekki wiatr silne wytwarza fale. W zachodniéj części jeziora jest mała wyspa, około 10 kilometrów obwodu mająca, jedyna na całém jeziorze, jak opowiadali krajowcy. Na téj wyspie znajduje się klasztor, zamieszkały przez 10 lamów, którzy latem są zupełnie odcięci od świata, bo na całém jeziorze nie ma ani jednéj łodzi. Do koła jeziora rozległ się step bujną trawą porosły, po którym bujają dzikie osły, podzielone na małe stada, prowadzone zawsze przez ogiera. Osły te są bardzo podobne do mułów i żyją także w górach, otaczających Kuku-nor.

Kraj Kuku-nor, jak i sąsiadującą z nim chociaż potężnemi górami oddzieloną równinę Caj-dam zamieszkują Chara-Tanguci i Mongołowie z plemienia Olutów, jeszcze więcéj ograniczeni od innych swych pobratymców. Przewalski został przyjęty z wszelkiemi honorami, bo poprzedziła go sława wielkiego świętego. Wymagano téż od niego we wszystkich razach pomocy, mianowicie lekarskiéj. Pułkownik miał z sobą pewien zapas niewinnych środków, jak sól glauberska i t. p., a gdy ten się wyczerpał, chwycił się najwięcéj szarlatańskiego środka, jaki kiedybądź grasował w świecie medycznym, t. j. baumscheidtyzmu, który jak wiadomo polega na przekłuciu skóry wiązką igieł poruszonych sprężyną i natarciu pokłutego miejsca przepisanym olejkiem. Przypadkiem, jak gdyby w przeczuciu usług, które mu odda ten instrument, zabrał był z sobą tę maszynkę, gdy mu przed wyjazdem wpadła w ręce, i aplikował energicznie ten uniwersalny środek zgłaszającym się do niegu Mongołom, którzy byli nim zachwyceni, maszynkę uważali za święty przedmiot, najprawdopodobniéj własnemi rękami Buddhy zrobiony. W czasie powrotu darował Przewalski ten instrumencik jednemu z książąt mongolskich, który nie posiadał się z radości i zaraz na skórze zupełnie zdrowego swego adjutanta począł się ćwiczyć w operacyach.

Równina Caj-dam leży o 1.700 stóp niżéj jak stepy jeziora Kukunor i dla tego téż ma klimat znacznie cieplejszy. Musiała ona być w niedawnéj geologicznéj epoce dnem jeziora, bo cała prawie jest pokryta olbrzymiemi moczarami, na których powierzchni utworzył się osad solny 1½ do 3 centymetrów gruby. To téż prócz kilku roślin błotnych tylko trzcina rośnie; a w miejscach więcéj suchych krzew Nitraria Scholesi, którego jagody stanowią pokarm ludzi i zwierząt, nawet wilki i lisy je jedzą. Nie ma w tych moczarach wiele zwierząt, może z powodu komarów, które latem zapełniają powietrze i wypędzają mieszkańców z ich trzodami w góry. W zachodnio-północnéj części przecięż mają podług opowiadania kra-

jowców żyć dzikie wielbłądy, a daléj jeszcze ku Lob-nor dzikie konie.

Z Cajdam udał się Przewalski przez góry Burghan-Budda i Szuga do północnego Tybetu. Tutaj wstąpił na najwyższe wzniesienie się centralno-azyatyckiéj wyżyny. Pomiędzy górami Szuga a Bajan-kara-ula, przypierającemi już do rzeki niebieskiéj, rozciąga się płaszczyzna, mająca 5.440 metrów absolutnej wysokości, przedstawiająca prawdziwy typ pustyń Tybetu. Jest to płaszczyzna równa, chociaż falista, poprzerzynana łańcuchami pagórków niewyższych nad 30 metrów. Klimat i natura noszą tu charakter straszliwy. Grunt składa się z gliny zmieszanéj z piaskiem i żwirem i jest pozbawiony wszelkiéj wegetacyi, tu i owdzie tylko zieleni się kępa trawy kilka centymetrów wysokiéj, albo szaro-żółty liszajec pokrył nagi grunt. Często pokrywają ziemię szmaty soli, wszędzie znajdują się bruzdy i dziury, które szalejące bezustannie orkany wyżłobiły. Jedynie w miejscach, gdzie źródła się sączą, tworzą się krzaczyste moczary, widać bujniejszą trawę i powstaje coś podobnego do łąki. Ale i te oazy noszą na sobie piętno pustyni. Trawa łączna składa się prawie wyłącznie z gatunku wysokiego około 16 centymetrów, twardego jak drut, a tak wysuszonego przez wiatr, że pod naciskiem stopy kruszy się jak suche gałązki i rozpada w pył. Jak miękka jest darnina pokrywająca te łąki dowodzi najlepiéj to, że wielbłądy raniły sobie twarde swe kopyta o tę trawę.

Powietrze, skutkiem nadzwyczajnego wyniesienia płaszczyzny, jest tak rozrzedzone, że krótki marsz, albo wejście na pagórek wcale nie wysoki męczy i silnego mężczyznę. Czuje się osłabienie całego organizmu, które dochodzi czasami aż do zawrotu. Ręce i nogi drżą i womity dręczą podróżnego. Ogień rozniecić bardzo trudno, a argall ledwie chce się palić, woda gotuje się już przy temperaturze 68° R. i mięsa nie można w skutek tego dogotować. Klimat téj wyżyny, jak i wszystkich innych wyżyn tybetańskich, harmonizuje najzupełniéj z dziką naturą. Straszliwe mrozy i wichry panują tutaj w czasie zimy. I wiosną nie ustają prawie śnieżyce i wiatry, latem znowu pada często bardzo deszcz, albo gruboziarnisty grad i tylko jesienią panuje na wyżynie pogoda i względne ciepło. Tylko téż w téj porze przebywają karawany, dążące na południe do Lhassy albo ztamtąd powracające, te pustynie; jeżeli się puszczą w drogę w innym czasie, to nierzadko giną i zwierzęta i ludzie z zimna i głodu. Z karawany, która wyruszyła z Lhassy w Lutym r. 1870 w sile 300 ludzi i 1.000 wielbłądów i *jaków* zginęło z zimna 50 ludzi i wszystkie zwierzęta.

W tej pustyni żyje dziki *jak* w ogromnych trzodach, czasami 1.000 sztuk liczących. Zadziwiającém, że tak ogromne trzody znajdą pożywienie na tém pustkowiu, że głód i zimno nie wypłoszyły dawno tych zwierząt w inne okolice, ale—nie ma tam człowieka, najsroższego nieprzyjaciela i *jak* jest panem stepu. Dziki *jak* jest wspaniałem zwierzęciem. Wyrosły stadnik bywa 3½ metra długi, ma ogon kiściasty także długości metra. W kłębie jest wysoki zwykle 1.89 metra i waży 630—720 kilogramów. Skóra na łbie i kłębie bywa 13 milimetr. gruba, a ogromne dwa rogi, w nasadzie 55 centimetrów obwodu mające, a do 86 centimetrów długie zdobią łeb tak kościsty, że i wielka kula z karabinu systemu Lankastra wystrzelona, nie rozstrzaska czaszki, chyba gdy trafi w słabe miejsce, pod którem mały mózg się ukrywa. Całe ciało bywa pokryte gęstym, długim, czarnym włosem, u starych stadników na grzbiecie i bokach w brunatny kolor przechodzącym, brzuch jak ogon porasta długimi kędziorami. Samice są mniejsze i chodzą zwykle z cielętami w całych trzodach, a samce osobno. *Jak* jest głupi i leniwy, leży cały dzień w jednéj pozycyi i ponieważ ma zły słuch i wzrok nie trudno go podejść, ale pod wiatr jest to niepodobieństwem, bo przy tępości innych zmysłów odznacza się delikatnością węchu. Strzał płoszy naturalnie trzodę, która ucieka na ślepo, ale osobnik uderza nie rzadko na strzelca i jest bardzo niebezpieczny, bo kilkanaście kul nosi w sobie, a jeszcze idzie. *Jak* posiada ogromną siłę i wytrwałość, po skałach i urwiskach drapie się ten kolosalny wół z zręcznością i zwinnością gemzy. Podróżni upolowali 32 tych olbrzymów. — Procz *jaków* włóczą się jeszcze po wyżynie wilki tybetańskie, lisy stepowe, białopienista argali (ovis peli), a przedewszystkiem antylopa Orongo, uważana przez Mongołów i Tangutów za świętą, dla czego lamowie wstrzymują się od jedzenia jéj mięsa. Mianowicie rogi téj antylopy mają mieć cudowne własności; groby bywają wytykane w około takiemi rogami i rękojeść harapa, z rogu téj antylopy, dodaje wytrwałości popędzanemu takim harapem koniowi.

Od 23 Listopada 1872 do 10 Lutego 1873 r. przebywali nasi podróżni na pustych wyżynach północnego Tybetu. Był to najcięższy do przebycia okres całéj podróży. Mrozy, burze, głód, brak ubioru dokuczał im, była to prawdziwa walka o byt. Na szczęście mieli jurtę darowaną im przez wuja książęcia z Kuku-nor, która wyłożona wewnątrz skórami antylopy Orongo była o wiele cieplejszą aniżeli europejski namiot podróżnych. Ciepłe futra jakie mieli i obuwie podarły się na nic, musieli sami je łatać skórami pobitych *jaków*, w ostatnich dniach swego pobytu na wyżynie byli podobniejsi

do Robinsona Crusoe, jak do Europejczyków. Siły ich wyczerpywały się, ile że na wyżynie wszystko, każdy ruch, dźwiganie najmniejszego ciężaru, chociażby tylko 10 kilogramów, męczy nieznośnie, a ani wody nie było, ani dobrego pokarmu, aby odżywić omdlałe siły. Nawet i sen ich nie krzepił należycie, bo w tém rozrzedzonem powietrzu można tylko spać na bardzo wysokich poduszkach, prawie siedząco, a przytem często podlega się temu fatalnemu uczuciu, które lud prosty zmorą nazywa. Mrozy były bardzo silne, nocami dochodziły—31° C., ale śniegu padało bardzo mało, a jeżeli padał to suchy jak piasek. Burze, które wiały zwykle z zachodu i północo-zachodu pędziły tylko chmury piasku, które zaciemniały słońce, firmament niebieski i najbliższe góry. Wiatr podnosił się zwykle rano łagodnie, z postępem dnia rosła jego intensywność, a około południa nabierał siły orkanu, poczem słabnął, aż z zachodem słońca następowała cisza.

Po przebyciu niezbyt wysokich gór Bajan-kara-ulla stanęła wyprawa 10 Stycznia 1873 r. nad brzegami rzeki niebieskiéj, czyli Jang-tse-kiangu, który w tych okolicach nosi nazwę Mur-usu. Wypływa on z gór Tan-la i w tém miejscu, gdzie go widzieli nasi podróżni, jest 107 sążni szeroki, lecz w porze dżdżystéj rozlewa się on na przestrzeni szerokiéj 809 sążni. Rzeka ta położyła kres dalszéj podróży. Był wprawdzie pułkownik Przewalski z swymi towarzyszami tylko o 27 dni drogi, około 800 kilometrów, oddalony od Lhassy; ale zupełne wyczerpanie sił i ludzi i zwierząt, z których trzy już padły i brak wszelkich zasobów—pozostało Przewalskiemu jeszcze tylko 5 Lan, t. j. 10 rubli w kieszeni—przymusiło do powrotu. Przez Cajdam, gdzie już wiosna wszystko zazieleniła, stanęli w Marcu nad Kuku-nor, gdzie jeszcze zupełną zastali zimę. Jezioro było zamarzłe i dziwna, że na całéj ogromnéj jego przestrzeni nie było nigdzie ani spiętrzonéj kry, ani otwartych odparzelisk, ale jedna jedyna szyba lodu, gładziuteńka jak lustro, pokrywała je od końca do końca. Żeby mieć za co żywności sobie kupić, musieli tutaj podróżni sprzedać pięć rewolwerów, nie było już za co nająć przewodnika i sami musieli sobie szukać drogi przez górzyste Gansy i piasczysty Alaszan. W opłakanym stanie przybyli nareszcie do stolicy tego kraju Dyn-juan-in. Obdarci, brudni, zmizerowani; patrzajcie, mówili krajowcy, wskazując na nich, jak oni teraz podobni do naszych, zupełnie po mongolsku wyglądają.

Na szczęście zastali w tém mieście 1.000 Lan, nadesłanych przez jen. Wlangali i listy z Europy. Na jednym z listów znalazł Przewalski znakomity dopisek. List był adresowany: Pan N. N. w Pekinie przez Kiachtę. Jakiś uczony urzędnik prowincyonalny

przekreślił Pekin i dopisał wielkiemi głoskami: miasto Pekin nie istnieje, więc posłać tylko do Kiachty.

Z Dyn-juan-in puścili się podróżni 14 Lipca prosto na północ przez Gobi, przez kraj Urotów do Urgi. W téj zachodniéj stronie Gobi, daleko więcéj pustéj jak wschodnia, doznała wyprawa straszliwych cierpień z pragnienia i gorączki. Termometr wskazywał za dnia w cieniu + 45° C., w nocy 24° C., a ziemia rozpalała się do 65° C. Pewnego razu zbłądził przewodnik mongolski, podróżni minęli studnią i ledwie że nie zginęli z pragnienia. Wierny ich pies Faust, który przez cały czas im służył i ich rozweselał, uległ téj gorączce i padł w pustyni. „Pustynia Gobi, pisze Przewalski, jest tak straszliwą, że w porównaniu z nią pustynie północnego Tybetu są krajem obiecanym. Tutaj można często znaleźć wodę, a w dolinach rzek są piękne pastwiska. W Gobi nie ma ani jednego ani drugiego, nigdzie oazy, wszędzie tylko brak życia, wszędzie milczenie głębokie. Dolina to śmierci w calem znaczeniu tego słowa. Tyle okrzyczana Sahara nie jest tak straszliwą jak ta pustynia kilkaset kilometrów szeroka i dluga.“

Około 43′ szerokości, na północ gór Churcha pustynia łagodnieje. Znika piasek latający i glinka pokrywa ziemię. To téż skoro tylko deszcz spadnie poczynają się pod działaniem promieni słońca rozwijać ukryte kiełki roślin i jak gdyby za dotknięciem różczki czarodziejskiéj powstają na pustyni oazy. Za zielonością zjawia się antylopa, wnet i skowronek mongolski zatrzepoce w powietrzu, przybywają Mongoły z trzodami i ten zakątek napełnia się życiem wpośród otaczającéj go śmierci. Ale pod wpływem palących promieni ulatnia się niebawem wilgoć, rośliny żółkną i giną wdeptane kopytami wielbłądów w ziemię, pastuchy pędzą gdzie indziéj swe trzody, antylopa ucieka, skowronek ulata i pustynia staje się znowu taką jak była, cichą jak grób.

Podróż przez tę część Gobi była zakończeniem podróży, 5-go Września stanął Przewalski z towarzyszami w Urdze, a 19 tegoż miesiąca w Kiachcie.

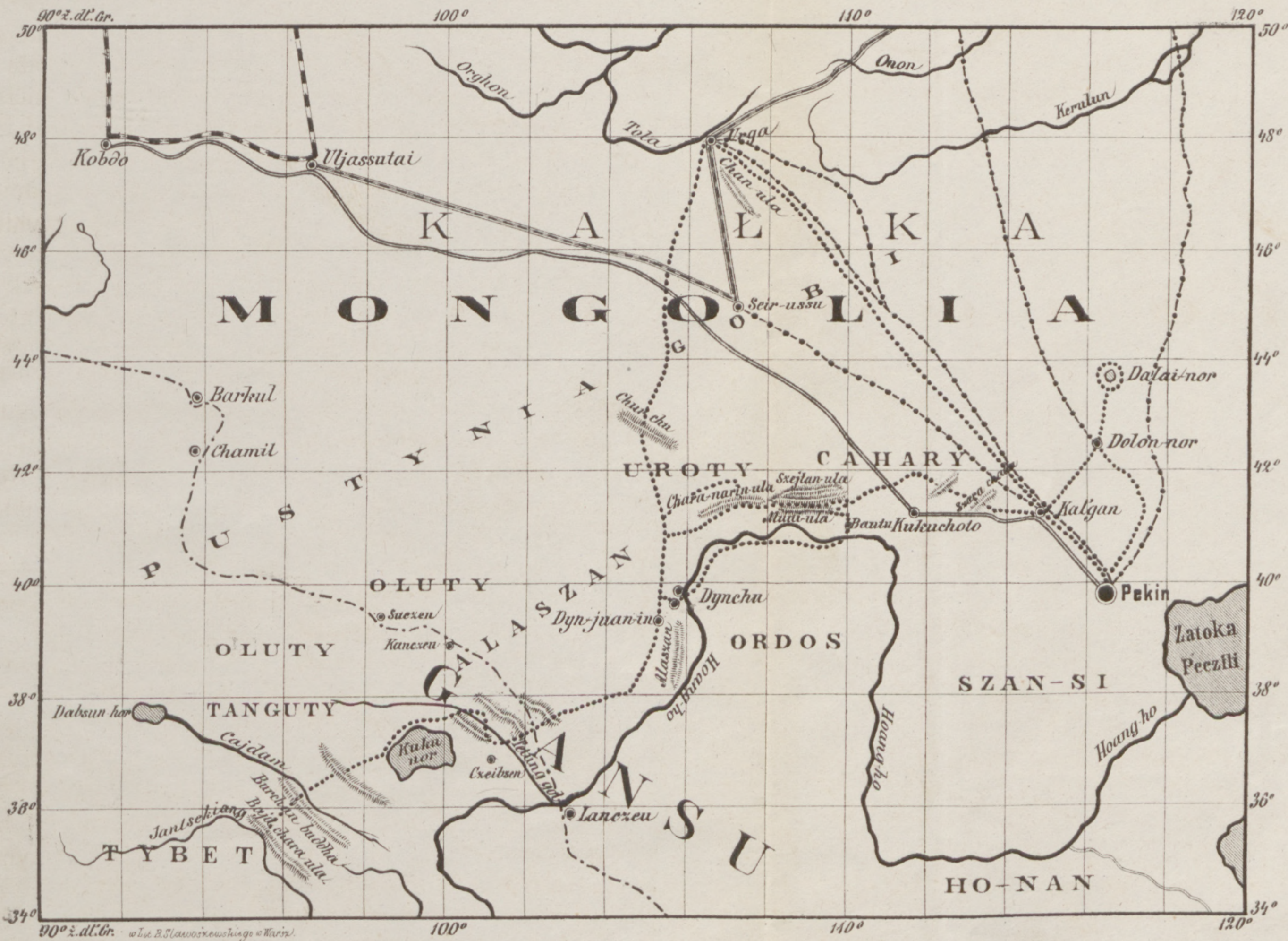
Nie rozwodziliśmy się nigdzie w naszem sprawozdaniu z dzieła pułkownika Przewalskiego, nad energią, wytrwałością, dzielnością, przytomnością umysłu, jakiéj w téj trzyletniéj podróży podjętéj i odbytéj w tak trudnych warunkach, dawali dowód co krok tak naczelnik wyprawy jak jego towarzysze. Sam autor z prawdziwie żołnierską krótkością wspomina o zajściach, świadczących o jego nieporównanéj energii i odwadze, jeżeli jeszcze znajdzie słowo pochwały, to dla swego kolegi Pylcowa, dla kozaków, nareszcie dla swego poczciwego psa, ale swe własne czyny opowiada tak po prostu zmniejsza umyślnie

niebezpieczeństwo, że czytelnik gotów mu prawie uwierzyć, że to była drobnostka n. p. stawić czoło kilkuset ludzi liczącemu oddziałowi wojska chińskiego, który chciał zrabować karawanę. Lecz potrzeba było na to krwi zimnéj i stanowczości woli, którą umiał także wlać w swoich podkomendnych, jaką pewno nie każdy poszczycić się może. Ta niespożyta energia i niezłamana żadnemi przeciwnościami odwaga i zaufanie w siebie, przeprowadziła szczęśliwie wyprawę przez wszystkie niebezpieczeństwa, przez bandy Chińczyków i Dunganów, ta uratowała podróżnych wśród mrozów i głodu w okolicy klasztoru Szyretydsu, jak i wtedy, kiedy im groziła śmierć z pragnienia i wycieńczenia na piaskach Gobi na północ Chara-naria-ulla. Armia rosyjska może być dumną z takiego żołnierza, jak świat uczony rosyjski z takiego uczonego. Już na wstępie podnieśliśmy olbrzymie znaczenie téj podróży tak dla geografii, jak dla nauk przyrodniczych. Pułkownik Przewalski jest w końcu i utalentowanym pisarzem; dzieło jego jest napisane potoczysto, pięknie, czytelnik zasmakowawszy w niém oderwać się od niego nie może, charakterystyki narodów i pojedynczych indywiduów są wyborne, plastycznie przedstawiają się typy, rozweselają czasami swoim komizmem. A obrazy natury, czy to pięknéj i zachwycającéj jaka się n. p. przedstawiała Przewalskiemu ze szczytu Sodi-soroksun w górach Gansu, czy to groźnéj swoją martwotą jak na wyżynach Tybetu, mogą iść w porównanie z najlepszemi tego rodzaju ustępami, jakie znajdujemy w dziełach takich mężów jak Humboldt, Schweinfurth i innych znakomitych podróżnych. Nie braknie pułkownikowi Przewalskiemu i owego, gdzieś w głębi umysłu ludzkiego ukrytego, talentu wynajdywania owych nici tajemnych, łączących człowieka z naturą, które tak się żywo czuć dają, gdy człowiek wrażeniu potężnéj natury ulegnie i ta mu szepce wtedy do ucha tysiące myśli i uczuć, które stanowią pomost, łączący wnętrze ludzkie z otaczającą przyrodą. Niby tęcza różnobarwna, która łączy świat rzeczywisty z światem poezyi i ideałów.

Jak wiadomo, pułkownik Przewalski nie spoczął na laurach, lecz skoro tylko ukończył i wydrukował swe dzieło, wybrał się w nową podróż, w któréj postanowił koniecznie dotrzeć do Lhassy, od któréj go w r. 1873 odparł trywialny brak pieniędzy. Ostatnie wiadomości, sięgające 14 Października 1876 r., doniosły nam, że pułkownik przebył góry Tian-Szan i z porucznikiem Eklonem i 5 kozakami był w drodze do Kasanar. Rezultat poprzedniéj podróży i wypróbowana energia naczelnika wyprawy pozwalają się spodziewać, że tym razem zawitają podróżni do stolicy Dalaj-Lamy.

Stanisław Warnka.

MAPA NAJNOWSZYCH PODRÓŻY PO MONGOLII.



Sztszmarew 1864 i 1868. Przewalski 1870-73. Matuszowski i Pawlinow 1870.

Ney Elias 1872. Sosnowski 1875. Fritsche 1868, 1872 i 1874.

Skala 1: 20.000.000.